CYNIZM ŚWIATA POLITYKI

Semka ostro o karierze Czarzastego – nowego marszałka Sejmu



Memches broni Terlikowskiego przed Dehnelem



MIŁOŚĆ, NĘDZA I MORDERSTWO – KULISY ZBRODNI DOKONANEJ PRZEZ JANA I MARIĘ MALISZÓW

Islamiści przejmują władzę nad małymi miastami we Francji

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 48/657 24–30 LISTOPADA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



Korupcja topi Ukrainę

CZY AFERA MINDICZA POGRĄŻY ZEŁENSKIEGO?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.



Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „DO RZECZY"

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 323840c100



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Rządowa pięciolatka

Nie pierwszy to raz, obserwując to, co dzieje się w polskiej polityce, mam wrażenie daleko posuniętej nierzeczywistości. I nie, w tym przypadku nie mam na myśli dziwnej sytuacji, w której to od chwili ogłoszenia przez premiera aktu dywersji na polskiej kolei do wykrycia sprawców i mocodawców (jak w i a d o m o, działali na zlecenie Moskwy) mija raptem kilkadziesiąt godzin, po czym rządowe media ogłaszają, że będzie prowadzone „największe śledztwo w historii", dotyczące, jak można wnosić, tego, co służby wykryły, zanim owo „największe w historii śledztwo" ogłoszono. Mniejsza z tym.

Niemal w tym samym czasie ten sam rząd opracował i ogłosił uchwałę w sprawie „Krajowej Strategii przeciwdziałania antysemityzmowi i wspierania życia żydowskiego na lata 2025–2030". Doprawdy, czytając ten tekst, opracowany w Ministerstwie Sprawiedliwości, dochodzi się do zaskakujących wniosków. Pierwszy: Polska stała się gniazdem straszliwych antysemitów, którzy lada moment przejmą państwo. Drugi: polski rząd został dotknięty ciężką chorobą, prawdziwą obsesją, wręcz formą paranoi na punkcie żydowskim. Jako że wszelkie znaki na niebie i na ziemi wykluczają pierwszą możliwość – jako żywo o żadnych antyżydowskich ekscesach w ostatnich miesiącach i latach nie słyszałem, bo przecież nie jest nim uprawniona krytyka zbrodniczej polityki Izraela wobec Arabów – to pozostaje wniosek drugi. Tak, rząd Donalda Tuska znajduje się w stanie ciężkiej paranoi. Tyle że zamiast się z niej leczyć, postanowił swoje urojenie narzucić reszcie społeczeństwa, wykorzystując do tego narzędzia przymusu państwowego.

Nie do końca zresztą, przyznaję, jestem zdziwiony, skoro ten sam rząd (bo choć formalnie była to decyzja ministra kultury, faktycznie musiała ona zostać podjęta przez premiera) wyznaczył na szefową Rady Naukowej Muzeum Auschwitz prof. Barbarę Engelking, osobę, której cała działalność sprowadza się do przypisywania Polakom winy za Holokaust. Ten sam rząd systematycznie wspiera działalność podobnych pseudonaukowych ośrodków, które parają się dokładnie tym samym: Polacy mają być nie ofiarami, ale sprawcami.

Biorąc to pod uwagę, rządowy dokument zdaje się być kolejnym krokiem na drodze do tego celu, a to, co nieuprzedzonemu obserwatorowi jawi się jako przejaw ciężkiej obsesji – nieustanne, maniakalne powtarzanie, jakby to była mantra służąca w rytuale magicznym, wezwań do walki z antysemityzmem na każdym miejscu, w każdy sposób, pod wszelkimi postaciami – okazuje się planem. Rząd Tuska przygotował, najkrócej mówiąc, pięcioletni plan walki z antysemityzmem. Starsi znają pewnie takie słowo jak „pięciolatka", tyle że w czasach PRL dotyczyło to głównie planów gospodarczych. Jak widać, wyższość obecnego ustroju demoliberalnego polega na tym, że rząd, zamiast zajmować się pięciolatkami w gospodarce, będzie przebudowywał świadomość.

A co do konkretów, to w wielkiej pięcioletniej walce z antysemityzmem mają wziąć udział praktycznie wszystkie instytucje państwa polskiego: sądy, policja, prokuratura, uniwersytety, szkoły średnie i zwykłe, służby specjalne i niespecjalne, organy siakie i dwojakie, jawne, tajne i jeszcze bardziej ukryte. Jedni mają tropić i oskarżać, inni wykrywać i opracowywać, jeszcze inni ostrzegać i skazywać. Wszystkie ręce na pokład. Szczególne miejsce w tej wielkiej pięcioletniej kampanii przypadło przejętym przez rząd instytucjom kultury. Chodzi o „wykorzystanie potencjału instytucji publicznych do realizacji zadań w zakresie monitorowania tego typu przestępstw (działania Instytutu Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza, Instytutów PAN, uczelni) poprzez uruchomienie i finansowanie konkretnych projektów i programów grantowych". Jednak projekt ma szerszy charakter. Trzeba będzie „aktywnie kontrolować największe platformy internetowe w zakresie raportowania i usuwania przejawów antysemityzmu. Stale współpracować z zaufanymi podmiotami sygnalizującymi w zakresie zwalczania antysemityzmu w sieci".

Oczywiście zszokowany nieco czytelnik będzie chciał wiedzieć, czym jest ów potwór antysemityzmu, z którym przez pięć lat zamierza walczyć polskie państwo. Żeby się o tym dowiedzieć, musi sięgnąć do definicji przyjętej przez rząd poprzedni (tak, przez gabinet PiS). Oto i ona: „Antysemityzm to określone postrzeganie Żydów, które może się wyrażać jako nienawiść do nich. Antysemityzm przejawia się zarówno w słowach, jak i czynach skierowanych przeciwko Żydom lub osobom, które nie są Żydami, oraz ich własności, a także przeciw instytucjom i obiektom religijnym społeczności żydowskiej". Łatwo zauważyć, że w takim ujęciu – „określone postrzeganie, które może się wyrażać" – antysemityzmem może być wszystko.

Do tej pory pięciolatka Tuska nie spotkała się z żadną poważną krytyką. Jedynym chlubnym wyjątkiem był protest europosła Grzegorza Brauna i jego partii. Inne siły polityczne milczą. Albo uważają, że jest to typowa rządowa mowa-trawa, albo boją się protestować, żeby natychmiast nie znaleźć się wśród podejrzanych. ©℗

eprasa.pl 323840c100



TEMAT TYGODNIA

14 MACIEJ PIECZYŃSKI
NAJWIĘKSZA AFERA ZEŁENSKIEGO
Korupcja topi Ukrainę

17 WOJCIECH GOLONKA
FRONT UKRAIŃSKI NA KRAWĘDZI

KRAJ

20 ŁUKASZ WARZECHA
WSZYSTKIE WETA PREZYDENTA
Prawdziwy test dla Karola Nawrockiego

22 ROZMOWA Z GRZEGORZEM PŁACZKIEM
ZA RÓŻNYMI USTAWAMI STOJĄ LOBBYŚCI

24 PIOTR SEMKA
CZARZASTY – CZERWONY JANCZAR TUSKA

26 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
ROZKŁAD JAZDY POSEŁ Z KUTNA

28 JERZY KARWELIS
OBRONA CYWILNA ALLA POLACCA

30 RADOSŁAW WOJTAS
POLSKA BLACHA WŁOSKIEJ VESPY

KULTURA

32 PIOTR SEMKA
SPLENDOR BOGINI FLORY
Kwiaty w sztuce

36 PIOTR GOCIEK
„NORYMBERGA". PSYCHIATRA I REICHSMARSZAŁEK

38 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM MOLENDĄ
ARTYSTYCZNA LEGENDA PRL

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

44 GRZEGORZ KONDRASIUK
MROŻEK I NASI LUDZIE

OPINIE

46 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PODPALANIE PAŃSTWA Z DYKTY
Kto wysadził tory?

48 PIOTR WOYCIECHOWSKI
SŁUŻBY SPECJALNE W KRYZYSIE

52 JAN PARYS
CZY POLSKA MOŻE BYĆ IMPERIUM?

54 FILIP MEMCHES
ODRZUCONA EKSPIACJA TOMASZA TERLIKOWSKIEGO

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
BÓG I WOLNY RYNEK

HISTORIA

58 ŁUKASZ CZARNECKI
MIŁOŚĆ, NĘDZA I MORDERSTWO
Kulisy zbrodni dokonanej przez Jana i Marię Maliszów

ŚWIAT

64 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
HALALIZACJA FRANCUSKIEJ CODZIENNOŚCI
Islamiści przejmują władzę nad małymi miastami we Francji



68 JACEK PRZYBYLSKI
UKRYTY SKARB EUROPY

EKONOMIA

72 MARIA KĄDZIELSKA-KOPER
CZY CHINY STAĆ NA WALKĘ Z TRUMPEM?
Kłopoty Państwa Środka

FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (62), PRZYBYLSKI (71), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 323840c100

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Kostiantyn Liberov/Libkos/Getty Images**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Poważnie już było

Szanowni Państwo,

symbolem rządów premiera Tuska, wyd. 1, stał się nienagannie ubrany starszy pan, absolwent świetnych ekonomicznych szkół angielskich, czyli minister finansów Jacek Rostowski, który z grobową miną i ponurym głosem oznajmił Polakom: „Pieniędzy nie ma i nie będzie".

Natomiast już na półmetku obecnej kadencji premiera Tuska, wyd. 2, poprawione, znakiem rozpoznawczym ma szansę stać się starszy pan z zaokrąglonym brzuszkiem, w rozchełstanej koszuli i z nogami na krześle, który z łobuzerską miną zajada przed kamerą żurek i porozumiewawczo mrugając okiem, grozi, że pożre także drugie danie. W kolejnym filmiku, chrupiący prażoną kukurydzę premier daje do zrozumienia, że powrócił, niczym Jedi, by stać na straży prawa i porządku.

Boki zrywać!

To już nie tylko uśmiechnięta, lecz także śmiejąca się baranim głosem Polska.

Z poważaniem Ewa Kowynia

Sztandar wprowadzić!

Szanowna Redakcjo,

czy tylko ja mam wrażenie, że polska polityka zaczęła działać na zasadzie: „Uważaj, czego sobie życzysz, bo możesz to dostać"? Platforma marzyła o końcu Dudy, jakby po nim miał przyjść anioł demokracji. Odliczała dni do końca kadencji prezydenta Dudy, jak dzieciaki do wakacji. A tu nagle pach! Prezydent Nawrocki, który wetuje ich ustawy z taką swadą, jakby punktował słabego sparingpartnera w ringu.

Tymczasem PiS tak strasznie krytykował marszałka Szymona Hołownię. Nie mogli się doczekać jego odejścia. No i odetchnęli... powietrzem rodem z PRL, bo oto przyszedł marszałek Czarzasty. Gdyby nostalgia za komunizmem była dyscypliną olimpijską, pan Włodzimierz już by stał na podium, machając czerwonym sztandarem.

Z poważaniem Marcin Panek



eprasa.pl 323840c100



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Puścić z torbami

To, że minister Waldemar Żurek przekracza już wszystkie nieprzekraczalne dotąd granice używania prawa do zwalczania opozycji, staje się jasne nawet dla tych publicystów, którzy (i słusznie) unikają zbyt łatwego używania ostrego słownictwa. Znany ze stronienia od emocji Piotr Skwieciński stawia na portalu Teologii Politycznej tezę, że mnożenie zarzutów prokuratorskich wobec czołowych postaci PiS ma oprócz bieżących korzyści politycznych znacznie bardziej długofalowy cel. Po prostu zniszczenie całej elity tej partii w wymiarze czysto materialnym. Ministrowi Żurkowi posłuży do tego nowy dogmat, że ministrowie będą stawiani wobec wymogu rekompensowania z własnej kieszeni sum, które według władzy zostały wydane np. z Funduszu Sprawiedliwości w sposób według prokuratorów, a być może i sędziów – niewłaściwy. Jak trafnie pisze Skwieciński: „Zakres tych działań pozwala mówić o próbie wtrącenia w nędzę i uczynienia społecznej podklasy z określonej grupy politycznej".

Istotnie, jeśli najbliższe dwa lata zostaną użyte do sekwencji śledztw prokuratorskich, która obejmie np. 10, 20, a być może i 50–60 osób z PiS, to osoby te mogą zostać całkiem zwyczajnie zrujnowane finansowo. Może powstać system, w którym wszyscy ewentualni przyszli rządzący, niewywodzący się z szeregów frontu obrony elit III RP, mogą zostać sparaliżowani strachem. Każdy polityk zastanowi się 10 razy, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję, którą elity III RP mogą uznać za skierowaną przeciw ich interesom – „wróg" ma wiedzieć, że może to oznaczać nie tylko klęskę polityczną, lecz także represję karną, i gorzej – trwale uniemożliwienie normalnego funkcjonowania polityka i jego rodziny.

Skwieciński doskonale zdefiniował moment, w którym się znajdujemy. Po pierwsze, coraz bardziej woluntarystyczne ocenianie przez ministra Żurka, co jest przestępstwem, a co nie – nie wywołuje masowego sprzeciwu społecznego. Po drugie, Donald Tusk, patron działań Żurka, wykorzystuje to, że punktowe rozwalanie PiS jako największej siły opozycji odbywa się przy słabym sprzeciwie pozostałych ugrupowań opozycji – Konfederacji, Konfederacji Korony Polskiej i Razem. Szczególnie obie Konfederacje same przyłączają się do opinii, że PiS za swoich rządów robił rzeczy złe, choć oczywiście jak w wypadku Krzysztofa Bosaka wyrażają pewne zniuansowane wątpliwości wobec metod obecnej ekipy. Nie jest to jednak żaden ideowy czy żarliwy sprzeciw wobec systemu łamania prawa, którego jesteśmy świadkami pod rządami Platformy.

Dodatkowym elementem, który pomaga Tuskowi, jest to, że obie Konfederacje głoszą, że „PiS-PO – jedno zło". Skoro nie ma różnicy między partiami Tuska a Kaczyńskiego, to dlaczego roztkliwiać się nad losem Romanowskiego, Ziobry czy Obajtka? A ewentualne pociągnięcie do odpowiedzialności Mateusza Morawieckiego może być wręcz w szeregach konfederatów – jednych i drugich – uznane za słuszną karę bożą za niegdysiejsze restrykcje covidowe i przyłożenie ręki do Polskiego Ładu i zielonych szaleństw. ©℗

PLAN TRUMPA DLA UKRAINY I ROSJI

W piątek – kiedy zamykaliśmy to wydanie tygodnika „Do Rzeczy" – media podały szczegóły planu pokojowego dla Ukrainy i Rosji, przygotowanego przez Donalda Trumpa. Zawiera on 28 punktów. Zakłada m.in., że: Krym oraz obwody doniecki i ługański zostaną uznane za terytorium Rosji, a ukraińskie wojska wycofają się z kontrolowanej jeszcze części obwodu donieckiego (będzie to strefa zdemilitaryzowana i terytorium rosyjskie), armia Ukrainy nie będzie liczyła więcej niż 600 tys. żołnierzy, uczestnicy wojny Rosji z Ukrainą będą objęci amnestią za działania podjęte w jej trakcie. Ukraińska suwerenność ma zostać potwierdzona, zamrożone rosyjskie aktywa w wysokości 100 mld dol. mają zostać przekazane na odbudowę Ukrainy. USA mają otrzymać połowę zysków z tego projektu, a Europa – przeznaczyć kolejne 100 mld dol. na odbudowę Ukrainy. Sankcje na Rosję mają zostać zniesione. Kijów ma otrzymać gwarancje bezpieczeństwa, ale wpisać do konstytucji, że nie przystąpi do NATO. Natomiast NATO ma zagwarantować w swych dokumentach, że nie przyjmie Ukrainy. Rosja ma zobowiązać się do nieagresji wobec sąsiadów, a NATO – do nierozszerzania się. Jeden z punktów bezpośrednio dotyczy Polski – wpisano w nim, że w naszym państwie mają stacjonować europejskie myśliwce.

Oceny planu są różne. Niemieckie media piszą o nowym układzie monachijskim i podkreślają, że plan Trumpa spełnia wszystkie oczekiwania Władimira Putina i jest niebezpieczny dla Ukrainy oraz dla reszty Europy. Wołodymyr Zełenski oznajmił: „Oczekuję rozmowy z prezydentem Trumpem w najbliższych dniach. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że siła i wsparcie Ameryki mogą rzeczywiście przybliżyć pokój i nie chcemy tego stracić". „Financial Times" podaje, że Biały Dom oczekuje, iż Kijów zgodzi się przyjąć plan przed 27 listopada.

Do sprawy wrócimy za tydzień, na bieżąco zajmujemy się nią na DoRzeczy.pl, a w tym wydaniu tygodnika (na str. 14) piszemy o korupcji topiącej Ukrainę oraz (na str. 17) o załamującym się ukraińskim froncie. (raw) ©℗

eprasa.pl 323840c100

dwaj panowie g

Żegnamy Szymona Hołownię. Jakbyście nie wiedzieli, to był on marszałkiem Sejmu. Wsławił się tym, że się nie wsławił, wprowadził do polszczyzny słowo „sejmflix" i słuchał we wszystkim Donalda Tuska. Nie będzie nam go brakować.

Witamy Szymona Hołownię. Jakbyście nie wiedzieli, to właśnie został on wicemarszałkiem Sejmu. Oznacza to, że już niczym się nie wsławi i będzie słuchał we wszystkim Donalda Tuska. Nie będzie nam go brakować.

Pomiędzy tymi dwoma faktami z życia Szymona nastąpił jeszcze jeden – właściwie jedyny, z jakiego zapamięta go historia. Nie dał się wkręcić w żyrowanie zamachu stanu przez nieuznanie ważności wyborów prezydenckich. Jest to wyraźny dowód na to, że Pan Bóg potrafi pisać prosto nawet po liniach wyjątkowo krętych. W przypadku Szymona powiedzielibyśmy raczej: giętkich.

Witamy natomiast Włodzimierza Sweterek Czarzastego, nowego marszałka Sejmu. To ciekawa sprawa. Dotąd było tak, że aby komunista został w Polsce marszałkiem Sejmu, musiał ją podbić z Sowietami zbrojnie albo przynajmniej wygrać wybory. Donald Tusk zerwał jednak z tą niemądrą tradycją.

Wraz z awansem Włodzimierza Czarzastego pracę w Sejmie dostał Marek Siwiec. Tak, ten Siwiec. Dla młodszych: weteran PZPR, SLD, minister w kancelarii prezydenckiej Olka Kwaśniewskiego. Jako europoseł przyłączył się do Ruchu Palikota. W wolnych chwilach całował ziemię, parodiując papieża. Tak, tego papieża. Jego powrót do wielkiej polityki jest dla nas okazją, by ostatecznie pogrzebać hasło tzw. obozu demokratycznego: „Żeby było, jak było". Teraz brzmieć ono powinno: „Żeby było tak, jak było jeszcze dawniej".

Jeszcze o Czarzastym. Na dzień dobry wprowadził w Sejmie prohibicję. Wieść ta wywołała w pobliskiej Żabce (i tak chętnie odwiedzanej przez posłów) eksplozję radości. U nas wręcz przeciwnie. Słynny bar za kratą nie będzie już taki jak kiedyś… A pamiętamy czasy, gdy pili tam jeszcze skauci piwni, to znaczy Polska Partia Przyjaciół Piwa. Ale uwaga, jest nadzieja! Słyszeliśmy z ponadpartyjnej frakcji trunkowej w parlamencie, że zakaz sprzedaży nie oznacza przecież jeszcze zakazu spożywania. No i raczej obsługa baru za kratą nie zamierza przyglądać się szczególnie hybrydom zoologicznym. Pytacie, co to jest hybryda zoologiczna? Otóż jest to małpka z żabki.


FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W sprawie Donalda Tuska ważne wiadomości napłynęły ze Stanów Zjednoczonych, gdzie światło ujrzały nowe dokumenty ze śledztwa w sprawie niejakiego Jeffreya Epsteina. Tak, tego Epsteina. W jednym z ujawnionych e-maili Jeffrey Epstein (tak, ten Epstein) gorąco krytykuje złych ludzi atakujących dobrego premiera Tuska (to nie żart, to autentyk). Ucieszyła nas bardzo ta wiadomość. Uważamy, że już najwyższy czas, by w obronie dobrego premiera Tuska występowały znane międzynarodowe autorytety moralne.

Apropos autorytetów moralnych. Niektóre z nich cierpią za miliony, jak np. Janusz Palikot, który cierpi, lekką ręką, za jakieś 70 mln. Nasze wiewiórki przyuważyły niedawno Palikota w pociągu, który nawet nie był Pendolino i na dodatek jechał z Kielc do Katowic. Cierpienia Janusza nie mają więc końca, gdyż – jak widać – podróżuje teraz zwykłymi intercity, gdzie nie ma nawet Warsu. Niemniej komornika informujemy, że jest nieskuteczny, gdyż Janusz jechał luksusowo – pierwszą klasą. Jakby co, to informujemy, że we wsiach między Lublinem, Kielcami a Katowicami mamy swoich ludzi, więc gdyby następnym razem komornik się przyłożył, a Janusz podróżował furmanką, to na pewno też o tym napiszemy.

Apropos utraty statusu. Z satysfakcją odnotowujemy, że potwierdziły się nasze informacje sprzed paru tygodni o planowanym posunięciu Waldka Pawlaka. Otóż stało się tak, jak zapowiadaliśmy, a posunięcie nastąpiło podczas wyboru nowych władz PSL. Waldek Pawlak utracił bowiem funkcję przewodniczącego Rady Naczelnej. Cóż – nikt nie jest niezastąpiony, ale jednak zmianę na Zgorzelskiego uważamy za zmianę na gorsze.

Tymczasem Paweł Wroński, były rzecznik Zdradka, jest coraz bliższy wyjazdu do Sofii na czardża (no bo przecież nie na prawdziwego ambasadora). Egzaminy przed wyjazdem na placówkę zdał tak koncertowo, że złe języki w MSZ szepczą o jakimś nadzwyczajnym wsparciu. My oczywiście złym językom nie wierzymy. Jakżeby Paweł mógł się posługiwać metodami nieuczciwymi. Przecież wszak to były dziennikarz „Gazety Wyborczej". Oni przez całą III RP zawsze mieli pod górkę.

Tymczasem musimy pochwalić jednego z innych nominatów Zdradka, a konkretnie Jana Tombińskiego z Berlina. Facet, choć nie jest ambasadorem, a zaledwie kierownikiem placówki, czyli czardżem, wykonuje dobrą robotę. Ostatnio udało mu się doprowadzić do szału znanego polakożercę prof. Jana Grabowskiego. Tenże Grabowski twierdzi, że skuteczna okazała się interwencja Tombińskiego w sprawie odwołania berlińskiej promocji polakożerczej książki o rzekomym współudziale polskich burmistrzów w Holokauście. Potwierdzamy. Promocję rzeczywiście odwołano, i rzeczywiście stoi za tym Tombiński. Dodatkowo okazał się skuteczny w sprawie skasowania aukcji tzw. kolekcji śmierci. Inna sprawa, że i jeden z panów G. (ten określany przez niemieckie media jako niezwykle wpływowy dziennikarz) też przyłożył do tego rękę. Drugi z Panów G. nie jest tak określany, bo w Niemczech nie wiedzą jeszcze, że ma kanał youtube'owy „Piotr Gociek zaprasza". ©℗

eprasa.pl 323840c100



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

„Piniędzy" znowu nie ma

Ministerstwo Finansów przyznało oficjalnie, że w pierwszych 10 miesiącach roku 2025 wpływy podatkowe do budżetu państwa były o 9,2 proc. niższe niż w pierwszych 10 miesiącach roku ubiegłego. Zważywszy na to, że według tego samego źródła w tym samym okresie PKB wzrosło o 3,7 proc., mamy do czynienia z istnym cudem.

Takiego cudu nie można było ogłosić bez egzegezy. W tym samym „newsie" zawarto zastrzeżenie, że ministerstwo w ciągu owych 10 miesięcy 2025 r. „spłaciło, a właściwie zamieniło na dług Skarbu Państwa, część obligacji covidowych" (pisownia oryginalna). A poza tym miało ogromne wydatki. Profesor Balcerowicz, być może przypadkiem, ogłosił akurat teraz raport FOR, wedle którego Polska ma najwyższy w Europie poziom wydatków socjalnych, żyje ponad stan, i wiadomo, przez kogo.

Może i żyje ponad stan, ale to przecież strona wydatkowa budżetu, więc „nie pri cziom". Zagadka godna Sherlocka Holmesa tkwi w przychodach. Żadnych zasadniczych zmian w podatkach nie było, w żaden sposób ich nie zmniejszono, gospodarka rośnie, więc i dochody powinny, a jest odwrotnie.

Ministerstwo niechętnie przyznaje, że „nie wpłynęły jeszcze żadne pieniądze z podatku PIT". A to dlatego, że trzymają je i nie przekazują samorządy. Mogą, bo przeorganizowano finanse publiczne ustawą dającą samorządom znaczną swobodę w tym zakresie.

Jeśli to prawdziwe wyjaśnienie, a nie wykręt, to warto przypomnieć, że ustawa ta pochodzi sprzed roku. Kto wtedy rządził? Roman Giertych zapewne powie, że „pisowski dipstejt", ale w istocie była to wszak ustawa PO, mająca podpompować finanse wielkich miast, rządzonych przez nią, na czas wyborów prezydenckich. I tak nie pomogło, Trzaskowski je przegrał (opinie Romana Giertycha i w tej kwestii odłóżmy ad acta), ale pomysł z pozostawieniem wpływów podatkowych miastom, jak widać, wychodzi teraz władzy bokiem. Tak bywa, gdy się rządzi według zasady „aby do wyborów". ©℗



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Nasza Nadzieja

Benedykt XVI pisał, że władza Boga jest naszą nadzieją, bo Bóg nie pozwoli, by zło miało ostatnie słowo. Jan Paweł II wzywał, by państwa otworzyły drzwi zbawczej władzy Chrystusa. Te deklaracje były wyznaniami wiary w suwerenność Boga, zobowiązującą do wierności i odpowiedzialności każdy ludzki autorytet. Osłabienie naszego zmysłu wiary sprawiło, że słowa te odbierano jako ceremonialną i staroświecką retorykę, a nie jako najzupełniej aktualne i zobowiązujące apele.

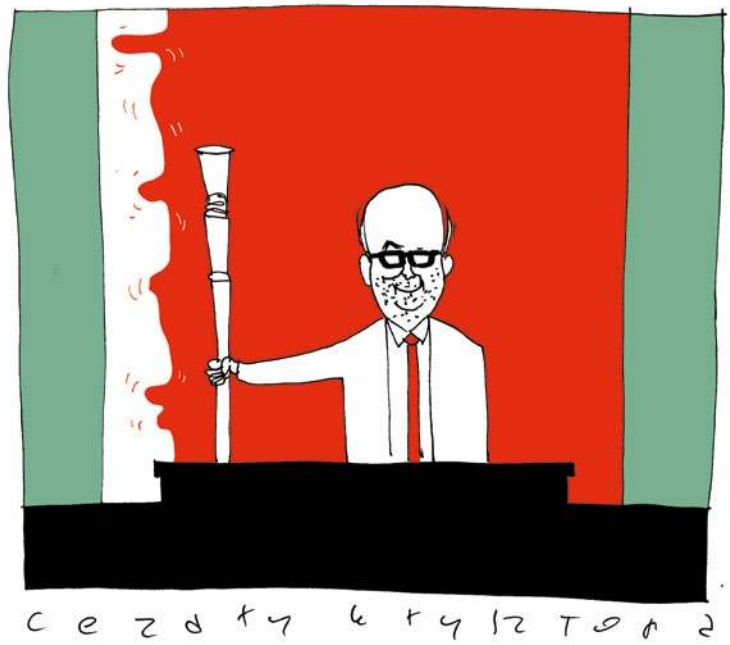
W czasie tegorocznego Adwentu mamy szansę zrozumieć je lepiej, w tym czasie wypada bowiem wyjątkowy jubileusz: 100-lecie encykliki Piusa XI „Quas primas", najmocniejszego w dobie nowoczesnej wezwania do rozwoju cywilizacji chrześcijańskiej i jej obrony wobec postępującej dechrystianizacji. Rocznica „Quas primas" przypada 11 grudnia, więc jest jeszcze czas na przygotowanie listów pasterskich, sympozjów, uroczystości jubileuszowych, a przede wszystkim – na relekturę i studium samej encykliki.

Najważniejsze, by mieć świadomość, do czego nas ta nauka zobowiązuje. Społeczne panowanie Chrystusa to nie hasło i nie utopia. Nie hasło, bo sama konstatacja cudzego odstępstwa nie zastąpi własnego zaangażowania. I nie utopia, bo wobec Chrystusa Króla w każdym czasie mamy obowiązki. Pius XI pisał zresztą wyraźnie, że dechrystianizacja postępuje wskutek bierności i bojaźliwości ludzi… dobrych.

Miarą wierności są więc konkretne inicjatywy ożywiające i przywracające instytucje cywilizacji chrześcijańskiej. I przypominanie naszym przywódcom politycznym o ich obowiązkach, o ich odpowiedzialności przed Bogiem. Bo gdzie nie ma ludzi narażających się w imię zasad chrześcijańskich, przede wszystkim narażających się „swoim" (bo im właśnie trzeba przypominać o tym, co dzięki wierze powinni rozumieć), tam nie ma prawdziwej służby. ©℗

eprasa.pl 323840c100

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA





PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O spojrzeniu kolonialnym

W Italii szaleństwa antykultury woke i haniebne próby dyskryminacji inaczej myślących jeszcze nie dorównują głupotą i rozmiarami temu, co dzieje się na amerykańskich uniwersytetach, ale jesteśmy na dobrej drodze.

Marwa Mahmoud ma 35 lat. Jako mała dziewczynka przybyła z rodzicami do Włoch z Egiptu. W Bolonii ukończyła studia językowe i literatury obcej. W lewicowych władzach regionu Reggio Emilii jest radną odpowiedzialną za politykę edukacyjną i interkulturalną, czyli integrację migrantów, a także dialog przybyszów z tubylcami.

Niedawno z okazji publikacji dorocznego dossier dotyczącego sytuacji migrantów w regionie wygłosiła kuriozalną przemowę z dość radykalną diagnozą i jeszcze bardziej radykalną propozycją: „Konieczna jest powszechna i stała formacja nauczycieli i personelu szkolnego. Trzeba położyć kres kolonialnemu podejściu do uczniów i studentów pochodzących z innych krajów, szczególnie że obecny rząd patrzy na obcokrajowców w sposób kolonialny – z góry. Konieczna jest dekolonizacja". Wszystkim przeciwnym tej propozycji pani radna poradziła, żeby porzucili uprzedzenia i stereotypy, których są ofiarami, a równocześnie inkarnacją.

Słowem, zdaniem radykalnej damy wszystkich nauczycieli Reggio Emilii, najbardziej lewicowego i postępowego włoskiego regionu, nie mówiąc o woźnych i kucharkach, należy poddawać ciągłej, przymusowej reedukacji i indoktrynacji, by wyzbyli się kolonialnego spojrzenia na uczniów.

Dawno temu podobną akcję, choć zakrojoną na o wiele szerszą skalę przeprowadzono w Chinach Ludowych. Ze skutkiem opłakanym. Nie przeszkodziło to zresztą młodym zachodnim idiotom obnosić się z „Czerwoną książeczką" przewodniczącego Mao.

Pani Mahmoud, stawiając sprawę na głowie, powiedziała jeszcze, że marzy o Italii, w której kobiety islamskie będą mogły bez obaw chodzić w burce. Prawda jest taka, że największe niebezpieczeństwo, z utratą życia włącznie, grozi w Italii tym islamskim kobietom, które burki nie noszą. Ze strony mężów, ojców i braci. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 323840c100



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR



FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

PREZYDENT NIE KUMA CZA-CZY

Za nami budząca ogromne emocje kolejna edycja show „Taniec z gwiazdami". Skandali, kłótni i plotek (a nawet rozstań) było tak wiele, jak zwykle, jednak pojawiła się pewna nowość – pierwsza w historii programu para damsko-damska. Rzecz jasna, wokół tego novum wywołano ideologiczną otoczkę, jakoby chodziło o „uświadamianie Polaków", „walkę o tolerancję", „pokazanie, że kobiecość to nie tylko sukienki", a nie tanią sensację. Polacy jak zwykle nie dorośli do europejskich standardów i decyzją widzów panie nie trafiły do finału (co wywołało lamenty o nietolerancji, zieeew). Wygrała para influencer plus tancerka, czyli nuda. Juror „Tańca z gwiazdami", Tomasz Wygoda, postanowił odnieść się do tematu związków partnerskich. – W tym przypadku wszystkie sondaże pokazują, że społeczeństwo dojrzało do tego, żeby pozwolić ludziom się sobą opiekować i żeby mogli po sobie dziedziczyć, żeby nie musieli mieć później problemów, żeby na wejściu nikt ich nie wyrzucał ze szpitala, żeby mogli podpisywać testament i gdy kiedyś jeden partner umrze, to ktoś nie wyrzuci ich z mieszkania. Ludzie już do tego dojrzeli, politycy do tego nie dojrzeli. Tu jest odwrotnie z kolei, że politycy tego nie chcą zrobić, bo politycy ugrywają pewne interesy, że napuszczają nas na siebie. Politycy zyskują, tutaj społeczeństwo traci, to jest ok. 2 mln ludzi, jak się popatrzy w Polsce, plus rodziny – opowiadał Plejadzie. Następnie tancerz uderzył w prezydenta Karola Nawrockiego. – Wszyscy się domagają równych praw. Ten kompromis też, który jest zawarty między PSL a Lewicą, z tego, co wiem, to jest już takim dużym kompromisem, że PSL, który jest zbliżony w poglądach do PiS, powinien to zaakceptować. Prezydent robi wszystko, żeby utrudnić rządzenie, więc nie pomaga rządowi i tutaj tracą bardzo ludzie, bo są zakładnikami tego, że władza się kopie po kostkach – grzmiał. – Takich mamy polityków. Może jak politycy oglądają, to może troszkę nabiorą empatii, miłości i może im się trochę zmienią te zaciśnięte pięści, które idą tak od zaciśniętego serducha. Życzmy sobie tego – podsumował celebryta z Polsatu. Prezydent nie pomaga rządowi. Niedobry!

DAJCIE ŻYĆ, DAJCIE GRAĆ

Na drugą nóżkę – „Katarzyna Zielińska apeluje o rozsądek i empatię". Tak ogłosiły portale. Aktorka nie kryje, że w jej fachu trzeba dziś bardzo uważać, z kim się współpracuje, bo można paść ofiarą bojkotu ze strony widzów. „My jako aktorzy, artyści mamy bardzo trudno w tych czasach, kiedy tyle opcji politycznych walczy ze sobą. Ktoś pójdzie do jednej telewizji, a ktoś inny do drugiej i wówczas jesteśmy oceniani, kto jest za jaką partią" – zauważyła w rozmowie z agencją Newseria. „A na koniec dnia i tak nikt na nas nie patrzy jako na ludzi, którzy mają rodziny, kredyty, swoje potrzeby i wykonują swój zawód najlepiej, jak potrafią" – podkreśla Zielińska. Jak zaznacza, najważniejsza jest praca artystyczna, a nie układy z politykami i ich opinie. „Pozwólmy ludziom żyć, pięknie to życie wykorzystać i robić to, co robią najpiękniejszego" – zaapelowała Katarzyna Zielińska. Czyżby pani Kasia głosowała nie na tych, których popiera „warszawka"? Nic nie sugeruję, tak tylko pytam.

REŻYSERZE, ULECZ SIĘ SAM

URW („Ulubiona Reżyser Wilanowa") Agnieszka Holland przybyła do stolicy Włoch na przegląd jej filmów w ramach 13. edycji festiwalu polskiego kina CIAK POLSKA, zorganizowanego przez Instytut Polski. W rozmowie z PAP Holland była pytana m.in. o spotkania z polską publicznością – czy są łatwiejsze i dostarczają więcej emocji niż spotkania z zagranicznymi widzami. – Zagraniczni widzowie nie mają wdrukowanych w głowie różnych stereotypów na temat mój i mojej działalności. Przede wszystkim międzynarodowa publiczność nie uczestniczy w polskiej wojnie politycznej. Jest zatem w pewnym sensie łatwiej. Często ci z Włochów, którzy chcą ze mną rozmawiać, mają mniej więcej podobne poglądy – dodała z żalem. – W Polsce też się zdarza, że ci, którzy przychodzą na moje filmy, mają podobne poglądy, ale zjawiają się też tacy, którzy mają wątpliwości albo chcą prowokować. To nie jest trudne dla mnie. O ile nie ma przy tym agresji fizycznej, kiedy ktoś zaczyna mnie szarpać, to ja mogę rozmawiać z każdym, nie mam z tym kłopotu – zaznaczyła. Agnieszka Holland uważa, że podziały w Polsce to zjawisko, które niszczy kino i jego odbiór. – Ludzie zapisują się do dwóch obozów i zatracają jasność oraz czystość spojrzenia. Patrzą przez pryzmat wdrukowanych im ideologicznych poglądów, jedni i drudzy – oceniła. Pani Agnieszko, a kto te podziały, także poprzez swoje filmy, wzmacnia? Podpowiadam – imię zaczyna się na „A", nazwisko na „H". ©℗

eprasa.pl 323840c100



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ze smutkiem, a także z przerażeniem przyjęliśmy wyniki niedawnego badania, o którym napisał nasz ulubiony polskojęzyczny portal Deutsche Welle, iż Polacy coraz mniej lubią Niemców. Tak w zasadzie to mało powiedziane, iż to jeden z najwyższych poziomów antypatii wobec naszego zachodniego, większego i starszego brata w ciągu ostatnich 25 lat (domyślamy się, iż badania nie realizowano w latach 1939–1945 i wkrótce potem).

Jednocześnie Niemcy coraz bardziej lubią Polaków, ale nas to nie dziwi, iż ludzie żyjący w dojrzałej demokracji i ustabilizowanym porządku prawnym są bardziej skłonni do wyrażania sympatii wobec innych, nawet jeśli dotyczy to narodu, który wybrał Nawrockiego na prezydenta (o ile of kors możemy tak mówić – Giertych z Lisem chyba wciąż tego oficjalnie nie przyznali na Twitterku).

Co pewnie nie dziwi, niechęć wobec Niemców deklaruje 25 proc. Polaków, a jakoś tak się zaskakująco składa, iż poparcie dla PiS wynosi 28 proc., a więc to by się mniej więcej zgadzało, a te brakujące 3 proc. to ta część PiS-owskiego elektoratu, która miała szansę kiedyś wyjechać na handel do Berlina i zobaczyć, jak OSOM jest to miasto.

Szczerze mówiąc, to nie bardzo wiemy, co z tym zrobić, iż nawet prozachodnia postawa rządu nie pozwala w przezwyciężeniu tych barier. No, ale nie od dziś wiadomo, iż jak janusz z podkarpacia postawi sobie mentalną barykadę w głowie, to nie ma siły, iżby go przekonać, że jest inaczej. Mierzyli się z tym Kościuszko, Piłsudski, Wałęsa, a teraz pan premier Tusk. Wielcy ludzie nie mają lekko z przywództwem w tym kraju.



Jak się w ogóle macie w swoich korpo w tym paskudnym polskim listopadzie? U nas jak co roku – Q4 w pełni, a więc trzeba tworzyć raporty, podsumowania i prognozy, których być może nikt nigdy nie przeczyta, ale za to zostanie wypełniony coroczny świecki rytuał wytwarzania wszystkim zbędnej dokumentacji.

Niestety, problem leży też w tym, iż Q4 zwraca uwagę inwestorów, którzy wyrażają zainteresowanie, czy nasze korpo jest rentowne. W związku z tym Nowy z Tarnowa musi przygotować pierdylion zestawień i dokumentów, a kiedy to robi, jest bardzo zły, powtarza „o kurka wodna" i nie przestaje pogryzać kiełbasy podwawelskiej.

Co gorsza, ta jego nerwowość ma wpływ bezpośredni na nas, iż Nowy chce się wykazać, a kiedy się chce wykazać, to wpada w rytm nieznośnie złośliwego micromanagementu i pyta, czy call w piątek o 18.30 wszystkim pasuje. No i wiadomo, że pasuje, bo jest to Q4, zbliża się podsumowanie rocznych premii, a chcemy godnie spędzić Winter Holidays i mieć co wydać na grzańca, sushi i prezenty dla kolektywu.

Na szczęście potem przyjdzie Q1, a wraz z nim plany, strategie, analizy wsteczne zawsze skuteczne i kolejne spotkania, dla odmiany w poniedziałki o 7.30, aby pokazać, że jesteśmy od rana w pełni mocy umysłowych xD. Zresztą sami wiecie, jak jest. Trzymajcie się tam! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Pilot od klimy

Włodek, ale z tym zakazem sprzedaży alkoholu to przesadziłeś. Jak my tu mamy wysiedzieć bez gorzały?
Marek, serio myślisz, że bym coś takiego wprowadził bez zabezpieczenia?

No ale zarządzenie przecież jest.
No to popatrz tutaj. Widzisz tę szafę?

W niej jest to, co myślę?
No przecież nie jakieś akta. Ale popatrz. Otwieram drzwi – i co widzisz?

Eee, roczniki „Monitora Polskiego".
Tak, z wierzchu. A teraz popatrz. Tu mam pilota niby od klimy, cyk, naciskam i co się dzieje?

Ale numer! Ile tego jest?
Co najmniej 50 butelek.No, to polej! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Włodek zawsze po stronie praw człowieka i w obronie grup uciskanych".

ANNA MARIA ŻUKOWSKA, *posłanka Lewicy, na X o nowo wybranym marszałku Sejmu Włodzimierzu Czarzastym*

eprasa.pl 323840c100





FOT. MCS ALYSSA JOY/U.S. NAVY/ZUMA PRESS/FORUM

USS „GERALD R. FORD” U WYBRZEŻY WENEZUELI

U wybrzeży Wenezueli stacjonuje USS „Gerald R. Ford” (na zdjęciu), największy lotniskowiec na świecie (wyporność pełna: 100 tys. ton, długość: ok. 333 metrów). W ramach akcji „Południowa Włócznia” Stany Zjednoczone rozmieściły znaczne siły w rejonie Morza Karaibskiego. Administracja Donalda Trumpa wypowiedziała wojnę kartelom narkotykowym. Jak podała niedawno agencja Associated Press, wojska USA przeprowadziły dotychczas ataki na ok. 20 łodzi, zginęło w nich ok. 80 osób. Donald Trump przypomina, że kokaina zabija dziesiątki tysięcy Amerykanów. Każdego roku ok. 58 tys. mieszkańców USA umiera z powodu przedawkowania. Prezydent zasugerował przy tym, że likwidacja morskich szlaków przemytniczych to dopiero początek, i zapowiada zatrzymanie przemytu prowadzonego drogą lądową.

Czy celem Donalda Trumpa są wyłącznie kartele narkotykowe czy chodzi o zmuszenie prezydenta Nicolása Maduro do oddania władzy? Donald Trump zapowiedział, że podjął już decyzję odnośnie do „możliwych operacji wojskowych w Wenezueli, ale na razie nie może nic więcej ujawnić”. ***(raw)*** © ℗

Największa afera Zełenskiego



„Mindiczgate" może naprawdę pogrążyć Wołodymyra Zełenskiego. Jego bliskie relacje z głównymi figurantami afery są oczywiste. Na zdjęciu: Wołodymyr Zełenski z zamieszanym w aferę koryupcyjną ministrem sprawiedliwości Hermanem Hałuszczenką FOT. GLEB GARANICH/REUTERS/FORUM



Maciej Pieczyński

Państwo ukraińskie i korupcja to niemal synonimy. Ostatnia afera tylko potwierdza wiedzę powszechnie znaną od dawna. Nowością jednak jest to, że tym razem ślady prowadzą niemal wprost do samego prezydenta

Jeszcze, powiedzmy, dwa lata temu za samo wspomnienie o korupcji na Ukrainie można było w Polsce dostać łatkę „ruskiej onucy". Pod tym względem opinia publiczna nad Wisłą była bardziej „ukraińska" niż ta nad Dnieprem. Tamtejsze media bowiem nie zamierzały realnych problemów zamiatać pod dywan. Gdy tylko pojawiały się wątpliwości co do uczciwości tego czy innego urzędnika bądź polityka, sprawa była nagłaśniana. Dziennikarz śledczy „Ukraińskiej Prawdy" Mychajło Tkacz publicznie apelował do prezydenta Wołodymyra Zełenskiego o wsparcie w walce z korupcją, którą nazwał „wrogiem wewnętrznym", wobec którego państwo powinno być równie bezwzględne jak wobec moskiewskiego agresora. Tego typu argument w mediach ukraińskich pojawiał się po 24 lutego 2022 r. wielokrotnie. Stosunkowo powszechna była świadomość, że bez zwycięstwa na „froncie wewnętrznym" z łapownictwem nie jest realny triumf na „froncie zewnętrznym".

Tymczasem co rusz wybuchały kolejne afery. Zełenski reagował. Stanowiska tracili kolejni urzędnicy, bezpośrednio lub pośrednio zamieszani w skandale korupcyjne. Symboliczna była „jajeczna afera", związana z przepłacaniem za dostawy żywności dla armii. Za każdym razem poza podejrzeniem pozostawał jednak sam prezydent. Aż do dziś.

PRZYJACIEL PREZYDENTA

Przypomnijmy: w ramach operacji „Midas" śledczy z Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy (NABU) oraz Specjalna Prokuratura Antykorupcyjna (SAP) odkryli, że w państwowym przedsiębiorstwie Enerhoatom działała grupa przestępcza wymuszająca łapówki. Grupa miała uzyskiwać nielegalne korzyści od kontrahentów w wysokości 10–15 proc. wartości kontraktów. Kontrahenci otrzymywali informację, że jeśli nie zapłacą łapówki, to nie dostaną pieniędzy za swoje usługi lub dostarczone produkty, względnie – że zostaną pozbawieni statusu dostawcy. Tym sposobem zdefraudowano co najmniej 100 mln dol. Za ten korupcyjny proceder odpowiedzialność ponoszą przyjaciel i były współpracownik Zełenskiego Timur

eprasa.pl 323840c100



Co zawierają taśmy afery „Mindiczgate"?

W śledztwie, nazwanym „sprawą Midasa", figuruje osiem osób. Na opublikowanych taśmach słychać głosy lub wzmianki o jedynie części z nich. Oprócz Mindicza (na nagraniu nazywany jest „Karlsonem") są to minister sprawiedliwości i były minister energetyki Herman Hałuszczenko (na taśmach „Profesor"), były doradca ministra energetyki Ihor Mironiuk („Rocket"), dyrektor wykonawczy Enerhoatomu do spraw bezpieczeństwa Dmytro Basow („Tenor"), były wicepremier Ołeksij Czernyszow („Che Guevara") i inni. Portal NV.ua opublikował co ciekawsze wypowiedzi nagranych. Na jednej z nich „Profesor" pyta „Karlsona", jak rozmawiać z Zełenskim. „Zrobię wszystko, co pan każe, wszystko, czego pan potrzebuje, jestem do pańskiej dyspozycji" – instruuje zaprzyjaźniony z prezydentem biznesmen ministra sprawiedliwości. Po jednym z największych ostrzałów rakietowych, wymierzonych w ukraińską infrastrukturę energetyczną, „Rocket" i „Tenor" omawiają kwestię postawienia instalacji ochronnych na transformatorach elektrowni atomowych, które stały się później jednym z celów bombardowań. „Planują dalej budować te je.ane instalacje ochronne, koszty szalone. Będziemy jeszcze coś robić czy poprzestaniemy na tym, co jest, i więcej nie będziemy tego budować?" – pyta „Tenor". „Ja bym kontynuował. Ale, ku.wa, szczerze to szkoda na to pieniędzy" – odpowiada „Rocket".

Ta replika stała się memem. Ukraińcy w Internecie gorzko żartują, cytując byłego doradcę ministra energetyki w sytuacjach, gdy nie chce się przepłacać za drobne rzeczy. Oto kilka przykładów komentarzy do frazy „szczerze to szkoda pieniędzy": „Mój chłopak pyta, czemu wzięłam jego kartę, skoro dał mi już dużo kasy"; „Moja odpowiedź, kiedy widzę sweter ukraińskiej marki droższy niż 2500 hrywien"; „Kiedy zaproponowałam mężowi, że zjemy obiad w restauracji, a nie w domu".

Mindicz oraz tak ważne dla ukraińskiej polityki postaci jak minister sprawiedliwości Herman Hałuszczenko czy minister energetyki Switłana Hrynczuk. NABU opublikowało taśmy, z których wynika, że nielegalne korzyści czerpał również były wicepremier Ołeksij Czernyszow.

Prezydent zareagował. Nałożył sankcje na Mindicza, który kilka godzin przed ujawnieniem afery uciekł za granicę. Rząd z kolei zdymisjonował radę nadzorczą Enerhoatomu i odsunął Hałuszczenkę od pełnienia obowiązków. Ponadto Zełenski zapowiedział audyt przedsiębiorstw państwowych z sektora energetycznego, zaapelował też do Rady Najwyższej o zdymisjonowanie Hałuszczenki i Hrynczuk. Parlament głosował w tej sprawie 18 listopada. Dymisję zablokowali deputowani opozycyjnej Solidarności Europejskiej. Zdaniem lidera tej partii Petra Poroszenki prezydent chciał uczynić ministrów kozłami ofiarnymi, „wypuścić parę", rozładować niezadowolenie społeczne i w ten sposób zamieść sprawę pod dywan. Europejska Solidarność rozpoczęła zbiórkę podpisów pod wnioskiem o dymisję całego rządu.

Afera „Mindiczgate" wybuchła 10 listopada. Tydzień później Mychajło Tkacz i Roman Romaniuk na łamach „Ukraińskiej Prawdy" podsumowali pierwsze dni po skandalu oraz sposób, w jaki zareagowało państwo. Dziennikarze ironizowali, że 10 listopada miały miejsce dwa bardzo ważne wydarzenia w dziejach Ukrainy. Po pierwsze, kraj dowiedział się, że istnieje ktoś taki jak Timur Mindicz i że to właśnie on faktycznie kieruje ukraińskim sektorem energetycznym. Po drugie, kraj obudził się bez Timura Mindicza – oto bowiem ten przyjaciel prezydenta nagle sobie przypomniał, że ma również izraelskie obywatelstwo, i cztery godziny przed przeszukaniami, o godz. 2, przekroczył granicę państwową, choć jeszcze dzień wcześniej wieczorem w jego mieszkaniu paliło się światło.

SÓL W OKU ELIT

Jak donoszą Tkacz i Romaniuk, dysponujący ogromną władzą i wpływami szef biura prezydenta Andrij Jermak przekonuje swego przełożonego, że za aferą tak naprawdę stoi siedzący od trzech lat w areszcie oligarcha Ihor Kołomojski. „Znaleźć wroga, żeby nie musieć przyznać się do winy – to typowa dla biura prezydenta taktyka" – komentuje w rozmowie z dziennikarzami osoba blisko związana z otoczeniem głowy państwa. Największym zmartwieniem ludzi Zełenskiego jest obecnie to, że lada chwila zarzuty może usłyszeć sam Jermak. To właśnie on był bowiem inicjatorem lipcowego ataku na niezależność instytucji walczących z korupcją. Pod koniec lipca Zełenski podpisał kontrowersyjną ustawę, ograniczającą autonomię NABU i SAP. W myśl jej przepisów oba podmioty zostały formalnie podporządkowane Prokuraturze Generalnej Ukrainy, podległej prezydentowi.

NABU i SAP, jako instytucje stosunkowo niezależne od władz, powstałe w ramach zbliżenia z Zachodem, były od samego początku solą w oku tradycyjnie skorumpowanych elit rządzących nad Dnieprem. Wtedy to po raz pierwszy od początku wojny wybuchły masowe protesty przeciwko władzy. Oburzenie społeczne na działania ekipy Zełenskiego tym razem okazało się większe niż wola zachowania jedności w obliczu zewnętrznej agresji. Władza ugięła się pod tą presją. Ustawę znowelizowano, przywracając niezależność instytucji.

eprasa.pl 323840c100

Niemniej zamach na ich autonomię najpewniej tym bardziej zmotywował ich pracowników do przyjrzenia się ciemnym interesom ludzi z otoczenia Zełenskiego. Rozmówcy „Ukraińskiej Prawdy" z okolic Bankowej (ulica, przy której rezyduje prezydent) są o tym przekonani. Jeden z nich tak to przekonanie uzasadnia: „Gdyby wtedy [przygotowując kontrowersyjną ustawę – przyp. red.] oni tego nie zaczęli, gdyby się nie obes.ali [ze strachu przed NABU i SAP – przyp. red.], jakby potem, zamiast się uspokoić, nie zaczęli kopać dołów pod Kłymenką (szefem SAP), to cały ten „Midas" wylazłby gdzieś tak za rok,

Nie ma na razie żadnych dowodów na udział w całej aferze samego prezydenta Zełenskiego. Naiwnością byłoby jednak sądzić, że nie miał absolutnie żadnej wiedzy o tym, co robią jego wieloletni bliscy współpracownicy

a nie teraz, i nie w takiej formie. Wszystko byłoby tak, jak zawsze: kogoś by zwolniono i wszystko rozeszłoby się po kościach. A tak zaatakowane NABU nie miało innego wyjścia, jak tylko zrobić skandal".

Przy czym kontrowersyjna ustawa nie była jedynym ciosem w niezależność instytucji antykorupcyjnych. Dzień przed jej podpisaniem, 21 lipca, aresztowany został szef NABU w obwodach zaporoskim i dniepropietrowskim Rusłan Mahamedrasułow. SBU zarzuca urzędnikowi, że „utrzymuje kontakty z przedstawicielami kraju agresora i pomaga swojemu ojcu przedsiębiorcy prowadzić nielegalny handel z Federacją Rosyjską". Tak się jednak składa, że Mahamedrasułow już wtedy pracował przy operacji „Midas". Możliwe więc, że podległe prezydentowi służby specjalne użyły wygodnej pałki „rosyjskiej agentury", żeby wyeliminować urzędnika, śledzącego korupcję w otoczeniu głowy państwa.

Przez media – tradycyjne i społecznościowe – przelała się fala oburzenia już nie tyle na łapówkarzy, ile na samego prezydenta. „Świta Zełenskiego pozwoliła uciec z kraju jego przyjacielowi Mindiczowi" – pisze prawniczka i aktywistka antykorupcyjna Martyna Bohusławeć. Zarazem dziwi się Zełenskiemu, który nie rozumie, że ewentualna bezkarność jego przyjaciela może go zatopić. Bloger ekonomiczny Serhij Fursa stwierdza, że prezydent dla własnego dobra powinien posadzić paru swoich skorumpowanych przyjaciół. Z kolei właściciel telewizji Espreso Mykoła Kniażycki uważa, że sankcje personalne przeciwko aferzystom, choć brzmią efektownie, w rzeczywistości mogą mocno utrudnić albo nawet uniemożliwić ich ekstradycję. Sugeruje, że mogło to być celowe działanie ze strony otoczenia Zełenskiego.

Działacz antykorupcyjny Jurij Hudymenko z kolei stwierdza, że prezydent nie ma obecnie innego wyjścia, jak tylko na cały świat chwalić NABU i SAP, demonstrując partnerom zachodnim, iż skoro te instytucje przesłuchują i przeszukują nawet przyjaciół prezydenta, to znaczy, że Ukrainie należy się wręcz pochwała za efektywną i niezależną walkę z korupcją. W końcu można popełniać błędy, ale najważniejsza jest reakcja na nie. Jednak Hudymenko jest przekonany, że tego typu retoryka władzy jest tylko przykrywką, podczas gdy prędzej czy później ludzie Zełenskiego znów dobiorą się do skóry niezależnym prokuratorom z NABU i SAP.

AFERA POGRĄŻY ZEŁENSKIEGO?

Publicysta Wiktor Moroz nie ma wątpliwości – afera korupcyjna ostatecznie zrujnowała już i tak nadszarpniętą reputację prezydenta. A to dlatego, że zamieszani w nią są najbliżsi przyjaciele Zełenskiego, który wiedział, co robi i kogo dopuszcza do wysokich stanowisk. A jeśli nie znał, to tym gorzej o nim świadczy.

„Mindiczgate" może naprawdę pogrążyć Wołodymyra Zełenskiego. Jego bliskie relacje z głównymi figurantami afery są oczywiste. Mindicz i Zełenski to przyjaciele od lat. Wspólnie byli właścicielami studia kabaretowego Kwartał 95, któremu późniejszy prezydent Ukrainy zawdzięczał ogromną sławę popularnego komika. Ponadto Mindicz prowadził interesy z oligarchą Ihorem Kołomojskim, który pomógł Zełenskiemu wygrać wybory, po czym został przez swojego dawnego protegowanego zmarginalizowany i wsadzony do więzienia. W czasie wojny wpływy biznesowe i polityczne Mindicza znacznie wzrosły. W sierpniu NABU badała jego związki z firmą produkującą drony Fire Point, którą podejrzewano o zawyżanie cen i ustawianie przetargów na dostawy dla wojska. Według ekspertów i komentatorów również dymisje w rządzie nie załagodzą kryzysu wizerunkowego. NABU upubliczniło wyniki śledztwa, aby w ten sposób utrudnić otoczeniu Zełenskiego dalsze ograniczanie instytucji antykorupcyjnych.

W momencie, gdy piszę te słowa, czyli 19 listopada, już nawet niektórzy politycy prezydenckiej partii Sługa Narodu domagają się dymisji wszechwładnego Andrija Jermaka, który według medialnych spekulacji może nawet stać za całą aferą. W opublikowanych nagraniach pojawia się tajemniczy „Ali Baba". Nie brak głosów, że jest nim właśnie Jermak, choć NABU oficjalnie ani nie potwierdziło, ani nie zaprzeczyło. Wiele wskazuje na to, że Zełenski będzie twardo bronił swojego najbliższego współpracownika, a żeby uciszyć krytyków, zaproponuje opozycji parę stanowisk w rządzie.

Nie ma na razie żadnych dowodów na udział w całej aferze samego prezydenta. Naiwnością byłoby jednak sądzić, że nie miał absolutnie żadnej wiedzy o tym, co robią jego wieloletni bliscy współpracownicy. Widać też wyraźnie, że zmęczeni wojną Ukraińcy coraz większą uwagę przykładają do sytuacji politycznej wewnątrz kraju. Coraz mniej skutecznie działa straszak w postaci Rosji. Coraz bardziej powszechne staje się nad Dnieprem przekonanie, że skorumpowana władza jest niemalże równie groźnym wrogiem, co zewnętrzny agresor. Bo mając na swoim czele złodziei i łapówkarzy, którzy patriotycznych frazesów używają jako przykrywki do nielegalnego zarobku, nie da się wygrać żadnej wojny. A i Zachód coraz mniej chętnie finansuje nieuczciwego partnera. Zełenski, tolerujący naciski na niezależne instytucje, broniący do końca swoich skorumpowanych przyjaciół, jest wciąż przekonany, że wszystko da się naprawić ustanawianiem sankcji personalnych. Wreszcie: Zełenski, który utracił słuch społeczny i nie zauważył, że oburzenie na korupcję zaczyna być emocją silniejszą niż strach przed Rosją, ten właśnie Zełenski zdaje się być skazany na polityczną porażkę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100

Front ukraiński na krawędzi



Wojciech Golonka

Położenie militarne Kijowa jest obecnie naprawdę dramatyczne, choć niekoniecznie przesądzone, a położenie polityczne – coraz bardziej kruche

Wprawdzie z frontu wschodniego, jak to na wojnach bywa, dochodzą sprzeczne informacje co do rzeczywistego położenia sił ukraińskich i postępów armii rosyjskiej, ale nie ma najmniejszej wątpliwości, że na froncie tym obecnie coraz mocniej trzeszczy – i to nie tylko na odcinku osławionego już Pokrowska – co zwiastuje możliwe fatalne dla Kijowa tąpnięcia. Mimo prób minimalizacji skali tych zagrożeń przez ukraińskie władze umiejętnymi przekazami i akcjami wizerunkowymi zachodnie media, dotychczas zasadniczo przychylne Wołodymyrowi Zełenskiemu, obficie i jakby niemal jednogłośnie rozpisują się nad fatalnymi scenariuszami, które nastąpią po upadku Pokrowska (już w większości kontrolowanego przez Rosjan) lub w przypadku postępującej wyrwy na odcinku zaporoskim, gdzie także ma miejsce dynamiczny rozwój sytuacji.

Powszechny pesymizm wyzierający z tych przekazów (w tym nawet ukraińskich), zdublowany raz to defetyzmem, raz to gniewem, dobitnie świadczy, że nie mamy w tym wypadku do czynienia z operacją rosyjskiej propagandy (niepozostającej skądinąd bezczynną), a echem rzeczywistych klęsk gruntownie niekorzystnych dla Ukrainy, otwierających Rosji pole do manewru dla dalszych działań wojennych. Jeśli wziąć w dodatku pod uwagę poważne zaburzenia ukraińskiego systemu energetycznego, będącego obecnie głównym celem rosyjskich uderzeń z powietrza, bardzo głośne skandale korupcyjne uderzające bezpośrednio w sam rząd oraz niespinające się budżety państw europejskich mających – w teorii – podtrzymywać materialnie i finansowo wysiłek wojenny Ukrainy po wycofaniu się USA, to położenie militarne Kijowa jest obecnie naprawdę dramatyczne, choć niekoniecznie przesądzone, a położenie polityczne – coraz bardziej kruche.

SAMOBÓJCZA OFENSYWA?

Ma się rozumieć – i podkreślają to niereformowalnie optymistyczni poplecznicy ukraińskiego zbrojnego oporu – nie każda ofensywa, nawet wstępnie zwycięska, przesądza o wyniku wojny. To prawda, wystarczy wspomnieć potężne ofensywy armii niemieckiej z wiosny 1918 r. na froncie zachodnim, umożliwiające początkowo ogromne sukcesy taktyczne Niemiec, które jednak skończyły się dlań kompletną klęską strategiczną. W rzeczy samej niemieccy generałowie dokonali wówczas ostatecznej próby rozbicia wojsk ententy, zanim przybywające na kontynent wojska amerykańskie miały osiągnąć masę krytyczną zdolną przesądzić o wyniku wojny. Ich marcowa operacja „Michael" okazała się wówczas największą od 1914 r. ofensywą, przełamującą front brytyjski pod Sommą, kiedy to posunięto się aż o 60 km w głąb terytorium alianckiego i zbliżono na ok. 80 km do Paryża, siejąc panikę wśród Francuzów i Anglików.

Z kolei w czasie majowej operacji „Blücher-Yorck" (przy czym tych operacji ofensywnych było łącznie więcej) Niemcy zaatakowali francuski front nad rzeką Aisne, znów zbliżając się do Paryża na kierunku rzeki Marny, który zresztą, właśnie w 1918 r., między marcem a sierpniem bezlitośnie ostrzeliwali słynnym działem paryskim, zdolnym prowadzić ostrzał stolicy z odległości 120 km, próbując tym samym złamać morale Francuzów. Ostatecznie jednak, mimo największych zdobyczy terytorium od 1914 r. i dziesiątek tysięcy jeńców wziętych do niewoli, ofensywy niemieckie, okupione stratą ponad miliona żołnierzy, wyczerpały ludzkie rezerwy Niemiec, nie osiągnąwszy celów strategicznych (brak upadku Paryża, brak rozbicia armii brytyjskiej i francuskiej, brak uzyskania nawet przewagi negocjacyjnej do rozmów pokojowych). Z kolei po bitwie nad Marną kraje ententy przeszły bezpośrednio do zwycięskiej studniowej kontrofensywy, zmuszającej przeciwnika do rozejmu będącego w praktyce kapitulacją Niemiec.

Ta analogia, skądinąd interesująca, niewiele ma jednak wspólnego z obecnymi realiami wojny. Po pierwsze, i przede wszystkim, Ukraina nie tylko nie czeka na napływ obcej krytycznej masy ludzkiej, mogącej rozstrzygnąć wynik tej wojny rzekomo nadal pozycyjnej, lecz także bardziej niż Rosja zmaga się właśnie z ludzkim niedoborem. Rosja w obecnej, jak i poprzednich ofensywach bez wątpienia zużywa swe zasoby ludzkie, jednak trzeba pamiętać, że obok zawodowego wojska są to w dużej mierze ochotnicy (również ci, którym nie pozostawiono zbyt dużego wyboru, kiedy alternatywą było dla nich np. więzienie), natomiast Ukraina, jak wiadomo (choć nie wyciąga się z tego faktu należytych wniosków), boryka się z kolosalną falą dezercji, która sumarycznie, jak twierdzą niektóre szacunki, mogłaby nawet równać się z obecną liczbą żołnierzy pod bronią. W rzeczywistości wspomniany przykład z pierwszej wojny światowej jest nieadekwatny do wojny rosyjsko-ukraińskiej, która od lata 2022 r. ma zasadniczo charakter wojny na wyniszczenie z przewagą – taka jest

eprasa.pl 323840c100

rzeczywistość – po stronie rosyjskiej, czego dotychczas nie zmieniły żadne zachodnie strategie ani zaklęcia.

OBLĘŻONE BASTIONY OBRONY

Na pierwszy rzut oka wojna rosyjsko-ukraińska w ostatnich latach powinna się nam wydawać wojną gruntownie pozycyjną i to wrażenie jest słuszne z perspektywy rozmiarów samej Ukrainy, skali linii frontu oraz powolnego posuwania się naprzód sił Federacji Rosyjskiej, tak że np. we wrześniu Yuval Harari w artykule „Dlaczego Ukraina wygrywa tę wojnę" pisał na łamach „Financial Times": „Przy tempie, w jakim postępuje w 2025 r., teoretycznie Rosjanom zajęłoby ok. 100 lat i dziesiątki milionów ofiar, aby zająć resztę Ukrainy".

Zobaczymy za chwilę, jak bardzo to pozornie śmieszne tempo przyspieszyło w ostatnich tygodniach, niemniej wojna w szeroko rozumianym Donbasie, zamienianym przez ostatnią dekadę w potężną linię obrony, opierała się dotychczas o silnie zurbanizowany teren w tym górniczym zagłębiu, w którym stosunkowo gęsto rozsiane miasta stają się twierdzami nie tyle do zdobycia, ile do czasochłonnego całkowitego wyniszczenia, wraz z okupującymi je obrońcami i sprzętem. Powolna rosyjska taktyka progresywnego mielenia tych linii obrony oraz ludzkich i materialnych zasobów Ukrainy, okupiona sporą daniną krwi własnej (choć trudno, w mgle wojny propagandowej, dawać słowo szacunkom obu stron na temat strat przeciwnika), doszła jednak obecnie do kilku kluczowych dla zgrupowania ukraińskich wojsk w Donbasie twierdz, i to właśnie widmo ich zdobycia kreśli nad Ukrainą czarne scenariusze. Chodzi przede wszystkim o wspomniany już Pokrowsk, a także, bardziej na południu, w obwodzie zaporoskim, o Hulajpołe, a bardziej na północnym zachodzie położone dość blisko siebie Konstantynówkę, Kramatorsk, Słowiańsk, Łyman i Siewiersk.

Postępy na tych różnych kierunkach nie są jednolite, ale są rzeczywiste. Sama trwająca już od roku bitwa o Pokrowsk wprawdzie dopiero dobiega końca, ale jej skutki, jak się twierdzi, będą dla Ukrainy wielce negatywne. Utraci ona bowiem cenny hub logistyczny w Donbasie, który z kolei wykorzysta Rosja.



Ukraiński artylerzysta strzela z haubicy w kierunku wojsk rosyjskich w pobliżu miasta Pokrowsk, 15 października 2025 r.
FOT. ANATOLII STEPANOV/REUTERS/FORUM

Podobnie w przypadku innych miast twierdz stanowią one zarówno węzły komunikacyjne, jak i pożądane zapory, po których przejściu stanęłaby otworem przed armią rosyjską mało zabudowana przestrzeń, prowadząca, na południu, na Zaporoże i Dniepr, w centrum na Pawłohrad, a na północy – na Izium i docelowo Charków. Oczywiście dopóki piłka wciąż jest w grze w samym Donbasie, dopóty natarcia na te dalsze kierunki nie są w ogóle przesądzone.

Ale im bardziej front trzeszczy właśnie w Donbasie, tym bardziej te hipotezy nabierają potencjalności i nawet jeśli perspektywa ich realizacji czasowej pozostaje zupełnie nieokreślona, te realne możliwości stałyby się, jako takie, bardzo silną kartą przetargową w rokowaniach rozjemczych w rękach Rosjan. Władze ukraińskie bowiem – zarówno z powodów wiarygodności względem zachodnich partnerów, jak i utrzymania wystarczającego poparcia w kraju dla kontynuacji dotychczasowej polityki – nie mogłyby pozwolić sobie na jej rozwój na tych nowych kierunkach. Innymi słowy: odrzucanie warunków rozjemczych Moskwy ma dla Kijowa sens (jeśli w ogóle!) dopóty, dopóki walka toczy się zasadniczo w zagłębiu Donbasu, bez rozlania na nowe kierunki (kwestią otwartą pozostaje natomiast, jakie byłyby wówczas nowe warunki Rosji).

Nie rozważając zbytnio tego pokrewnego tematu, zauważmy jednak, że nie bez powodu w bieżącej sytuacji prezydent Zełenski ogłosił właśnie intencję wznowienia rokowań pokojowych z Rosją i „przygotowań do intensyfikacji negocjacji", których kontynuacji wcześniej Ukraina odmawiała (Rosji, a także USA naciskającym na Kijów), nie widząc przestrzeni do realizacji agendy rozjemczej na własnych warunkach i tych Unii Europejskiej.

GŁOS EKSPERTÓW

Wróćmy jednak do twardych realiów wojennych, warunkujących z kolei realia polityczne, oddając tu głos kilku życzliwym Ukrainie ekspertom. Pierwszy z nich to Julian Röpcke, niemiecki dziennikarz „Bildu", relacjonujący od początku wojnę na Ukrainie, którego teksty publikowane są także w języku polskim

eprasa.pl 323840c100



na portalu Onet. 15 listopada opublikował on na swym koncie na portalu X dłuższy wpis, który warto przytoczyć tu w całości:

„W ostatnich tygodniach opublikowałem zaledwie kilka analiz strategicznych. Jednym z powodów jest dynamiczna i stale pogarszająca się sytuacja ukraińskich sił zbrojnych na południowym wschodzie kraju – ale także w obwodach charkowskim i donieckim. Jednak sytuacji nie da się już dłużej tuszować ani działaniami PR-owymi ukraińskiego Sztabu Generalnego, ani próbami bagatelizowania jej przez rząd w Kijowie: Ukraina zmierza ku strategicznej porażce w starciu z inwazyjnymi siłami Rosji. Ukraińscy dziennikarze i aktywiści uznali już powagę sytuacji. Jednak ani armia ukraińska, ani jej zachodni partnerzy nie wyciągają wniosków z błędów popełnionych w przeszłości, kiedy toczyli wojnę z Rosją. Ponad 2 tys. dostarczonych czołgów, bojowych wozów piechoty i pojazdów opancerzonych jest w dużej mierze bezużytecznych w obliczu rosnącej dominacji Rosji na polu światłowodów i innych systemów dronów. Zamiast wspierać Ukrainę »bronią masowego rażenia« we współczesnym tego słowa znaczeniu – czyli milionami dronów FPV [z podglądem na żywo] – a także tysiącami potężnych pocisków manewrujących do ataków na niskim pułapie, kraje zachodnie nadal ograniczają się do sporadycznej pomocy i inwestycji w strategicznie przecenione ukraińskie drony dalekiego zasięgu. Wydaje się również, że ukraiński rząd traktuje wojnę na wyniszczenie przeciwko swojemu krajowi tylko częściowo poważnie. Gdzie faktycznie stacjonuje rzekomo 17 tys. żołnierzy mobilizowanych co miesiąc, pozostaje zagadką dla większości obserwatorów i żołnierzy na froncie. Dezercje i czasowe nieobecności w służbie – często skutkujące istnieniem całych brygad wyłącznie na papierze – pozostają w dużej mierze bezkarne. Prowadzi to nie tylko do błędnej oceny liczebności i odporności wojsk, lecz także do ogromnych luk na froncie, a w konsekwencji do powtarzających się rosyjskich przełamań. W rezultacie obszar kontrolowany przez Ukrainę skurczył się w październiku o kolejne 586 km kw. – a nowy rekord strat terytorialnych prawdopodobnie zostanie osiągnięty w listopadzie. To oznacza, że miesięczna strata porównywalna z rozmiarami niemieckiego landu Berlin jest w zasięgu ręki. Rosyjskie ofensywy w regionach otaczających główne miasta Dniepr i Zaporoże to kwestia zaledwie kilku miesięcy – maksymalnie roku lub dwóch. Fakt pozostaje taki: jeśli rząd w Kijowie lub jego zachodni partnerzy nie zainicjują natychmiastowej zmiany strategii, Rosja wygra tę wojnę kawałek po kawałku. Przerażająca perspektywa, która będzie miała niszczycielskie skutki geopolityczne dla całego globu”.

Wypowiedź Röpckego, publicysty stosunkowo łatwo popadającego w tony alarmistyczne, dokonującego, jak widać, także hucznych medialnych rozliczeń, należałoby uzupełnić o mniej emocjonalną, a bardziej merytoryczną wypowiedź, np. gen. Oliviera Kempfa, emerytowanego dowódcy i historyka wojskowości, odpowiadającego we francuskiej telewizji LCI na pytanie, czy zimą 2025/2026 Ukraina jest w stanie przejąć inicjatywę: „Od półtora roku nie widzieliśmy żadnej prawdziwej, trwałej ofensywy ukraińskiej. Dzisiaj inicjatywa należy do Rosjan. Kiedy Rosjanie ponownie zaczęli zdobywać terytorium – było to mniej więcej w grudniu 2023 r. – tempo wynosiło ok. 1 km kw. na dobę. W tym tygodniu mamy tempo 20 km kw. Jesteśmy zatem na krzywej wyraźnie wykładniczej. To już nie jest wojna na wyniszczenie. Tąpnięcie nie dokonuje się w Pokrowsku – na którego punkcie panuje fiksacja. Jeśli tąpnięcie dokonuje się właśnie na południu, to dlatego, że zabrano stamtąd oddziały na rzecz obrony Pokrowska. Obecnie padają miasta, pada Pokrowsk, pada Kupiańsk, na północy pada Wołczańsk, rozpoczęła się bitwa o Konstantynówkę, a na południu – tam, gdzie niestety nie ma już praktycznie miast – Rosjanie posuwają się w tempie 3–5 km w głąb. Czyli jest to bardzo szybkie tempo i zachodzi pękanie, miejscowo załamanie się frontu – i to jest najbardziej niepokojące. Przyczyny są dwojakie: brak ludzi oraz przewaga ilościowa i technologiczna dronów po stronie rosyjskiej, co czyni obecne położenie wojskowe Ukrainy skrajnie pesymistyczne”.

Jesteśmy zatem w sytuacji, gdzie miejscowo załamuje się front, a „wszyscy poważni analitycy przewidują powolną, ale systematycznie postępującą klęskę Ukrainy” (Röpcke). Zarówno populacja, jak i gospodarka poddawane są ogromnej presji wobec notorycznych przerw w dostawach prądu i ciepła. Polityką ukraińską wstrząsają potężne skandale korupcyjne, które są być może dopiero wierzchołkiem góry lodowej. Wprawdzie były one do przewidzenia, zważywszy na dotychczasowe lokalne uwarunkowania i skalę zachodniej pomocy, niemniej uderzą one w morale zarówno ukraińskich żołnierzy na froncie (ginących, kolokwialnie rzecz ujmując, za złote kible krezusów), jak i zachodnich podatników finansujących tę wojnę, zadłużających się – chcąc nie chcąc – na następne pokolenia, podczas gdy wykorzystująca ich hojność klika cwaniaków ustawia się akurat na kilka pokoleń do przodu. Zełenski, choć nie w roli zwycięzcy, może teraz zatem – pod presją frontu i wewnętrznych burz – przyspieszyć nadejście rozejmu, co dla Polski oznaczałoby koniec horrendalnych wydatków i powrót do rzeczywistych priorytetów własnych, zanim zadłużenie nas wszystkich pochłonie resztki suwerenności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



FOT. PRZEMYSŁAW PIĄTKOWSKI/PAP

Wszystkie weta prezydenta

Łukasz Warzecha

W ostatnich tygodniach przez Sejm przeszło kilka ustaw testujących wrażliwość Karola Nawrockiego na kwestie wolności lub obciążeń fiskalnych. Każda z nich jest w jakimś sensie perfidną pułapką na prezydenta

W ciągu swoich 100 dni prezydent Karol Nawrocki podpisał 70 ustaw, a zawetował 13. To całkiem sporo – ponad 15 proc. Pan prezydent od początku chciał pokazać, że do swojej roli podchodzi inaczej niż jego poprzednik i będzie znacznie chętniej sięgał po weto. Jego obalenie w Sejmie jest możliwe, ale wymaga większości trzech piątych, czyli – zakładając, że wszyscy posłowie są na sali – przynajmniej 276 głosów. Koalicja ma w tej chwili 240 głosów – plus ewentualnie cztery głosy Razem. To o wiele za mało, aby sprzeciwić się prezydenckiemu wetu.

Karol Nawrocki nie przeszedł jednak dotychczas jeszcze prawdziwego testu odmienności od Andrzeja Dudy w traktowaniu legislacji. Ten czeka go w najbliższych dniach.

W czasie swoich dwóch kadencji – wliczając w to okres, gdy rządziła już Koalicja Obywatelska – Andrzej Duda nie zawetował żadnej ustawy uderzającej w szeroko pojęte prawa obywateli, ich wolności czy nawet poziom opodatkowania. Akceptował bez mrugnięcia okiem projekty zaostrzające kary dla kierowców, w tym zakładające konfiskatę pojazdów. Podpisał niekorzystne dla myśliwych zmiany prawa łowieckiego. Złożył podpis pod ustawą o elektromobilności, wprowadzającą strefy czystego transportu, a także pod jej nowelizacją, rozszerzającą jeszcze zakres SCT. Sygnował wszelkie podwyżki podatków już istniejących, takich jak akcyza czy też tworzenie nowych, takich jak opłata emisyjna (wliczana do ceny paliwa) albo opłata cukrowa. W trakcie pandemii nie miał żadnych oporów przed podpisywaniem wprost zamordystycznych regulacji, na czele z covidową specustawą. Ponadto tuż przed swoim odejściem z urzędu zdążył jeszcze zawetować korzystną dla większości przedsiębiorców obniżkę składki zdrowotnej.

W dziedzinie ograniczania praw obywateli i zwiększania ich obciążeń na Andrzeja Dudę nie można było liczyć. Można było wręcz odnieść wrażenie, że te sprawy pozostają poza jego sferą zainteresowania. Nie pamiętam przypadku, gdy w jakiejkolwiek wypowiedzi nie tylko sam prezydent Duda, lecz także ktokolwiek z jego kancelarii dałby sygnał, że w podobnej sprawie głowa państwa ma choćby najmniejsze wątpliwości.

Jednak oczekiwanie, że Andrzej Duda stanie na straży obywatelskich wolności oraz naszych portfeli można by uznać za nieracjonalne. Poprzedni prezydent dwukrotnie był wybierany w okolicznościach odmiennych niż Karol Nawrocki. Rok 2015 to tak zamierzchła z dzisiejszego punktu widzenia historia i tak odmienny stan spraw, że można go zostawić na boku. W 2020 r. natomiast elektorat Krzysztofa Bosaka wynosił 1,6 mln głosów i tylko tę grupę można uznać za wyborców, dla których względy wolności osobistej były faktycznie istotne. Ta grupa w drugiej turze podzieliła się jednak niemal równo pomiędzy dwóch finalnych kandydatów. Z kolei wyborcy przeciwni podwyżkom podatków raczej nie wspierali Andrzeja Dudy – po pięciu latach rządów PiS było już jasne, że ta partia z pełną współpracą prezydenta realizuje program socjalny i etatystyczny. Andrzej Duda nawet nie próbował zwracać się ku bardziej liberalnie nastawionym wyborcom.

NAWROCKI TO NIE DUDA

Inaczej rzecz się ma w przypadku wyboru Karola Nawrockiego. Blisko 90 proc. wyborców Sławomira Mentzena, których było niemal 3 mln, oddało głos na obecnego prezydenta. A pamiętać trzeba, że lider Nowej Nadziei mocniej podkreślał akcenty wolnościowe niż jego poprzednik w roli kandydata Konfederacji na prezydenta, Krzysztof Bosak.

Z kolei ponad 90 proc. wyborców Grzegorza Brauna, których było 1,2 mln, zagłosowało w drugiej turze na kandydata PiS. Choć można założyć, że w tej grupie akcenty wolnościowe były mniej istotne, to jednak nie nieobecne, szczególnie w odniesieniu do takich sytuacji jak pandemia.

Szacować zatem można, że spośród 10,6 mln głosów, które otrzymała obecna głowa państwa, ponad 30 proc. pochodziło od wyborców, którzy w dziedzinie ochrony obywatelskich wolności czy stosunku do zmian podatkowych mieli wobec popieranego kandydata oczekiwania znacznie bardziej precyzyjne i wyższe, niż to było w przypadku Andrzeja Dudy.

Do tej pory Karol Nawrocki złożył jeden podpis, który wywołał niezadowolenie części tego elektoratu: był to podpis pod nowelizacją ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy. Prezydent tłumaczył się

eprasa.pl 323840c100

z niego jednak racjonalnie, wskazując, że niepodpisanie ustawy oznaczałoby powstanie z dnia na dzień wielkich problemów dla przedsiębiorców, zatrudniających uchodźców wyłącznie na podstawie zgłoszenia do powiatowego urzędu pracy – co gwarantowała specustawa. W dodatku Karol Nawrocki jednoznacznie zapowiedział – powtarzając tę zapowiedź w niedawno udzielanych wywiadach – że nie zamierza podpisywać kolejnej nowelizacji. Reakcja części publiczności na tamten podpis była bardzo gwałtowna i emocjonalna, ale nie wydaje się, aby wpłynęło to istotnie na poparcie dla prezydenta.

PUŁAPKI NA PREZYDENTA

Tymczasem w ostatnich tygodniach przez Sejm przeszło kilka ustaw nie tak co prawda spektakularnych jak ta o pomocy obywatelom Ukrainy, ale dużo lepiej testujących wrażliwość Karola Nawrockiego na kwestie wolności lub obciążeń fiskalnych. Najważniejsze z nich to: ustawa zmieniająca wysokość podatku akcyzowego na alkohol, ustawa o zmianie ustawy o zdrowiu publicznym, drastycznie podnosząca wysokość opłaty cukrowej, ustawa likwidująca w Polsce hodowlę zwierząt futerkowych czy wreszcie ustawa wprowadzająca m.in. kary pozbawienia wolności za „rażące" przekroczenie prędkości.

Każda z tych ustaw jest w jakimś sensie perfidną pułapką na prezydenta, ponieważ każda z nich jest obłudnie uzasadniana dobrem obywateli – co zresztą jest standardem. Podobnie przecież w takich wypadkach działał PiS. Przyjrzyjmy się tym aktom.

Ustawa podnosząca stawki akcyzy na alkohol zrywa z wcześniej ustalonym z producentami planem stopniowych podwyżek do 2027 r. Stawka miała wzrosnąć o 5 proc. w przyszłym i kolejnym roku, tymczasem uchwalona ustawa zakłada wzrost o 15 proc. w 2026 r. i 10 proc. w 2027 r. Prezydent Nawrocki jakiś czas temu zapowiadał już, że będzie przeciwny podwyżkom akcyzy, uzasadniając to uderzeniem w kondycję polskiego biznesu browarniczego, winiarskiego i gorzelniczego. Pewne jest natomiast, że jeśli postanowi wyrazić sprzeciw, to zostanie skrytykowany za rzekome sprzyjanie wyimaginowanej „epidemii pijaństwa" oraz znajdzie się na celowniku nie tylko koalicji, lecz także fanatycznych aktywistów w rodzaju Jana Śpiewaka. Ustawa z Sejmu trafiła do Senatu i na biurko prezydenta 12 listopada.

Opłata cukrowa, którą wprowadził PiS, oficjalnie miała służyć ograniczeniu spożycia cukru przez Polaków. Wiadomo już, że takiego efektu nie osiągnęła. Ma jedynie skutek w postaci wpływów do budżetu w wysokości niespełna 1,5 mld zł, a przy okazji jest polem gry dla lobbystów, którzy za pomocą tej regulacji starają się nieuczciwie konkurować z innymi. Stąd zadziwiająco niekonsekwentna lista produktów objętych podatkiem. W sprawie druzgocących dla polskich producentów soków skutków podwyżki alarmują przedsiębiorcy. Jeśli prezydent złoży weto, to zostanie oskarżony o to, że nie dba o zdrowie Polaków. Ustawa wyszła z Sejmu do Senatu i Pałacu Prezydenckiego także 12 listopada.

Tego samego dnia Sejm uchwalił ustawę likwidującą w Polsce hodowlę zwierząt futerkowych. Tu sytuacja Karola Nawrockiego jest szczególnie trudna, bo za ustawą niszczącą polską branżę futrzarską – dzisiaj na drugim miejscu na świecie po Chinach – opowiedziało się aż 100 posłów PiS na czele z Jarosławem Kaczyńskim. Jest to zatem powrót do niesławnej „piątki dla zwierząt". W sumie za regulacją zagłosowało 339 posłów, czyli o 63 więcej, niż potrzeba do obalenia prezydenckiego weta. Jednakże gdyby takie się pojawiło, PiS miałby poważny problem z głosowaniem przeciwko własnemu prezydentowi.

Z powodu stanowiska większości klubu PiS ta regulacja będzie być może najważniejszym testem dla Karola Nawrockiego. Po pierwsze – bo jej zawetowanie wymagałoby przeciwstawienia się patronowi własnego obozu politycznego, którego obsesja na punkcie zwierząt pozbawia racjonalności. Po drugie – bo motywacja zakazu jest najściślej ideologiczna i wpisuje się w fatalne skłonności do uczłowieczania zwierząt i przyznawania im „praw". Jeżeli weto się pojawi, spotka się oczywiście ze wściekłym jazgotem organizacji prozwierzęcych, które okrzykną Karola Nawrockiego „mordercą zwierząt".

Także 12 listopada z Sejmu wyszła ustawa o zmianie niektórych ustaw w celu poprawy bezpieczeństwa ruchu drogowego. Wprowadza ona sankcję absolutnie drakońską w postaci kary pozbawienia wolności od trzech miesięcy do pięciu lat za „rażące przekroczenie prędkości" w powiązaniu z „rażącym naruszeniem zasad bezpieczeństwa w ruchu lądowym" oraz narażeniem człowieka na niebezpieczeństwo. To rozwiązanie oparte na całkowicie uznaniowych kryteriach. Żaden przepis nie definiuje bowiem, co jest „rażącym" naruszeniem prędkości ani „rażącym naruszeniem zasad bezpieczeństwa". Dodatkowo ustawa przewiduje dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów w przypadku złamania wcześniejszego sądowego zakazu ich prowadzenia oraz obligatoryjne orzeczenie konfiskaty pojazdu za samo prowadzenie go z zawartością alkoholu od 1,5 promila wzwyż. Nie musi dojść do jakiegokolwiek zdarzenia drogowego.

Te regulacje to populizm prawny w najczystszej postaci. Radykalizm przyjętych rozwiązań polega m.in. na tym, że najsurowsze kary – pozbawienie wolności czy konfiskata pojazdu – są przewidziane także wówczas, gdy nie dojdzie nawet do kolizji, o wypadku nie mówiąc. Uzasadnienie projektów sięga oczywiście po „społeczne poparcie" – na takim argumencie standardowo opierają się populistyczne rozwiązania.

Jest mnóstwo racjonalnych argumentów przeciwko przyjmowaniu tej ustawy. To m.in. naruszenie podstawowych zasad systemu prawnego: kara ma być proporcjonalna do czynu, a czyn musi być określony na tyle precyzyjnie, żeby obywatel wiedział, czego ma się wystrzegać. Innym argumentem jest brak jakichkolwiek statystycznych, alarmujących przesłanek, które uzasadniałyby tak radykalne zaostrzenie kar. Prezydent ma wszelkie merytoryczne podstawy, żeby akt zawetować. PiS nie ułatwia mu tutaj sprawy, bo niemal cały klub wstrzymał się w głosowaniu – wszak to PiS rozpoczął spiralę zaostrzania kar wobec kierowców.

Dotychczas Nawrocki miał względnie łatwo. Teraz zaczynają się schody, co jednak może być okazją do potencjalnie korzystnego lekkiego zdystansowania się również wobec PiS – co ważne, PiS powoli odchodzącego w przeszłość, czyli tego spod znaku Kaczyńskiego. Tego, który chciał „piątki dla zwierząt", w podwyższaniu podatków widział realizację „sprawiedliwości społecznej", a w odbieraniu kierowcom samochodów – urzeczywistnienie marzenia o twardym szeryfie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



Z Grzegorzem Płaczkiem, przewodniczącym Klubu Poselskiego Konfederacji, politykiem Nowej Nadziei
rozmawia Ryszard Gromadzki

Za różnymi ustawami stoją lobbyści



FOT. KONFEDERACJA/FACEBOOK

RYSZARD GROMADZKI: Czy konflikt między PiS a Konfederacją nie zaszedł za daleko? Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Wydaje się, że Donald Tusk może zacierać ręce, obserwując wymianę ciosów na prawicy.

GRZEGORZ PŁACZEK: Osobiście ten spór jest poza mną – mamy w klubie naprawdę dużo pracy. Konflikt jest podsycany przez media. Czym innym jest wymiana opinii, nawet ostra, w przestrzeni publicznej, a czym innym codzienna praca w Sejmie. W wielu kwestiach sceptycznie podchodzimy do działań Prawa i Sprawiedliwości, jak również do prac obecnego rządu. Spory pojawiają się na prawicy, ale nie zapominajmy, że Konfederacja również jest w opozycji do premiera Donalda Tuska. Z natury rzeczy konflikty nie ułatwiają pracy, ale są integralną częścią pracy parlamentarzystów. Liczę, że do następnych wyborów parlamentarnych pewne spory zostaną zażegnane, a niektóre być może nawet się zaostrzą, aby wyraźniej pokazać wyborcom, gdzie przebiegają linie politycznych podziałów. Nie do końca zgodzę z się z tezą, że nawet ostra wymiana zdań między Prawem i Sprawiedliwością a Konfederacją sprzyja Donaldowi Tuskowi. Premier jest twarzą elektoratu, który nie popiera programu Konfederacji. Z kolei nasi wyborcy nie wierzą w słowa i niespełniane deklaracje obecnej koalicji. To, co się dzieje obecnie na prawicy, nie przekłada się na przepływy prawicowego elektoratu do partii premiera Donalda Tuska. To dwa różne polityczne światy. Niemniej opowiadam się za tym, żeby przede wszystkim łączyć, a nie dzielić. Ale nie oznacza to, że sprzeciwiam się ostrej konfrontacji w obszarach, gdzie trzeba podkreślić różnice programowe.

W ostatnich dniach media obiegły informacje o potajemnym spotkaniu Sławomira Mentzena z Donaldem Tuskiem, do którego miało dojść latem. Część polityków PiS zarzuca Konfederacji gotowość do „zgniłego kompromisu" z Koalicją Obywatelską w zamian za przywileje i stanowiska. Ile jest prawdy w doniesieniach o konszachtach między Konfederacją a obozem Tuska?

To czysty fake polityczny. Nie ma i nie było żadnych konszachtów Konfederacji ani z Koalicją Obywatelską, ani z PiS. Polacy przyzwyczaili się przez lata do polityki wzajemnego zwalczania się i dzielenia społeczeństwa. Realizując taką strategię, bardzo trudno coś wspólnie budować na scenie politycznej. Konfederacja, krytykując zarówno obecny rząd, jak i Prawo i Sprawiedliwość na czele z Jarosławem Kaczyńskim, próbuje rozmawiać z partiami opozycyjnymi. Chcąc realizować program Konfederacji, musimy starać się przekonywać do naszych racji wszystkie siły polityczne – nawet te wrogie. Dlatego rozmawiamy z każdą partią obecną w polskim parlamencie. Nie ma to nic wspólnego z jakimś politycznym knuciem. Aby przegłosować ustawę, na której nam zależy, potrzebujemy większości. Proste.

Minęło 100 dni prezydentury Karola Nawrockiego. Jak wypada początek kadencji prezydenta Nawrockiego w ocenie Konfederacji?

Na razie, w mojej ocenie, to prezydentura silna i konsekwentna, z kilkoma rysami. To na pewno zupełnie inne pierwsze „100 dni" niż te w wykonaniu obecnej koalicji rządzącej. Mamy dopiero początek kadencji, więc zobaczymy, czy panu prezydentowi wystarczy energii i zapału na utrzymanie takiej postawy. Patrzymy w Konfederacji z nadzieją, jednak wiemy, że przed nami ważne i trudne ustawy, które w perspektywie kilku miesięcy pokażą, czy Karol Nawrocki dotrzymuje danego słowa podczas kampanii wyborczej czy wycofuje się ze swojego stanowiska. Czas pokaże.

Jakie „ważne i trudne" ustawy ma pan na myśli, mówiąc, że będą one testem wiarygodności prezydenta?

Pamiętajmy, że pod koniec pierwszego kwartału 2026 r. ponownie powróci do Sejmu temat związany z ustawą o pomocy obywatelom Ukrainy, którzy przebywają w Polsce.

Prezydent Nawrocki zarzekał się, podpisując we wrześniu tę ustawę, że czyni to ostatni raz...

To będzie prawdziwy test dla prezydenta. Rozumiemy po części jego argumenty, dlaczego podpisał tę ustawę kilka tygodni temu. Było bardzo mało czasu i prezydent miał swoje racje, chociaż jako Konfederacja wolelibyśmy, aby ta ustawa nie została podpisana. Jednak już w marcu 2026 r. będzie zupełnie inna sytuacja polityczna. Druga bardzo istotna ustawa, z którą będzie musiał zmierzyć się prezydent, wiąże się z obniżeniem cen energii. Wiemy już, że rząd na szczęście nie zdecyduje się kolejny raz na mrożenie cen energii

eprasa.pl 323840c100

– w związku z tym muszą pojawić się ustawy regulujące tę kwestię. Pozostaje także kwestia paktu migracyjnego i ETS.

W przeciwieństwie do swojego poprzednika Karol Nawrocki nie manifestuje bezkrytycznego poparcia dla Ukrainy i jej przywódcy, Wołodymyra Zełenskiego. To nowa jakość w polskiej polityce.

Zarówno poprzedni prezydent, jak i rząd PiS, a teraz Koalicji Obywatelskiej, wykazywali i wykazują nadal zbytnią uległość wobec naszego wschodniego sąsiada. Wielu polskich obywateli oczekuje ze strony parlamentu, rządu i prezydenta zupełnie innej postawy wobec Ukrainy i twardej obrony polskich interesów. Moim zdaniem dobrze się stało, że pan prezydent Nawrocki nie pojechał z wizytą do Kijowa. To sygnał wysłany do pana prezydenta Zełenskiego. Symboliczny, ale pokazujący, że Polska nie jest „sługą narodu ukraińskiego", ale partnerem, który w ostatnich latach, często w nadmierny sposób, pomaga obywatelom Ukrainy. Cieszę się, że pan prezydent stawia interes państwa polskiego ponad interes obcych nam państw. Jako Konfederacja oczekujemy od polskiego rządu i prezydenta stosowania wobec państwa ukraińskiego polityki silniejszych sygnałów, które paradoksalnie mogą pomóc w rozwiązywaniu bolesnych spraw z przeszłości – jak ludobójstwo Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. W polityce ważną rolę odgrywają też wdzięczność i szacunek. Powinniśmy uwrażliwiać na tym punkcie Ukraińców. Wydaje się, że właśnie to stara się robić prezydent Nawrocki. I z pewnością Konfederacja.

Czy sprawa Timura Mindycza, biznesmena oskarżonego o defraudację ponad 100 mln dol., przyjaciela prezydenta Zełenskiego – który ostrzeżony w ostatniej chwili uciekł z Ukrainy do Warszawy, a stąd przez nikogo nieniepokojony odleciał spokojnie do Tel Awiwu – nie powinna być wyjaśniona przez polskie władze? Opinia publiczna powinna dowiedzieć się, czy polskie służby miały wiedzę o pobycie Mindycza w Warszawie. Na odpowiedź czeka również pytanie, czy Polska w jakikolwiek sposób ułatwiła transfer przyjaciela Zełenskiego do Izraela.

Oczywiście, że ta sprawa powinna zostać dogłębnie wyjaśniona. Ukraina zmaga się z potężną falą korupcji. Sprawa Mindycza pokazuje, że mamy do czynienia z korupcją w spółkach państwowych, na szczytach władzy, w bezpośrednim otoczeniu pana prezydenta Zełenskiego. W grę wchodzą setki milionów dolarów. Skala tego procederu jest tak ogromna, że wydaje się, iż pan prezydent Zełenski nie mógł o tym nie wiedzieć. Jeśli polskie służby miałyby mieć jakikolwiek udział w transferze Mindycza do Izraela, to nie wyobrażam sobie takiej sytuacji w państwie prawa. Dlatego powtarzam: ta sprawa powinna być w pełni wyjaśniona również w imię obrony dobrego imienia polskiego państwa.

Od kilku dni rząd premiera Tuska po raz kolejny straszy Polaków wojną z Rosją. Asumptem do tej kampanii są domniemane akty sabotażu wykryte na kolei. Za to mało mówi się o forsowanej przez rząd „Krajowej Strategii przeciwdziałania antysemityzmowi", która w niewytłumaczalny sposób promuje jedną grupę narodowościową, czyli Żydów. Nie słyszałem, żeby rząd pracował nad „Krajową Strategią przeciwdziałania antypolonizmowi". Czy to nie dowód choroby toczącej polskie państwo?

Uważam, że każdy naród lub grupa etniczna zasługują na szacunek. Nikt nie ma prawa nikogo dyskryminować. Rzeczywiście w Sejmie pojawił się projekt ustawy sugerujący, że jest jednak wybrana grupa, która powinna być objęta szczególną opieką ze strony państwa polskiego. To zdumiewająca propozycja. Bardzo ciekawe, gdyby udało się ustalić, kto z imienia i nazwiska stoi za pomysłem takiej ustawy. Za ustawą zawsze stoi konkretny człowiek. Taka precedensowa ustawa mogłaby otworzyć drogę do kolejnych ustaw chroniących albo potępiających inne grupy. Polski parlament i rząd powinny przede wszystkim służyć Polsce i Polakom oraz dbać o to, aby jak najlepiej chronić naszą tożsamość, narodowość i interesy, a nie nadawać jakiś uprzywilejowany status społeczności żydowskiej. Z zainteresowaniem przeczytam uzasadnienie tej ustawy. Jestem też bardzo ciekawy, jeśli ta ustawa trafi do komisji, w jaki sposób będzie prowadzona dyskusja. Należy być czujnym, bo niejednokrotnie w trakcie obecnej kadencji Sejmu projekty ustaw były wypaczane w trakcie prac w komisjach. Ustawy, które wydawały się neutralne albo niegroźne, wskutek wprowadzanych w komisjach poprawek nabierały zupełnie innego kształtu. Oby w tym wypadku nie było podobnie.

Premier Donald Tusk jest twarzą elektoratu, który nie popiera programu Konfederacji. Z kolei nasi wyborcy nie wierzą w słowa i niespełniane deklaracje obecnej koalicji

Czy „Krajowa Strategia przeciwdziałania antysemityzmowi" może być krokiem do wdrożenia przez Polskę osławionej amerykańskiej ustawy 447, zakładającej zwrot bezspadkowego mienia żydowskiego?

W Konfederacji nie zapominamy o tym zagrożeniu. Jesteśmy wyczuleni na tym punkcie. Jest oczywiste, że za różnymi ustawami procedowanymi w polskim parlamencie stoją albo lobbyści, albo różne grupy nacisku i interesu. Jako polscy posłowie powinniśmy być szczególnie czujni. I w Konfederacji jesteśmy.

Jest bardzo prawdopodobne, że Konfederacja straci subwencję po odrzuceniu sprawozdania finansowego partii z kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego przez PKW i odrzuceniu skargi na tę decyzję przez Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego. Da się robić skutecznie politykę w Polsce bez pieniędzy z subwencji?

Nie jest to sprawa, która paradoksalnie spędza nam sen z powiek. Idziemy do przodu, choć oczywiście każda partia odczuje brak finansowania w codziennej pracy, jeśli dojdzie do takiej sytuacji. Na poziomie zaangażowania w codzienne funkcjonowanie Klubu Poselskiego Konfederacji niczego to nie zmienia. Walczymy sercem. I będziemy walczyć niezależnie od okoliczności i ostatecznej decyzji o subwencji.

Nie zmienia to również niczego w kontekście wyborów parlamentarnych w 2027 r.?

Jestem przekonany, że nasza uczciwa i ciężka praca na rzecz Polaków zostanie przez wyborców zauważona, a Polacy i nasi sympatycy wesprą nasze starania – także finansowo – oraz naszą walkę podczas kampanii do polskiego parlamentu za dwa lata. Stoi za nami ogromna grupa wyborców, która w nas wierzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



Piotr Semka



FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Czerwony janczar Tuska

Donald Tusk uzyskał posłuszne sobie i znane z bezwzględności narzędzie. Te obawy łagodzi jedynie świadomość, że nowy marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty zawsze w pierwszej kolejności myśli o tym, jak zadbać o własne interesy. Dlatego w określonych okolicznościach może spisać Tuska na straty

Dość ciekawie było obserwować skalę szoku i ukrywanego zniesmaczenia, które towarzyszyły wyborowi przez posłów Koalicji Włodzimierza Czarzastego na marszałka Sejmu. Po korytarzach Sejmu krążyły plotki, że dla Donalda Tuska zabezpieczenie większości dla wyboru nowego marszałka było ponoć priorytetem. Tak tłumaczono niedawną rewizję w poszukiwaniu podpisu Szymona Hołowni. Miał to być element nacisku na byłego marszałka Sejmu, by ten zmusił posłów Polski 2050 do zgodnego zagłosowania za liderem Nowej Lewicy. Istotnie. Z szeroko rozumianego zaplecza koalicji tylko jedna posłanka Polski 2050 zagłosowała przeciw (Agnieszka Buczyńska), jeden poseł od Hołowni (Sławomir Ćwik) wstrzymał się od głosu. Także Michał Kołodziejczak był przeciw. Reszta stanęła murem za postacią, która nie wzbudzała zachwytu prawie u nikogo. Posłowie PSL z mało wyraźnymi minami tłumaczyli się lojalnością koalicyjną, a platformersi w ogóle unikali komentowania wyboru.

Nic dziwnego. Triumfujący Czarzasty kłaniający się posłom z wysokości marszałkowskiego fotela był jak upiór przypominający, że pieszczochy PRL wciąż mogą liczyć u Donalda Tuska na stanowisko drugiej osoby w państwie. Wraz z Ryszardem Kaliszem, który zajmuje ważną funkcję w Państwowej Komisji Wyborczej, oraz czerwonymi dinozaurami wybranymi dzięki Platformie do europarlamentu – dawni PZPR-owcy pokazują, że nie stracili umiejętności spadania na cztery łapy. Nominacja dla Marka Siwca na szefa Kancelarii Sejmu to kolejna demonstracja poczucia siły tej ferajny.

MISTRZ MITOLOGII

W 2015 r. Włodzimierz Czarzasty startował z komitetu wyborczego Zjednoczona Lewica. W wyborczym tekście pisał: „Miłości do przyrody nauczyłem się podczas leśnych spacerów z dziadkiem, który był zagorzałym pepeesowcem [...]. Ostatni strajk oraz pochód pierwszomajowy przed II wojną światową prowadził w Warszawie właśnie on [...]. Przed wojną związek zawodowy tramwajarzy był bardzo silną organizacją, więc cała idea socjalistów oraz PPS-u była w mojej rodzinie szanowana. Potem dziadek zapisał się do PZPR i gdy w wieku 83 lat wchodził na zebranie, to wszyscy wstawali na jego widok".

Włodzimierz Czarzasty urodził się w 1960 r. i – sądząc po jego późniejszym życiorysie – nie było chyba przypadkiem, że otrzymał imię po wodzu rewolucji Włodzimierzu Leninie. Wiele osób sądzi, że jest on synem wysokiego rangą działacza PZPR Zygmunta Czarzastego. Nie jest to prawda, choć na temat swojego pokrewieństwa lub jego braku z Zygmuntem Czarzastym nowy marszałek Sejmu nie chce się wypowiadać. Na studia wybrał Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, który był kuźnią kadr dla przyszłych pracowników „partyjnego frontu ideologicznego". W 1983 r. wstąpił do PZPR, a jednocześnie pełnił w latach 80. funkcję przewodniczącego rady uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich, czyli „zsypu". Była to organizacja młodych karierowiczów, która przyciągała amatorów łatwego wzbogacania się w tzw. spółdzielniach studenckich. Sam Czarzasty po latach wspominał, że w jego środowisku lubiono się zabawić i środowisko to przyciągało piękne dziewczyny. Co ciekawe, tuż po upadku PZPR początkowo nie związał się z Socjaldemokracją Polską Aleksandra Kwaśniewskiego, ale najpierw był członkiem Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna (ROAD), który był ugrupowaniem Bronisława Geremka, Władysława Frasyniuka i Jacka Kuronia. Jednak z czasem Czarzasty rozczarował się tzw. unitami i wrócił do macierzystego środowiska dawnych PZPR-owców. I tu szybko został liderem

eprasa.pl 323840c100

Stowarzyszenia Ordynacka, które gromadziło dawnych „zsypowców".

Około 1999 r. zaczyna się medialny etap jego kariery. Zostaje członkiem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. W latach 1990–2000 był wraz z żoną współwłaścicielem oficyny wydawniczej Muza. Jest też wtedy członkiem rady nadzorczej spółki producentów Euromedia. I wtedy zaczyna się jego do dziś niewyjaśniona do końca rola w przyszłej aferze Rywina. W największym skrócie można ją spróbować opisać jako pomysł na stworzenie koncernu medialnego postkomunistów na wzór Agory Adama Michnika. Czarzasty należy wtedy do tego środowiska w obozie postkomunistycznym, które nie ma ochoty na zginanie karku przed Michnikiem. Chcą stworzyć własną telewizję i na tej drodze nie zamierzają zachowywać wobec Michnika żadnej taryfy ulgowej.

Czarzasty był na tyle sprytny, by we wszystkich tych intrygach działać tak, aby nie pozostawiać żadnych śladów. Gdyby nie zeznania jednej z sekretarek sądzonych w sprawach związanych z rywinowym skandalem o tym, że to z jego inicjatywy nastąpiło wykreślenie słynnego zwrotu „lub czasopisma", nie byłoby żadnych podstaw do twierdzeń, że w ogóle miał coś wspólnego z tamtym skandalem. Otarcie się o sprawę Rywina miało dla Czarzastego jedną poważną konsekwencję. Wszechmocny wtedy Adam Michnik rzucił na niego klątwę, z którą Czarzasty musiał się bardzo długo zmagać.

Po klęsce swoich ambitnych medialnych planów postanowił walczyć o pozycję w Sojuszu Lewicy Demokratycznej, do którego zapisał się w 2012 r. Najpierw zdobył szefostwo mazowieckich struktur partii, a w 2016 r. został liderem SLD. I znów – jak to często było w jego karierze – w mig wyczuł nową koniunkturę. Postanowił włączyć się do frontu demokracji u boku Platformy Obywatelskiej, Komitetu Obrony Demokracji i PSL. Początkowo platformersi z pewnym zażenowaniem obserwowali, jak Czarzasty staje obok nich na wiecach obozu „antykaczyzmu", ale z czasem wyzbywali się zakłopotania. A po powrocie Donalda Tuska do kraju w 2021 r. Czarzasty zaoferował mu swoją lojalną współpracę.

Tą drogą doszedł do pozycji jednego z czterech partnerów Koalicji 13 grudnia. I statusu najwierniejszego z wiernych nigdy nie utracił. To on zawsze chętnie wchodził w rolę dyscyplinatora, który pouczał kolegów, by stali wiernie u boku Donalda Tuska. Gdy Szymon Hołownia zaczął w koalicji brykać, Czarzasty w czerwcu br. mówił tak: „Atakowanie własnej koalicji i opowiadanie w mediach, że jest zła [...], powoduje, że trzeba zrobić jedną rzecz. Kupić sobie wiadro, nalać do niego zimnej wody i wylać sobie na głowę".

NAJTWARDSZY TRZON KOALICJI

Kwaśnym minom, z którymi koalicyjne stadko głosowało za oddaniem laski marszałkowskiej w ręce Czarzastego, towarzyszy jakiś element niepokoju. Po Szymonie Hołowni, który – o dziwo – wykazał się koniec końców instynktem samozachowawczym i odrzucił już całkiem antykonstytucyjne pomysły zablokowania objęcia urzędu przez Karola Nawrockiego, przychodzi nowy marszałek Sejmu, któremu nie drgnie powieka, by wykonać każde polecenie Wielkiego Donalda.

„To my jesteśmy twardym trzonem koalicji" – niemal krzyczał parę miesięcy temu Czarzasty w jednym z radiowych wywiadów. Nowy marszałek ma 65 lat i przewodzenie Sejmowi jest prawdopodobnie zwieńczeniem jego długiej kariery politycznej. I na tym stanowisku chce dożeglować do wyborów w 2027 r. Powtórzmy raz jeszcze: Donald Tusk uzyskał posłuszne sobie i znane z bezwzględności narzędzie. Te obawy łagodzi jedynie świadomość, że Czarzasty zawsze w pierwszej kolejności myśli o tym, jak zadbać o własne interesy. Dlatego w określonych okolicznościach może spisać Tuska na straty. Ale tylko wtedy, gdy lider Platformy będzie słaby. A dopóty, dopóki jest silny – a na razie jest – będzie się z nim liczył.

Bo taki jest Czarzasty. Tego nauczyła go długa podróż przez aparat komunistyczny. Jej zasady były proste. W odpowiednim momencie popierać kogo trzeba – na czas porzucać tych patronów, którzy słabną, i wypić z tym, kto może zapewnić kolejny etap kariery. W tym sensie był komunistą konformistycznym. Dobrze opisał ten fenomen nowego marszałka na Facebooku uważny obserwator naszej sceny politycznej Krzysztof Panek: „Charakter »komunistów« pokroju Czarzastego najlepiej chyba opisał Z. Krasiński: »że wojen religijnych u nas nie było, to tylko dowód, że nikt w nic nie wierzył mocno« [...] do PZPR jeszcze w 1989 roku należało ponad dwa miliony Polaków, którzy bez żalu ją opuścili, jak przestało to przynosić korzyści. Ba, szacuje się, że w czasach pierwszej Solidarności w 1980 roku stanowili oni 10 proc. jej członków. Czy tylko z nadziei, że znajdą tam konfitury? Nie wiem. Raczej zwykli ludzie, którzy jedynie nie chcieli lub nie potrafili być bohaterami".

Jest w tym sporo racji, ale ten wywód pomija jedną okoliczność. W wypadku Czarzastego nie było to tylko zapisanie się do PZPR wskutek tchórzostwa. Partia komunistyczna i – szerzej – jej aparat były dla Czarzastego swoistym uniwersytetem politycznej bezwzględności i cynizmu. I ten wpływ na osobowość nowego marszałka musi niepokoić najbardziej. Wydumany? No to zajrzyjmy do książki Kamila Dziubki o Donaldzie Tusku. Niedawno fragment tej książki przypomniał Antoni Dudek na swoim koncie facebookowym. Dziubka cytuje tam bardzo smakowitą opowieść, którą usłyszał od jednego z posłów Lewicy. „Tusk chyba długo ulegał opowieściom Millera, że Czarzasty sprywatyzował partię. Była taka historia, że wiceprzewodniczący naszego ugrupowania chcieli zrobić zamach na Włodka. No to Włodek większość z nich zawiesił przed posiedzeniem zarządu partii, na którym miało dojść do przesilenia. Został uznany za dyktatora, afera się z tego zrobiła. A było to już po powrocie Tuska do Polski. I jak Włodek się z Donaldem spotkali pierwszy raz, to go Tusk spytał o tę całą aferę. Czarzasty mu odpowiedział: »Ty mnie do tego zainspirowałeś«. Tusk był zdziwiony. A Włodek ciągnął: »Ty zrobiłeś coś, na co nikt by się nie odważył. Wszedłeś na salę, gdzie siedziała wierchuszka Platformy, a w pierwszym rzędzie siedział facet, który rok wcześniej wziął 10 mln głosów, czyli Trzaskowski. I on powinien wziąć tę partię z poparciem połowy narodu. A ty po prostu wszedłeś i powiedziałeś mu, żeby »wypier.alał«. Faktycznie jak Czarzasty zobaczył, co Tusk zrobił z Trzaskowskim, stracił wszelkie opory".

W tym cytacie jest wszystko, co ukonstytuowało Czarzastego przez długie lata jego terminowania w polityce. Fascynacja silnymi, pogarda dla słabych i instynkt trzymania się z tymi, którzy pną się w górę. Słowem – cały Czarzasty.

Od teraz to drugi człowiek w państwie. Jeden zamach stanu 13 grudnia 1981 r. już poparł. Poparcie kolejnego zapewne nie sprawi mu trudności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



Poseł Paulina Matysiak ma sporą grupę zarówno fanów, jak i zajadłych krytyków

FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

Rozkład jazdy poseł z Kutna

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

„Rozkład jazdy jest znany, jazda z libkami” – tym zadziornym hasłem można podsumować dotychczasową działalność Pauliny Matysiak, niedawno wykluczonej z partii Razem. Komu przeszkadza „posłanka z Kutna”?

Bestia z Kutna”, „posłanka z Kutna”, „towarzyszka PiS”, „Paulina PiS-Matysiak” – w zależności od sympatii lub jej braku Paulina Matysiak dorobiła się wielu przydomków. Urodzona w 1984 r. w Kutnie absolwentka polonistyki na UMK w Toruniu i kilku kursów podyplomowych ma sporą grupę zarówno fanów, jak i zajadłych krytyków. Choć od dawna jej gotowość do współpracy z opozycją wywoływała głosy sprzeciwu w koalicji, to momentem przełomowym było założenie w czerwcu 2024 r. wraz z posłem PiS Marcinem Horałą stowarzyszenia Tak dla Rozwoju. Założyciele zadeklarowali, że chcą „odłożyć na bok” różnice „światopoglądowe, historyczne i inne”, aby zaangażować polityków różnych opcji, organizacje i obywateli w pracę nad „kluczowymi dla rozwoju Polski” inwestycjami. Jako priorytety przedstawili budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego, elektrowni jądrowych, rozbudowę portów i rozwój Wojska Polskiego. – Są takie sprawy, które potrafią nas połączyć, i tymi sprawami są projekty, które będą służyły rozwojowi Polski – wyjaśniała Matysiak. A Horała dodawał: „Bo rozwój Polski nie ma barw politycznych i służy wszystkim różnych ideologii, różnych przekonań i wszyscy razem powinniśmy pracować dla rozwoju naszego kraju”.

ZA BLISKO PIS

Partia Razem odcięła się wtedy od swojej posłanki. „Założenie stowarzyszenia z panem Horałą to prywatna inicjatywa Pauliny Matysiak, podjęta wbrew woli władz Razem. Partia Razem odcina się od tego przedsięwzięcia” – podano w komunikacie ugrupowania. Od tego czasu „zapisywanie do PiS” stało się dla Matysiak codziennością. Niedługo później została zawieszona w klubie Lewicy (do którego należy Razem, choć partia ta nie jest częścią koalicji rządowej) i w formacji. Portal OKO.press opisał wtedy „wszystkie winy Horały”, chcąc podkreślić, z jak – według serwisu – odrażającą postacią weszła we współpracę Matysiak. „Horała: od nagonki wobec LGBT do nagonki wobec migrantów. Budowanie wspólnego ruchu społecznego przez polityczkę partii Razem, ugrupowania podkreślającego swoje przywiązanie do praw człowieka, z Marcinem Horałą, który aktywnie uczestniczył w ich łamaniu podczas rządów PiS, a w opozycji promuje rasistowską nagonkę swojej partii, wygląda na polityczny mezalians” – ogłoszono.

„Dla rozwoju to można pracować z ludźmi, którzy nie deptali polskiej demokracji i praworządności! O rozwoju to można rozmawiać, ale wewnątrz Koalicji 15 października, a nie z PiS-em! Jeśli to ma być to stawianie na samodzielność w lewicowej koalicji, to ja się definitywnie od tego odcinam. Można wybrać różne drogi, ale nigdy nie będę milczał, jak ktoś wybiera drogę współpracy z ludźmi z PiS, którzy do niedawna byli jeszcze członkami rządu Kaczyńskiego i Morawieckiego. Wstyd!” – grzmiał wi-

eprasa.pl 323840c100

cepremier, minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski.

Katarzyna Kotula oburzała się: „Świetni partnerzy do »realizacji programu Lewicy«. Od tygodni chodzicie i wmawiacie ludziom, że z NL w rządzie się podobno nie da, ale z PiS można? OK. Nie mam pytań".

Po raz drugi klub Lewicy zawiesił parlamentarzystkę we wrześniu ubiegłego roku, nie podając przyczyny. Ze słowami wsparcia pospieszyli za to posłowie PiS. „Szanowna Paulino! To jednak jakiś masochizm polityczny trwanie w klubie poselskim, który jest odwrócony plecami do prorozwojowej wizji Polski. Szkoda życia i szkoda energii. Odwagi" – apelował Janusz Kowalski. A Jan Mosiński stwierdził: „Te kary nakładane na panią to strach z ich strony". W grudniu, po nałożeniu grzywny, partia Razem odwiesiła Matysiak.

SKREŚLONA

Kolejnym ciosem dla strony rządowej był udział Pauliny Matysiak w Radzie Gabinetowej, zwołanej pod koniec sierpnia przez świeżo zaprzysiężonego na urząd prezydenta Karola Nawrockiego. Poseł informowała, że otrzymała zaproszenie od prezydenta jako współprzewodnicząca Tak dla Rozwoju, ponieważ na Radzie poruszony zostanie temat CPK. Roman Giertych z KO stwierdził: „Razem już oficjalnie razem z PiS. Pani Matysiak w sztabie Nawrockiego. Gratulacje panie Zandberg. Zawsze Pan byłeś agentem skrajnej prawicy, tylko wstydziłeś się przyznać".

W kpiącym tonie sprawę skomentowała szefowa klubu Lewicy Anna Maria Żukowska, która nigdy nie pałała do koleżanki z sejmowych ław nadmierną sympatią. „W Razem na pewno duma z Pauliny Matysiak" – napisała w serwisie X.

Choć partia Razem bywa mocniejszym krytykiem rządu Donalda Tuska niż PiS czy Konfederacja, to w końcu Adrian Zandberg prawdopodobnie uległ presji. W listopadzie tego roku formacja zdecydowała o odebraniu Matysiak członkostwa. Według nieoficjalnych doniesień Razem, której notowania w sondażach nie rokują na powodzenie w samodzielnym starcie, ma się skłaniać do utworzenia wspólnych list z Nową Lewicą Włodzimierza Czarzastego (mimo że posłowie Razem byli przeciwni Czarzastemu w fotelu marszałka Sejmu). Przy takiej współpracy gotowa do rozmowy z PiS Matysiak byłaby problemem.

– Dzień dobry kochani, pewnie zastanawiacie się, co u mnie, jak się mam, co dalej. O to pytacie w wiadomościach, których wysłaliście bardzo dużo. Za wszystkie dziękuję […]. Otrzymałam uchwałę Zarządu Krajowego. Ona jest bardzo ogólna, tam nie ma konkretnych wskazań, jakie są powody mojego wykluczenia poza ogólnikowym – brakiem współpracy – tak poseł z Kutna zareagowała na decyzję władz partii. – Decyzję podjął Zarząd Krajowy. Zmiany, które to umożliwiły, zapadły w ostatni weekend na kongresie partii Razem, gdzie pojawiła się poprawka do statutu, która takie uprawnienia daje władzom partii. Mogę się odwołać od uchwały do Rady Krajowej i ona może zmienić decyzję. Tutaj potrzeba dwóch trzecich głosów do podtrzymania decyzji Zarządu Krajowego. Tak, będę to robić, bo uważam, że jestem niesprawiedliwie potraktowana – wskazała.

– Nawet jeżeli jakieś działania, które podejmowałam, mogły u kogoś budzić jakieś wątpliwości, to mogę jasno powiedzieć, że zawsze wynikały z troski o ludzi, wiary w Polskę, chęci rozwoju naszego kraju. To było motywacją moich działań, a nie chęć robienia inby, konfrontowania się czy robienia szumu dla samego szumu – zapewniła polityk.

Matysiak obiecuje, że będzie pracować tak jak dotychczas. – Jestem pewna, że gdybym była posłanką, która nic nie robi, tylko pobiera dietę, absolutnie nie miałabym problemów. Ani w partii, ani w klubie […]. Jeżeli ktoś chce działać, mówi głośno o kwestiach, które są problematyczne, dostaje po głowie. Nie tak powinna wyglądać polityka. Mnie interesuje polityka, nie politykierstwo, i to są takie główne osie podziału – podkreśla.

W nagraniu opublikowanym po wyrzuceniu z partii Matysiak przypomina swoją historię. – Do partii Razem zapisałam się w 2017 r. Początkowo działałam w strukturach toruńskich. Zresztą właśnie z Toruniem, województwem kujawsko-pomorskim były związane moje dwa starty wyborcze – do Sejmiku Województwa Kujawsko-Pomorskiego w wyborach samorządowych w 2018 r. i po raz kolejny w wyborach europarlamentarnych w 2019 r. W tych wyborach zdobywałam polityczne szlify. Uczyłam się, jak prowadzić bądź nie prowadzić kampanii wyborczych. Uczyłam się polityki. Części osób, z którymi pracowałam, które się przewinęły, już nie ma, odeszły. To były ich decyzje […]. Te osiem lat to bardzo ciekawy, intensywny czas. Działałam w partii na bardzo różnych szczeblach. Zarówno w zarządzie okręgu, w takiej podstawowej funkcjonowania partii, jak i w Zarządzie Krajowym – wspomina.

Deklaruje chęć współpracy z osobami, które dotychczas działały z nią w Razem. – Będę swój mandat poselski realizowała jako posłanka niezrzeszona, czyli posłanka z Kutna. Posłanka, którą jestem i którą byłam niezależnie, czy miałam afiliację partyjną czy byłam zawieszona. Tak będę pracowała w Sejmie i jeszcze nieraz usłyszycie o moich działaniach, poprawkach, które będę zgłaszała do projektów. Moje biuro poselskie pracuje – wskazuje Paulina Matysiak.

CO DALEJ?

Co ciekawe, cztery dni przed decyzją partii Adriana Zandberga o pozbyciu się uciążliwej poseł „Newsweek" opublikował tekst pt. „Samotność ulubionej towarzyszki PiS. W Sejmie traktują ją jak zadżumioną". W licznych anonimowych wypowiedziach przedstawiono parlamentarzystce całą listę zarzutów. Najpoważniejszy – dogadywanie się z PiS. „Problem z nią polega na tym, że potrafi udawać, iż części rzeczywistości po prostu nie ma. Że PiS to nie jest ta partia, która zaostrzyła prawo do aborcji albo szczuła na osoby LGBT. Widzi CPK albo szprychę dla pociągów, a nie widzi piekła kobiet. Od miesięcy zachodzę w głowę, o co jej do cholery chodzi" – oburzała się polityk Lewicy.

Jakiś czas temu media obiegła plotka o starcie Pauliny Matysiak z list PiS w kolejnych wyborach parlamentarnych. Sama zainteresowana zaprzeczyła, jednak po decyzji Razem temat powrócił. – Myślę, że dla takich ludzi, którzy wnoszą dobre rzeczy do polskiej polityki, miejsce się powinno znaleźć – stwierdził w Polskim Radiu poseł PiS Krzysztof Lipiec.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



Inauguracja projektu „Trenuj jak żołnierz", poszerzonej 16-dniowej wersji szkoleń dla ochotników, w 1. Warszawskiej Brygadzie Pancernej w Warszawie-Wesołej, 13 kwietnia 2023 r. FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Obrona cywilna alla polacca



Jerzy Karwelis

Samorząd w Polsce obarczony jest niewdzięcznymi obowiązkami. Chodzi o budowę systemów zapewniających bezpieczeństwo i odporność w czasie wojny. Ale państwo na realizację nowych zadań nie przekazuje wystarczających środków. Dlatego mamy samorząd zadłużony

Ostatnio wiele mówi się o przygotowaniach do wojny. Zaczynamy powoli odchodzić od szkodliwego mitu, że losy wojny decydują się na frontach. Doświadczenie ukraińskie jawnie pokazuje, że przygotowanie się do konfliktu zbrojnego, zapobieganie mu, a szczególnie toczenie walk wymaga zaangażowania całego społeczeństwa. Szczególnie rola ludności cywilnej jest bardzo znacząca – cywile powinni czuć się bronieni przed skutkami wojny, gdyż stan ich morale decyduje o wsparciu wysiłku wojskowego, co stanowi o przebiegu wydarzeń oraz wyniku działań zbrojnych. Mogą oni być też obiektem szantażu wojennego, kiedy cała sfera niewojenna staje się zakładnikiem działań bojowych wroga. Dlatego tak ważna jest kwestia obrony cywilnej. Odporność odstrasza, tak jak jej brak rozzuchwala ewentualnego agresora.

SKRÓCONA HISTORIA

Za czasów PRL mieliśmy dość rozbudowaną obronę cywilną. Jako członkowie Układu Warszawskiego, o dość agresywnej doktrynie, byliśmy jej uczeni w szkołach na lekcjach, ćwiczeni i mobilizowani w korpusie obrony cywilnej istniejącym praktycznie przy każdym zakładzie pracy. Młodzież strzelała na strzelnicach, szkolono cywilów z zasad obrony cywilnej, istniał całkiem dobrze zhierarchizowany system obrony cywilnej od szczebla centralnego, poprzez wojewódzki, aż do samych gmin. System ten w III RP został praktycznie rozwiązany poprzez zaniechanie.

Okazało się bowiem, że obrona cywilna to kolejny obszar zapomniany przy przejściu od PRL do III RP. Pogłoski o „końcu historii" i parasol NATO rozleniwiły nas w przygotowaniu systemowych rozwiązań dotyczących odporności na agresję. Jeżeli były jakieś plany organizacyjne w zakresie odporności, to dotyczyły one reagowania na sytuacje kryzysowe. O to chodziło przy uchwalaniu tych regulacji tuż przed powodzią 2007 r. Zadania te powierzono samorządom, gdzie powstały jednostki odpowiedzialne za reagowanie na wypadek klęsk żywiołowych czy blackoutów. Dopiero na początku 2025 r. weszła w życie ustawa o ochronie ludności i obronie cywilnej, wyraźnie inspirowana sytuacją wojenną na Ukrainie. Nie miejsce tu, by poddawać ją krytycznej ocenie, gdyż lepiej się tu zająć bardziej skutkami jej wdrażania. Ale warto zauważyć, że przebija w niej duży zamęt decyzyjny. Jest jak z polską konstytucją – nie wiadomo, kto rządzi, czyli kwestia odpowiedzialności jest rozmyta. Bo niby za organizację obrony cywilnej (OC) ma odpowiadać Państwowa Straż Pożarna, ale gros obowiązków przypisuje się w ustawie samorządowi terytorialnemu. W ogóle w tym regulacyjnym rozwiązaniu przebija myślenie strażackie: ten, kto pisał tę ustawę, wyraźnie uważał, że obrona cywilna to straż pożarna plus schrony, co jest herezją.

W regulacji stoi, że na obronę cywilną przeznacza się corocznie 0,3 proc. PKB. Środki te dzieli się per capita na województwa, wojewodowie zaś przyznają te pieniądze samorządom według zasad programu ochrony ludności i obrony cywilnej (uchwalonym po sześciu miesiącach od przyjęcia ustawy) w ten sposób, że stworzono siedem obszarów do finansowania podzielonych na lata i kwoty. Wojewodowie przysyłają samorządowcom tabelki z możliwym do finansowania asortymentem wraz z limitem kosztów na gminę czy powiat, lokalni włodarze wybierają, co im pasuje, wyceniają w ramach przyznanych im kwot i wnioskują do wojewody o przyznanie środków na konkretne zakupy

eprasa.pl 323840c100

i inwestycje. Wygląda niby racjonalnie, ale tu, właśnie przy wdrażaniu programu, pokazują się schody.

PROBLEMY

W Programie Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej (OLiOC) przewidziano realizację w roku 2025 dwóch obszarów: budowy schronów i zapewnienia ciągłości dostaw. W specyfice działań Jednostek Samorządu Terytorialnego (JST) kwestia pierwszego obszaru jest nie do rozliczenia w tym roku (może z wyjątkiem inwentaryzacji), jako że pieniądze będą dopiero w IV kwartale, a wyłonienie wykonawcy, zaprojektowanie i wykonanie budowy oraz rozliczenie inwestycji samorządowej nie są możliwe w przeciągu tak krótkiego czasu.

Przez cały 2025 r. samorządy czekały na wytyczne – co mogą zamówić. Dostały je na przełomie lipca i sierpnia z… dwu-, trzydniowym terminem odniesienia się co do woli zakupów i wybrania asortymentu. W rezultacie samorządy zwracały się głównie do straży pożarnej, by kupić „cokolwiek", aby te pieniądze nie przepadły, a samorządy wykazały się absorpcją środków.

Co dziwi – okazało się, że środki przeznaczone na OC w JST zostały rozdzielone po połowie między MON a MSWiA, a jedynie pula z MON jest przekazywana obecnie na samorządy. Oznacza to, że połowę z tej kwoty, przeznaczonej w ustawie na OC, „zagospodarowało" MSWiA, głównie na potrzeby Państwowej Straży Pożarnej. Jest to rozwiązanie niedopuszczalne i stanowi wytłumaczenie fenomenu, że z przeznaczonych w 2025 r. 16,7 mld zł na obronę cywilną do samorządu dotarło jedynie ok. 4,5 mld. Warto zaznaczyć, że „zniknięcie" po drodze takiej kwoty to znaczne uszczuplenie możliwości wykonania zadań samorządu powierzonych mu przez państwo w ustawie. Ustawa nie jest po to, by doposażyć istniejące struktury, ale po to, by powstała spójna infrastruktura OC w każdym samorządzie.

Obserwować można różnice w wytycznych pomiędzy województwami. Na przykład wojewoda mazowiecki, mamy nadzieję, że z powodu zamieszania komunikacyjnego, pośrednio zniechęca JST do zakupu środków łączności. Z kolei – w obszarze dotyczącym zapewnienia ciągłości dostaw! – informuje, że pojazdy

W ustawie o ochronie ludności i obronie cywilnej daje o sobie znać duży zamęt decyzyjny. Jest jak z polską konstytucją – nie wiadomo, kto rządzi, czyli kwestia odpowiedzialności jest rozmyta

będą finansowane wyłącznie dla Państwowej Straży Pożarnej. Z kolei wojewoda podlaski w ogóle zabrania zakupu pojazdów (uwaga! w realizacji obszaru „zapewnienie ciągłości dostaw"), co biorąc pod uwagę logistykę takich zadań, jest kompletnie nielogiczne. Tymi problemami właśnie zajęła się ostatnio Komisja Wspólna Rządu i Samorządu, która próbuje ratować sytuację.

Kolejna kwestia to udrożnienie korzystania ze źródeł finansowania, innych niż te przewidziane w programie ochrony ludności i obrony cywilnej. Na pierwszy rzut oka tymi źródłami są środki z KPO przekierowane na program Funduszu Bezpieczeństwa i Obronności, środki z programu SAFE oraz kredyty z Europejskiego Banku Inwestycyjnego na budowę infrastruktury podwójnego zastosowania – cywilnego i wojskowego. Niestety, te środki z KPO, jeśli już będą, stanowią pożyczkową część tego programu, gdyż ta dotacyjna część rozeszła się już m.in. na kontrowersyjne projekty. Te źródła wymagają też decyzji państwa co do tego, czy środki te będą umarzane lub chociażby nie wejdą do limitów zadłużania się JST.

DOŚWIADCZENIA

To wszystko nie buduje systemu: znowu nie czerpiemy z doświadczeń zza miedzy. Na Ukrainie było tak samo, oni tam też praktycznie budowali obronę cywilną od podstaw, i to jeszcze pod bombami. Toż to nic prostszego, niż przepatrzeć tamtejszy system i adaptować go do polskiej specyfiki. Na Ukrainie postanowiono nie budować od początku systemu obrony cywilnej, tylko oprzeć go na istniejącej infrastrukturze innych obszarów. Zdecydowano się na… sieć stacji benzynowych, w oparciu o którą zbudowano ok. 13 tys. tzw. punktów niezłomności. Są to miejsca, gdzie każdy obywatel może dostać podstawową pomoc: ogrzać się, uzupełnić energię, zapasy żywności i wody, otrzymać wstępną opiekę medyczną, transport czy nawiązać łączność.

Na tym modelu została oparta koncepcja Punktów Pomocy Mieszkańcom w planie obrony cywilnej Rzeszowa, gdyż jest to rozwiązanie oparte na istniejącej strukturze budynków publicznych, w tym wypadku z zasobów miejskich, ale – w skali kraju – rozważane jest oparcie się na sieci infrastruktury Ochotniczej Straży Pożarnej, a nawet na parafiach przykościelnych. Jest to podejście „oddolne", gdyż ani ustawa, ani programy obrony cywilnej nie generują żadnego spójnego systemu w postaci budowania infrastruktury obrony cywilnej – tam mówi się tylko o tym, kto co będzie mógł kupić i za ile.

Państwo polskie kolejny raz trenuje ten sam model: obarcza niewdzięcznymi obowiązkami samorząd, nie dając na nowe zadania wystarczających środków. Dlatego mamy samorząd zadłużony, gdy takie postępowanie jest od dawna kreowaniem długu na sfinansowanie edukacji czy służby zdrowia. Teraz do tych zadań dochodzi obrona cywilna – i znowu: nowe zadania i za mało pieniędzy. Samorząd po raz pierwszy dotyka kluczowych zadań, którymi są budowa systemów zapewniających bezpieczeństwo i odporność w czasie wojny. A ta domena jest podstawowym zadaniem państwa. Można je powierzyć co prawda samorządowi do operacyjnego wykonania, ale wtedy należy postępować uczciwie – bez żadnego lobby, które ma np. przekierować środki z obrony cywilnej na doposażenie straży pożarnych.

Doświadczenia z wprowadzania programu obrony cywilnej jasno pokazują, że jeżeli ona ma powstać ułożona w jakiś system, to stanie się to tylko od dołu. Samorząd – jak zwykle – dowiezie te zadania, ale państwo powinno tu być bardzo transparentne i rzeczywiście dać środki na realizację zadań lokalnych, o których wydatkowaniu decydować powinien sam samorząd. Należy pamiętać, że obrona cywilna jest jak gaśnica wisząca na ścianie – ma być gotowa do użycia w każdej chwili, my zaś powinniśmy tak prowadzić nasze sprawy, by nigdy z tej ściany nie musiała być ściągana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



FOT. ADOBE STOCK, SHUTTERSTOCK

Polska blacha włoskiej vespy



Radosław Wojtas

Po ulicach Neapolu jeździ ponad 30 tys. pojazdów z polskimi tablicami rejestracyjnymi. Czy włoski sposób na tańsze OC sprawia, że kierowcy z Polski płacą więcej za ubezpieczenie komunikacyjne?

Jakie argumenty słyszą państwo z ust swojego ubezpieczyciela, który tłumaczy, dlaczego – mimo kolejnego roku bezszkodowej jazdy – znów trzeba zapłacić więcej za ubezpieczenie OC pojazdu? Gdyby obok zwyczajowych tłumaczeń: „wysoka inflacja", „wszystkie towarzystwa ubezpieczeniowe podniosły ceny", agent powiedział, że „to przez Włochów", to można by się poważnie zastanowić nad jego wiarygodnością. Ale fakty są takie, że Włosi mogą mieć większy wpływ na ceny ubezpieczeń oferowane na polskim rynku, niż mogłoby się wydawać.

Wszystko przez proceder polegający na tym, że mieszkańcy słonecznej Italii poruszają się po ulicach swoich miast samochodami i skuterami rejestrowanymi w krajach, w których ubezpieczenia są znacznie tańsze niż u nich. Włoska prasa donosi, że taka praktyka jest szczególnie popularna w Neapolu, a tamtejsi lokalsi jeśli już jeżdżą pojazdami na obcych tablicach rejestracyjnych, to najczęściej są to tablice ze znaczkiem PL. – To pośrednio uderza w uczciwych klientów – mówi money.pl Artur Dziekański, rzecznik Polskiej Izby Ubezpieczeń (PIU).

NA DUŻĄ SKALĘ

Antonio z Neapolu, którego cytuje włoska „Panorama", mówi, że jeździ samochodem na polskich tablicach rejestracyjnych, bo wówczas ubezpieczenie OC kosztuje go jedną trzecią kwoty, którą musiałby zapłacić włoskiemu towarzystwu ubezpieczeń. Robi tak od dawna i nie ponosi żadnych konsekwencji, nie czuje różnicy, więc nie widzi potrzeby, by cokolwiek zmieniać i przepłacać. Vincenzo bez ogródek i z uśmiechem na ustach mówi, że posiadacz polskich tablic rejestracyjnych w Neapolu nie musi martwić się mandatami. Parkuje, gdzie chce, a jeśli za wycieraczką znajdzie karteczkę z pieczątką, to beztrosko ją wyrzuca. Gennaro jest wręcz zaskoczony pytaniem o motywy i sam odpowiada pytaniem: „Tutaj wszyscy tak

eprasa.pl 323840c100

robią. Czy ja jestem wioskowym głupkiem, żeby nie oszczędzać w ten sposób?".

Z tym, że robią tak wszyscy, Gennaro oczywiście przestrzelił, ale skala zjawiska rzeczywiście jest duża. Dziennik „Corriere della Sera", powołując się na ustalenia autorów programu „FarWest" publicznej telewizji Rai, donosi, że w całej Italii porusza się ok. 55 tys. pojazdów z polskimi lub bułgarskimi tablicami rejestracyjnymi, z czego aż 35 tys. jeździ po ulicach Neapolu. „Od Posillipo po Margellinę, od Vomero po Dzielnicę Hiszpańską, po mieście jeździ ok. 35 tys. pojazdów ze wschodnioeuropejskimi tablicami rejestracyjnymi: głównie polskimi, rzadziej bułgarskimi" – piszą dziennikarze »Panoramy«. I podają dokładne statystyki, które zebrali na początku 2025 r.: „na 699 873 pojazdy zarejestrowane w prowincji na dzień 31 grudnia 2023 r. (najnowsze dostępne dane) mniej więcej co 20. jest polski lub bułgarski. Nikt, kto ostatnio jechał w cieniu Wezuwiusza, nie mógł nie zauważyć tego zjawiska i nie być nim zdumionym. Często są to samochody z dużymi silnikami [dla których ubezpieczenie OC jest droższe – przyp. R.W.], ale zjawisko to dotyczy także małych samochodów, a nawet motocykli i motorowerów".

– Głównym celem procederu włoskiego jest uzyskanie korzystniejszej składki za ubezpieczenie OC. W Polsce średnia za 2024 r. to 538 zł, podczas gdy we Włoszech to ponad 600 euro. Jednak składki dotyczące pojazdów użytkowanych w Neapolu to już ponad 1,1 tys. euro. Różnica w ich wysokości jest następstwem odmiennie kształtującego się ryzyka dla ubezpieczyciela – wyjaśnia dla money.pl Artur Dziekański, rzecznik Polskiej Izby Ubezpieczeń.

PIECZĄTKA Z POLSKI

Obecność w Neapolu tak dużej liczby vesp, fiatów i innych pojazdów z polskimi rejestracjami Włosi zawdzięczają Trybunałowi Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Gdyby do dziś obowiązywał dekret z 2018 r. Mattea Salviniego (wówczas ministra spraw wewnętrznych), według którego pojazd zarejestrowany poza granicami Włoch mógł się poruszać w Italii nieprzerwanie jedynie przez 60 dni, dziś pojazdów z polskimi rejestracjami byłoby w Neapolu zdecydowanie mniej. Jednak rozporządzenie to zostało podważone właśnie przez TSUE, który w grudniu 2021 r. uznał to rozporządzenie za niezgodne z unijną zasadą swobodnego przepływu obywateli i towarów.

Tak oto stworzył się grunt, na którym spotkały się włoska pomysłowość i polska przedsiębiorczość. Formalnie właścicielem pojazdu zarejestrowanego w Polsce nie jest Włoch, ale pośrednik, który rejestruje samochód w Polsce i tutaj go ubezpiecza. Ubezpieczyciel nie weryfikuje tego, kto i gdzie rzeczywiście użytkuje samochód. Taka praktyka przynosi zresztą oszczędności również Polakom, którzy mieszkają w dużych miastach, ale są zameldowani w małych miejscowościach, tam rejestrują pojazdy i dzięki temu płacą niższe składki. Polski pośrednik fikcyjnie wypożycza auto lub skuter mieszkańcowi Neapolu. „Aby wszystko było zgodne z prawem, wystarczy, przynajmniej na razie, zarejestrować zagraniczny pojazd w REVE (Rejestrze Pojazdów Zagranicznych), wprowadzonym w marcu 2022 r. Jeśli zatrzyma cię drogówka, to wystarczy pokazać »zwykłą« umowę z pieczątkami zagranicznej agencji i nikt nie może ci nic zrobić. Aby uniknąć nawet najmniejszego ryzyka utraty prawa własności do samochodu, wystarczy podpisać z agencją leasingową prostą umowę prywatną, która pozwala włoskiemu właścicielowi odzyskać prawo własności pojazdu w dowolnym momencie" – wyjaśnia włoski dziennikarz Maurizio Tortorella.

Taki trik – jak podaje Tortorella – kosztuje w pierwszym roku 800 euro, ale w kolejnych już o połowę mniej. W takim scenariuszu neapolitańczyk oszczędza 600–700 euro rocznie, a polski pośrednik, jeśli ubezpieczy pojazd w średniej dla Polski cenie ok. 500 zł, zarabia ponad 1 tys. zł na każdej umowie. Ale dla Włochów to nie koniec oszczędności. Wspominaliśmy już o oszczędności na mandatach. Teoretycznie rejestr REVE umożliwia szybką identyfikację zagranicznego właściciela pojazdu. Ale jak przyznają włoskie media, biurokratyczna maszyna działa pod Wezuwiuszem tak leniwie, że mandaty do Polski wysyłane są rzadko, a jeśli już tak się zdarzy, to najczęściej są to listy w jedną stronę. To nie koniec oszczędności, bo rejestracja pojazdu w Polsce pozwala Włochom na uniknięcie płacenia podatku drogowego.

Doraźna walka z rejestracją pojazdów poza Italią nie przynosiła rezultatów. W listopadzie ubiegłego roku carabinieri przeprowadzili akcję sprawdzania pojazdów z zagranicznymi tablicami rejestracyjnymi. Ponad 400 kontroli zaowocowało 19 konfiskatami, bo tablice i/lub dokumenty były sfałszowane. Miesiąc wcześniej Guardia di Finanza skonfiskowała paczkę zawierającą 21 polskich tablic i 14 dowodów rejestracyjnych, a także sześć umów kupna-sprzedaży.

Matteo Salvini, dziś wicepremier oraz minister infrastruktury i transportu, ponownie mówi „dość" i wraca do pomysłu, który został zakwestionowany przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Jak donosi „Panorama", wprowadzona w tym roku modernizacja kodeksu drogowego zabrania Włochom użytkowania auta zarejestrowanego za granicą dłużej niż trzy miesiące. Po tym czasie muszą je przerejestrować i ubezpieczyć w kraju. Włoskie pismo zastanawia się, czy przepisy nie zostaną zablokowane przez TSUE, a przede wszystkim – czy ich przestrzeganie będzie egzekwowane i jak szybko ich wprowadzenie zmieni rzeczywistość na ulicach Neapolu.

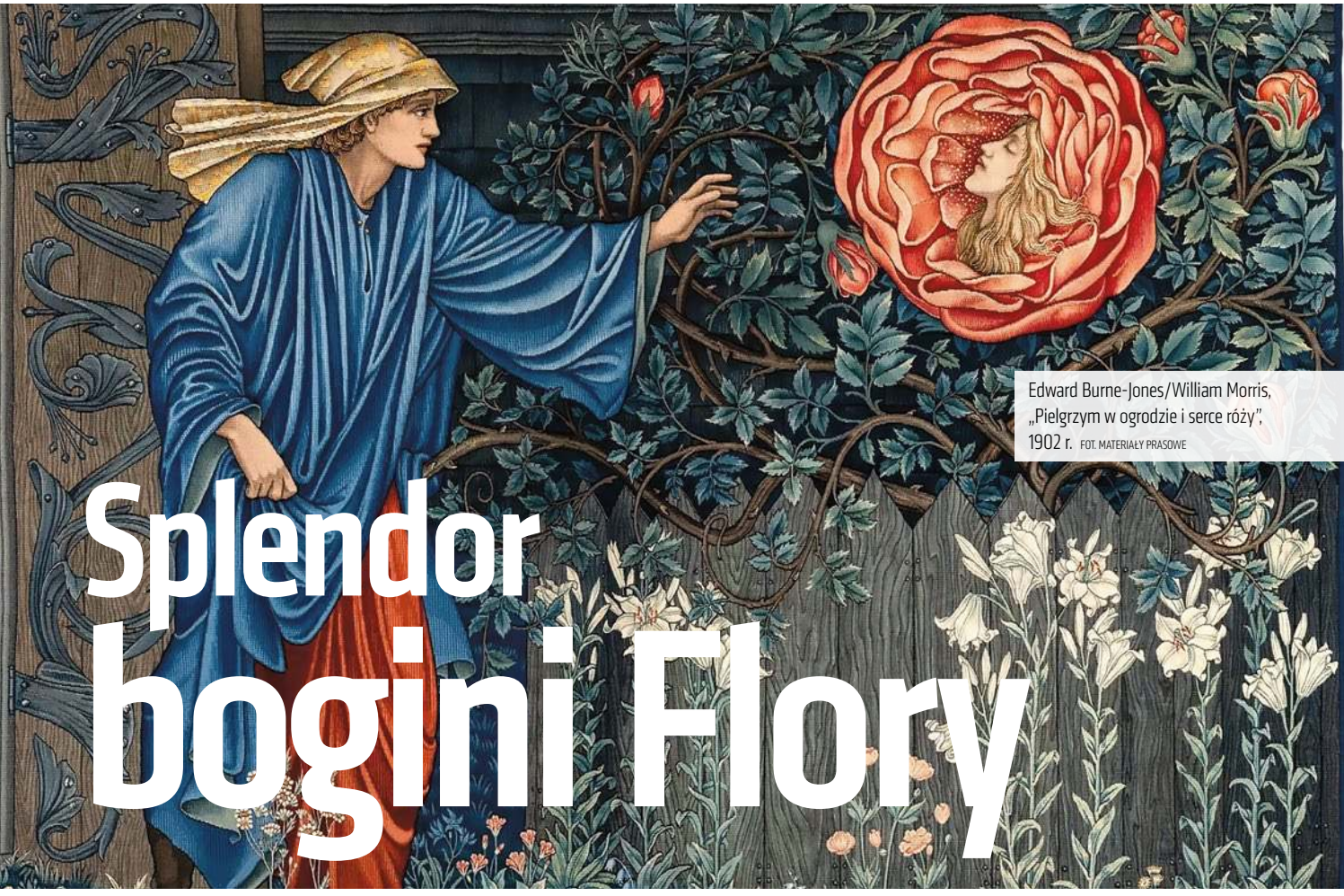
DROŻEJ DLA POLAKÓW?

Włoskie media przestrzegają kierowców z Italii, że w razie stłuczki uruchomienie tak zawartej polisy może być niemożliwe. Jeśli jednak takie polisy są wypłacane przez polskie towarzystwa ubezpieczeniowe, to nie dzieje się to bez wpływu na średnie ceny ubezpieczeń – przestrzegają eksperci. – Każde oszustwo i udana działalność przestępcza wpływają na wzrost kosztów działalności ubezpieczeniowej. Kalkulując składki, zakład ubezpieczeń ma obowiązek uwzględnić te koszty. Oznacza to, że każde takie działanie pośrednio uderza w uczciwych klientów – tłumaczył money.pl Artur Dziekański, rzecznik Polskiej Izby Ubezpieczeń.

A przecież nie bez powodu ubezpieczenie pojazdu poruszającego się po ulicach Neapolu jest znacznie wyższe niż włoska średnia. I dużo wyższe niż średnia dla Polski, która – jak informuje rankomat.pl – po dość długim okresie wzrostów spadła w ostatnich miesiącach (od maja do czerwca) o 7,2 proc. Z największych obniżek mogą cieszyć się właściciele pojazdów z Gdańska i Wrocławia, gdzie obniżki sięgają 13 proc. Większe spadki w tak krótkim okresie obserwowano ostatnio w 2022 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



Edward Burne-Jones/William Morris, „Pielgrzym w ogrodzie i serce róży", 1902 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Splendor bogini Flory



Piotr Semka z Rzymu

Wystawa, którą można oglądać i odczuwać zmysłem węchu, to coś nowego. Ale do jakiego innego tematu jak kwiaty pasuje taki pomysł?

Chiostro del Bramante – dawny klasztor Kanoników Laterańskich, a potem Dominikanów pw. Matki Bożej Królowej Pokoju – został zaprojektowany na początku XVI w. przez słynnego architekta Donata Bramantego. To urocze i zaciszne miejsce znajduje się w centrum starego Rzymu. Dziś dawny monastyr to siedziba jednego z najciekawszych rzymskich muzeów sztuki.

W tym roku otoczony krużgankami dawny dziedziniec klasztorny wypełniają wielkie zasłony z wyobrażeniem ukwieconych łąk Italii. To instalacja Austina Younga, amerykańskiego multidyscyplinarnego artysty zatytułowana „Fallen Fruit", czyli „Upadły owoc".

Tak wita gości ekspozycja „Kwiaty w sztuce – od epoki renesansu do czasów sztucznej inteligencji". Jej autorzy postanowili pokazać, jak motywy floralne inspirowały artystów sztuki europejskiej od XV w. do czasów dzisiejszych. Rzymianie zawsze kochali kwiaty. Z ulicy Arco della Pace, przy której znajduje się muzeum w centrum prastarej dzielnicy Ponte – całkiem niedaleko do Campo de' Fiori – tradycyjnego targu kwiatowego Wiecznego Miasta.

KLEJNOT W SERCU STAREGO RZYMU

Budowę Chiostro di Santa Maria del Pace zlecił Bramantemu kard. Oliviero Carafa ok. 1500 r. I mistrz zaprojektował klasztor w tak doskonały sposób, że nawet po wiekach budzi podziw historyków architektury. „Surowy język (architektoniczny), pozbawiony jakichkolwiek dekoracji, wyraźnie odróżnia ten projekt od dzieł Bramantego stworzonych w poprzednim okresie jego twórczości w Mediolanie, w którym architekt z Urbino szeroko posługiwał się dekoracjami w stylu lombardzkim" – tak ocenia to wspaniałe dzieło dojrzałego renesansu włoska Wikipedia.

Bramante użył oszczędnego stylu, bo wiedział, że surowości życia klasztornego nie przystoją zbyt wyszukane ozdoby. Ale ta prostota bardzo pasuje do roli mu-

eprasa.pl 323840c100

zeum. I dlatego, gdy klasztor Matki Bożej Królowej Pokoju opuścili w drugiej połowie XX w. ostatni dominikańscy zakonnicy, pojawił się pomysł, by stworzyć tu nowoczesną przestrzeń wystawienniczą, przy zachowaniu mistrzowskiej formuły architektonicznej Bramantego.

Była to inicjatywa Patrizii de Marco, byłej aktorki, a potem założycielki i prezes firmy DART-Chiostro del Bramante, która zajęła się przebudową przestrzeni, zaaranżowaniem jej dla publiczności i stworzeniem muzealnej powierzchni wystawowej, którą możemy podziwiać dzisiaj.

„Chcę stworzyć centrum kultury sztuk wizualnych, będące punktem odniesienia dla Rzymu i całego świata, a tym samym uświetniając i promując Chiostro del Bramante" – wyjaśniała Patrizia de Marco. Obecnie nad muzeum czuwają trzy córki założycielki: Laura de Marco, Giulia de Marco i Natalia de Marco, które w ślad za matką dbają o wysoki poziom ekspozycji.



Giuseppe Castellano, „Zwiastowanie", 1714 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KWIECISTY KOBIERZEC

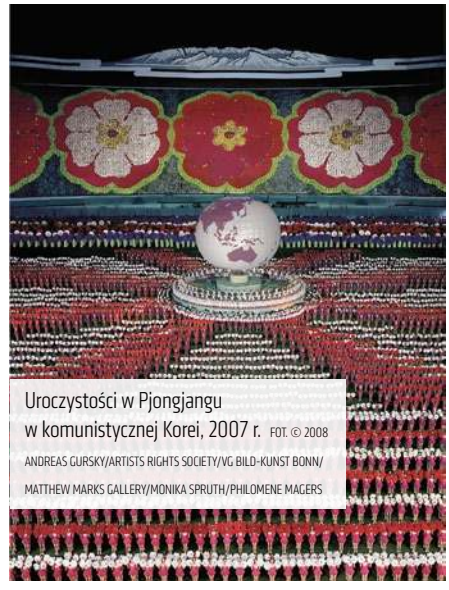
„To największa dotąd wystawa we Włoszech dedykowana pięknu kwiatów i sile ich wyrazu – szczycą się we wstępie do katalogu autorzy ekspozycji. – Chcemy zaprezentować podróż, w której ujawnia się nieskończenie sugestywna moc kwiatów. Wystawa łączy sztukę, naukę i technologię, tworząc uniwersalną narrację obejmującą wieki: od arcydzieł Jana Brueghela, przez Ai Weiweia, do najnowszych eksperymentów z technologiami cyfrowymi w sztuce współczesnej. Kruche i potężne, kwiaty przemawiają uniwersalnym językiem, który przekracza wieki i kultury. Opowiadają emocje, celebrują piękno, milcząco protestują i zachowują odwieczne opowieści".

Na wystawie powstałej w kooperacji z monachijską Kunsthalle zgromadzono ponad 90 dzieł sztuki pochodzących z 10 krajów świata: w tym tak prestiżowych muzeów jak Luwr, Musée d'Orsay, Petit Palais i Musée des Arts Décoratifs w Paryżu, a także ze zbiorów botanicznych i naukowych Królewskich Ogrodów Botanicznych Kew w Londynie i Museo Civico di Zoologia w Rzymie.

Cała wystawa pomyślana jest jako podróż przez parenaście sal, w których tradycyjne dzieła malarstwa wiszące na ścianach mieszają się z rzeźbami i eksponatami z dawnych gabinetów osobliwości i ze współczesnymi instalacjami artystycznymi.

„Kwiaty to coś więcej niż tylko proste elementy dekoracyjne" – wyjaśnia Natalia de Marco, dyrektor artystyczna Chiostro del Bramante. „Są uniwersalnymi symbolami, uosabiając każdy aspekt życia: od odporności do duchowości, od miłości do konfliktu, od nauki do ekologii".

Wystawione arcydzieła pochodzą z wieków od XVI do XXI. Obrazy, rzeźby, rękopisy, gobeliny, fotografie, instalacje site-specific oraz dzieła wykorzystujące rozszerzoną rzeczywistość i sztuczną inteligencję przeplatają się, opowiadając historię spotkania sztuki z naturą.



Uroczystości w Pjongjangu w komunistycznej Korei, 2007 r. FOT. © 2008 ANDREAS GURSKY/ARTISTS RIGHTS SOCIETY/VG BILD-KUNST BONN/ MATTHEW MARKS GALLERY/MONIKA SPRUTH/PHILOMENE MAGERS

Jak poszczególni mistrzowie patrzyli na kwiaty?

MALARSKI KWIETNY KOBIERZEC

Oto staję przed obrazem Jana Brueghela Starszego „Dzbanek z kwiatami" z 1591 r. Temat martwej natury (choć kwiaty nie są bynajmniej martwe) fascynował wówczas flamandzkich i holenderskich mistrzów.

Ta fascynacja dotyczy bardziej malarzy północy niż południa – może dlatego, że to w Niderlandach chłodne i szare zimy skłaniały do tęsknoty za bujnością wiosennego kwiecia. Obraz z niemal fotograficznie odwzorowanymi kwiatami na ścianie koił wzrok i przypominał, że po miesiącach pluchy i mrozu kiedyś przyroda rozkwitnie na nowo.

I znów oddajmy głos autorom wystawy: „Jan Brueghel przedstawiał kwiaty jako cichych bohaterów rozległego symbolicznego wszechświata, zawieszonego między sacrum a profanum".

Do kwietnej symboliki chętnie sięgali też malarze religijni. Oto „Zwiastowanie" z 1714 r., pędzla mistrza Giuseppe Castellano. Anioły, które towarzyszą w przesłaniu Archanioła Gabriela, przynoszą Maryi lilie – symbol jej niepokalanego stanu.

Kolej na prace Girolama Piniego, XVI-wiecznego artysty z Florencji, który niezwykle dbał o detale botaniczne.

eprasa.pl 323840c100



„Flower power", USA, październik 1967 r.
FOT. BERNIE BOSTON/THE WASHINGTON EVENING STAR

Widać, że w przypadku tego malarza wrażliwość mieszała się z dociekliwością botanika. Jego obrazy przypominają XIX-wieczne atlasy florystyczne, w których poszczególnym kwiatom towarzyszą najrozmaitsze insekty. To zresztą szersza prawidłowość, która rzuca się w oczy zwiedzającemu. Kto maluje kwiaty, ten bardzo często odmalowuje też świat owadów, który towarzyszy im na zasadzie symbiozy.

Tuż obok obrazy z motywami kwiatów z epoki XIX-wiecznego pompieryzmu, tak lubiącego motywy ze starożytnej mitologii. Na rzymskiej wystawie tę epokę reprezentuje obraz „Narcyz" Edoudarda-Theophile'a Blancharda z 1876 r. Zakochanego w sobie młodzieńca, zapewne chwilę po zobaczeniu własnego odbicia, nimfa rzeczna ozdabia wieńcem z kwiatów – narcyzów. To aluzja do jednej z wersji tego greckiego mitu – Narcyz, zakochany w swym widoku, tak długo przebywał nad źródłem, że zapuścił tam korzenie. W końcu jego ciało uległo przemianie w kwiat, nazwany właśnie od jego imienia – przeglądający się wiosną i latem w zwierciadle wody, a więdnący jesienią.

I wreszcie wystawa składa hołd dwóm brytyjskim malarskim romantykom – Edwardowi Burne-Jonesowi i Williamowi Morrisowi – z ich delikatnymi kwiatowymi reprezentacjami, przywodzącymi na myśl eteryczne piękno typowe dla ruchu prerafaelitów. Wspaniałemu, pełnemu tajemniczego symbolizmu obrazowi Morrisa – „Pielgrzym w ogrodzie i serce Róży" z 1901 r. poświęcono całą osobną salę.

Ale wystawa zwraca się też ku dzisiejszym gwiazdom sztuki. To współczesne instalacje chińskiego dysydenta Ai Weiweia i kanadyjki Kapwani Kiwangi, w których – jak piszą autorzy wystawy –



Austin Young, „Fallen Fruit", 2025 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„kwiaty stają się metaforą oporu, podkreślając społeczne i polityczne wyzwania naszych czasów i przeszłości".

Studio Drift uwodzi publiczność swoimi technologicznymi instalacjami inspirowanymi procesami naturalnymi, a Angielka Rebecca Louise Law zaprezentowała floralny korytarz, w którym zwiedzający są dosłownie otoczeni kwiatami, doświadczając także podróży wśród zapachów wzdłuż ścieżki wystawowej.

Specjalna sekcja poświęcona będzie kwiatom w nauce i polityce, podkreślając, jak te naturalne symbole często odgrywały kluczową rolę w dynamice kulturowej i społecznej. Nie zabrakło zdjęcia z zamieszek antywojennych w USA w październiku 1967 r., gdy protestujący studenci w czasie marszu na Pentagon, zablokowani przez szpaler żołnierzy Gwardii Republikańskiej, wkładali kwiaty w lufy karabinów. To wtedy powstał termin „flower power". Niedługo potem zaczęła się epoka hippisów, czyli „dzieci kwiatów". Malowali oni swoje ulubione furgonetki volkswagena w psychodeliczne kwiaty, symbolizujące powrót do natury.

Ale kwiaty mogą też maskować brutalne, totalitarne dyktatury. Przypomina o tym zdjęcie z 2007 r., z masowych uroczystości w komunistycznej Korei Północnej. Dziesiątki tysięcy ludzi na stadionie w Pjongjangu trzyma nad głowami papierowe elementy, które mają stworzyć florystyczne dekoracje ku czci Wielkiego Przywódcy Kim Dzong Ila. Despoci też uwielbiają kwiaty.

DOŚWIADCZENIA SENSORYCZNE

W ramach wystawy „Kwiaty. Sztuka od renesansu do sztucznej inteligencji" zaprezentowano dwa doświadczenia sensoryczne: pierwsze to immersyjna ścieżka stworzona przez Coldirettiego w sercu Chiostro del Bramante, gdzie włoskie drzewa, krzewy i kwiaty ukazują wartość bioróżnorodności i rolę zieleni miejskiej w poprawie jakości życia.

Drugie to ścieżka zapachowa, zaprojektowana przez Campomarzio70. Jej bohaterami są cztery szlachetne kwiaty używane w perfumerii – pomarańcza, jaśmin, róża i tuberoza – każdy prezentowany w osobnej sali. Wybór padł na doznania zapachowe dzięki specjalnym, dwupoziomowym kolumnom, zaprojektowanym dla wszystkich widzów wystawy, w tym dla najmłodszych, tak aby każdy miał możliwość intymnego i osobistego doświadczenia zapachu. W ostatniej sali wystawy rozproszone są kwiaty autorstwa Campomarzio70, będące mieszanką pojedynczych nut kwiatowych.

Od tych eksperymentów na zmysłach widzów można dostać w końcu bólu głowy. Przypominają się wspomnienia dawnych podróżników, którzy odurzeni aromatami kwiatów egzotycznej dżungli czuli się jak pijani.

Wystawa, którą można oglądać i odczuwać zmysłem węchu, to coś nowego. Ale do jakiego innego tematu jak kwiaty pasuje taki pomysł?

„Piękno kwiatów jest uniwersalne, ale ich interpretacja zmienia się w czasie i przestrzeni – zauważa Natalia de Marco. – Ta wystawa to zaproszenie do ponownego odkrycia sugestywnej mocy tych niezwykłych darów natury".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

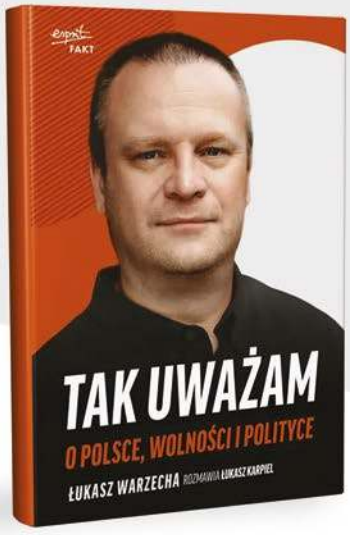
Wystawa „Kwiaty w sztuce od epoki renesansu do czasów sztucznej inteligencji" w rzymskim muzeum Chiostro del Bramante czynna będzie do 18 stycznia 2026 r. Szczegóły na: www.chiostrodelbramante.it.

eprasa.pl 323840c100

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ŁUKASZ WARZECHA, ROZMAWIA ŁUKASZ KARPIEL: „TAK UWAŻAM. O POLSCE, WOLNOŚCI I POLITYCE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1003~~ ZŁ

517,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 486 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 323840c100



Od lewej: Rami Malek (jako Douglas McGlashan Kelley) oraz Russel Crowe (jako Hermann Göring) w filmie „Norymberga" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Psychiatra i reichsmarszałek



Piotr Gociek

„Norymberga" to nie jest film w pełni udany, a jednak nie można przejść obok niego obojętnie

Miał młodzieńczy wygląd, był solidnie zbudowany, po męsku przystojny" – pisze w książce „Norymberga. Naziści oczami psychiatry" Jack El-Hai. Nazywał się Douglas McGlashan Kelley. „Mówił głośno i bezpośrednio, a dla zaakcentowania swoich słów często podnosił i opuszczał krzaczaste brwi" – czytamy we wspomnianej książce.

W filmie Jamesa Vanderbilta zagrał go Rami Malek, co było chybioną decyzją obsadową. W odróżnieniu od decyzji, by w roli Hermanna Göringa pojawił się Russell Crowe – ten ostatni poradził sobie dobrze. I tak właśnie jest z całym filmem „Norymberga" – kawałki świetne przeplatają się ze słabymi. Rzecz pozostaje jednak ciekawa. Efekt oglądać możemy od najbliższego weekendu na ekranach kin.

Kapitan Kelley to postać, z punktu widzenia której obserwujemy dzieje słynnego procesu (oficjalna nazwa: Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze). Kelleya sprowadzono, by ocenił jako zawodowy psychiatra stan umysłowy oskarżonych, a przede wszystkim by zadbał, żeby ów stan się nie pogorszył. Alianci nie chcieli kolejnych samobójstw, które pozwalałyby niemieckim zbrodniarzom na wywinięcie się od odpowiedzialności poprzez ucieczkę na tamten świat. Misja ta udała się, jak wiadomo, tylko częściowo – samobójstwa schwytanych i osadzonych ważnych nazistów zdarzały się w tamtym czasie zadziwiająco często.

NIEGODNE METODY

Kelley pokazany jest jako postać kluczowa dla utrzymania przy życiu marszałka Göringa, ten zaś jest kluczowy dla przeprowadzenia procesu, jako najwyżej postawiony z żyjących nazistów – marszałek Rzeszy, dowódca Luftwaffe, drugi po Führerze. Göring fascynuje Kelleya: Kim jest ten człowiek? Masowym zbrodniarzem bez sumienia? Sympatycznym tłuściochem karierowiczem? Niezbyt lotnym wykonawcą poleceń i ofiarą ideologicznego zaślepienia? A może jednym z mózgów zbrodniczej machiny terroru? Na pewno narcyzem – do tego wniosku amerykański psychiatra dochodzi bardzo szybko i wykorzystuje tę słabość, by z marszałkiem nawiązać nić porozumienia. Strzeżcie się schlebiających wam lekarzy!

Równolegle w filmie „Norymberga" trwa inna walka. Najpierw o to, by specjalny trybunał w ogóle powołać. Wielu pośród aliantów uważa bowiem, że niemieckich zbrodniarzy trzeba po prostu bez sądu rozstrzelać albo powiesić. Prawo stanowią zwycięzcy, nikt nie będzie płakał po szumowinach. A gdyby nawet decyzja w Waszyngtonie zapadła (prezydent Roosevelt jest głównym rozgrywającym), to jak namówić do współpracy Rosjan?

eprasa.pl 323840c100



REŻ. JAMES VANDERBILT „NORYMBERGA" USA 2025

Kiedy zaś okazuje się, że proces się odbędzie, pojawiają się inne wątpliwości i kłopoty. Żeby prace trybunału w Norymberdze przyniosły zamierzony efekt – ujawnienie skali niemieckich zbrodni, wskazanie i skazanie winnych – to wygrana powinna być przekonująca i oczywista. Ale jak to zrobić, kiedy nie we wszystkich sprawach (oskarżonych było ponad 20 dygnitarzy III Rzeszy) udało się zgromadzić materiał dowodowy? Trwają zatem zarówno wyścig z czasem (potrzebni są świadkowie, dokumenty, zdjęcia), jak i zakulisowe zabiegi, by poznać zamiary oskarżonych. Jak będą się bronić? Który z nich jest dobrym oratorem? Czy można ich rozegrać przeciwko sobie?

Oczywiście James Vanderbilt nie jest pierwszym reżyserem, którego zafascynowały wydarzenia z Norymbergi. Najbardziej udanym, jak dotąd, i chyba najbardziej satysfakcjonującym, jeśli idzie o materiał do przemyślenia, był film Stanleya Kramera „Sąd w Norymberdze" („Judgement at Nuremberg", 1961).

Było o tym dziele swego czasu bardzo głośno, film otrzymał 10 nominacji do Oscara (i zdobył dwie statuetki, w tym za najlepszy scenariusz adaptowany). Jednak Kramer i jego scenarzysta Abby Mann nie zajęli się procesem głównym i najgłośniejszym, ale jednym z kolejnych (było ich w sumie 12), kiedy to na ławę oskarżonych trafili przedstawiciele nazistowskiego wymiaru sprawiedliwości. Samo to sformułowanie zdaje się szyderstwem ze sprawiedliwości właśnie – sędziowie z czasów Adolfa Hitlera oskarżeni byli o wprowadzanie ustaw rasowych i praw wymierzonych we wrogów reżimu. Bo samowoli prawnej w III Rzeszy nie było – cóż, w odróżnieniu od Polski Donalda Tuska najwyraźniej Niemcy Hitlera dbały o pozory praworządności.

James Vanderbilt w „Norymberdze" opowiada o procesie głównym, ale jedna rzecz łączy go z filmem Kramera. To pytanie o granice prawa i przyzwoitości. Nie jest to kwestia najistotniejsza, lecz ją dostrzegamy. Oskarżyciele wystąpić mają jako przedstawiciele strony dobrej i moralnie wyższej. Dlaczego zatem sięgają po niegodne metody, by osiągnąć swój cel? Czemu, żeby wywrzeć presję na Göringu, aresztują jego żonę i małoletnią córkę? Dlaczego żądają od Douglasa Kelleya, żeby szpiegował reichsmarszałka, udawał jego przyjaciela i wyciągał z niego informacje na temat planowanej linii obrony? To, że naziści stosowali wobec swych przeciwników metody podobne lub dużo gorsze, nie jest żadnym usprawiedliwieniem. „Przecież my mieliśmy być inni" – wytyka jednemu z wyższych oficerów amerykański psychiatra.

ZŁO NA ŁAWIE OSKARŻONYCH

Śpieszę jednak uspokoić – to nie jest film, który próbuje relatywizować winy i zrównywać ofiary z katami. Wręcz przeciwnie – słusznie recenzent „National Review" zatytułował swój tekst „W Norymberdze zło trafia na ławę oskarżonych". Tak było i tak powinno być – w świecie istnieje zło, istnieją ludzie, którzy mu służą, i takim ludziom należy się przeciwstawić, inaczej wszystko stracone. Kwestia zła była najważniejsza dla Kelleya – swą uwagę w tak wielkim stopniu poświęcał Göringowi i innym nazistowskim zbrodniarzom, bo chciał odpowiedzieć na pytanie, czy są od nas jakoś szczególnie inni. A może każdy człowiek jest zdolny do takiego zła? Szczegółowo o badaniach amerykańskiego psychiatry i o wnioskach z tych badań pisze Jack El-Hai w przywołanej już na początku książce „Norymberga. Naziści oczami psychiatry" (właśnie ukazała się w Polsce nakładem wydawnictwa Czarne). To fascynująca lektura. I to właśnie ta książka zainspirowała Jamesa Vanderbilta do nakręcenia filmu.

Poznajemy grozę nazizmu, ale już wielkiej grozy w Göringu nie widzimy

Odpowiedź znamy, zresztą pada w filmie, i jest to wniosek, który płynął także z książki Kelleya „22 Cells in Nuremberg. A Psychiatrist Examines the Nazi Criminals" (1947). Nie odniosła wielkiego sukcesu, tezę o banalności zła rozpropagowała potem dopiero Hannah Arendt. Odpowiedź jest zresztą niepełna. Bo co to właściwie znaczy, że w pewnych warunkach każdy jest zdolny do potworności? Historia pokazała, że w pewnych systemach i wskutek działania takich, a nie innych ideologii zło występuje na skalę o wiele bardziej masową. Norymberga przyniosła procesy niemieckich zbrodniarzy, ale wśród oskarżających byli przecież Rosjanie, reprezentujący system równie krwawy i okrutny. Teza Kelleya, że każdy – w tym np. przeciętny Amerykanin – jest równie podatny na urok rasizmu i stałby się z równą skutecznością współsprawcą, powinna zostać skonfrontowana z pytaniem, czy tenże człowiek stałby się równie łatwo zbrodniarzem komunistycznym i czy ma komunizujące wrodzone skłonności.

„Norymberga" to film o wielkich ambicjach, próba nakręcenia staromodnego dramatu historycznego o mocnym przesłaniu moralnym. Ale jest to próba tylko częściowo udana. Pewne rzeczy dzieją się zbyt szybko, bo tak scenarzyście wygodnie. Poznajemy grozę nazizmu, oglądając film (naprawdę pokazany w Norymberdze) dokumentujący zbrodnie w niemieckich obozach zagłady, ale już wielkiej grozy w Göringu nie widzimy. Są ślady wielkiego filmu, gdy Kelley i Göring naprawdę zaczynają ze sobą rozmawiać, ale wciąż daleko nam do intensywności i prawdy „Rozmów z katem" Kazimierza Moczarskiego. Russell Crowe do roli reichsmarszałka pasuje, Malek nie, bo jest zbyt dziwaczny, zbyt przerysowany, to człowiek o osobowości przemądrzałego nastolatka, a nie wytrawnego badacza psyche.

Dobry jak zawsze jest Michael Shannon w roli amerykańskiego oskarżyciela, któremu z odsieczą w decydującej chwili przychodzi spokojniejszy od niego i konkretniejszy oskarżyciel brytyjski (świetny Richard E. Grant). Być może w czasach Davida Leana i Johna Hustona dałoby się z tego zrobić wielkie kino, teraz to raczej wprawka – być może lepiej sprawdziłaby się ta opowieść jako miniserial. Finałowa tyrada Kelleya (o tym, że połowa Amerykanów źle życzy drugiej połowie i ma skłonności do faszyzmu) brzmi blado, bo na siłę antytrumpowsko. A mimo to ważne tematy, które znajdujemy w tym całym chaosie, sprawiają, że ani przez chwilę nie chciałem odwrócić oczu od ekranu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



Z Jarosławem Molendą, pisarzem, publicystą i podróżnikiem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Studentka w wieku emerytalnym

„Autokar służbowy" famowiczów z lat 60.
FOT. ANDRZEJ RYFCZYŃSKI

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Kto, kiedy i dlaczego wymyślił Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej?

JAROSŁAW MOLENDA: Gdy mamy do czynienia z imprezą o takim stażu, nie jest to łatwo ustalić ze stuprocentową pewnością. Ludzie, którzy powołali do życia FAMĘ, już nie żyją. Pierwsza edycja „prafamy" odbyła się w 1965 r. i właściwie miała trochę charakter karnawału pod szyldem Neptunaliów. Do udziału w tej żakinadzie udało się namówić studentów nocujących w legendarnym domu wczasowym Wisus II. I to oni po zakończeniu widowiska zaproponowali, aby władze Świnoujścia wystąpiły oficjalnie z inicjatywą cyklicznego organizowania w lipcu Przeglądu Kabaretów Studenckich rywalizujących o nagrodę – Trójząb Neptuna. Ten pomysł spodobał się Julianowi Markiewiczowi, ówczesnemu przewodniczącemu Powiatowej Rady Narodowej w Świnoujściu. Trudno przecenić wkład Mariana Zawiszy, wówczas kierownika Wisusa, późniejszego burmistrza, czy dyrekcji Powiatowego Domu Kultury w Świnoujściu, na czele z Kazimierzem Rosikiem oraz członków Prezydium Stowarzyszenia Kulturalnego Ziemi Wolińskiej, któremu przewodził Kazimierz Marzec. Tych nazwisk można wymienić więcej. Jak to zwykle bywa, sukces ma wielu ojców, tylko porażka jest sierotą.

W jego latach pionierskich świnoujski dom kultury odwiedził duch... wodza III Rzeszy?!

Było to w roku 1967. W przeglądzie kabaretów studenckich brało udział siedem ekip, z czego dwie zaprezentowały przedstawienia dotyczące... Adolfa Hitlera. Trudno powiedzieć, o czym były spektakle, nie wydano programów z ich omówieniem – jak w profesjonalnym teatrze. W tamtych latach każda impreza kulturalna musiała najpierw zostać zatwierdzona przez cenzurę, więc FAMA także. Ale z tych pionierskich czasów taki dokument się nie zachował. Ba, nawet sprawy obiektowe dotyczące FAMY ostały się w Instytucie Pamięci Narodowej w formie nader szczątkowej.

Kabaretów Elita oraz Tey nie doceniono, gdyż prezentowały twórczość „obcą klasowo"?

Brak źródeł na potwierdzenie ingerencji władz w decyzje jurorów. Nikt nie wysyłał oficjalnego pisma, aby nagrody nie dostał ten i ten, wystarczył telefon spod właściwego adresu. W dodatku Teya trudno zaliczyć do kręgu kultury studenckiej, z kolei niektórym członkom Elity jury zarzuciło, że... seplenią. Olga Lipińska swe pierwsze spotkanie z młodymi wrocławianami skwitowała słowami: „Żeby się tak nazwać, trzeba mieć niezłe samopoczucie".

Festiwalowe trofea przyśpieszały kariery?

Na pewno wyróżnienie się w jakiś sposób na FAMIE, bo nie zawsze werdykt jurorów był tożsamy z opinią publiczno-

eprasa.pl 323840c100

ści, umożliwiało dobry start artystyczny. Ale żeby zaistnieć na ogólnopolskiej scenie, należało zmienić podejście do twórczości – z amatorskiego na zawodowe. Liczyło się też poparcie władz, a nie każdy artysta był gotowy na kompromisy z partyjnymi notablami.



JAROSŁAW MOLENDA „FAMA" WYDAWNICTWO LIRA 2025

Służba Bezpieczeństwa wiedziała, co w FAMIE piszczy, dzięki podsłuchom, inwigilacji, a zwłaszcza meldunkom swego tajnego współpracownika używającego pseudonimu Ogórek?

Och, takich współpracowników w szeregach FAMY znalazło się sporo. Sprawa „Ogórka" jest o tyle szokująca, że Maks Szoc, bo o nim mowa, był jedną z największych osobowości w dziejach FAMY. Postacią, w której – zdaniem Tadeusza Nyczka – idealnie ucieleśniały się twórcza anarchia, totalna wolność, szalona wyobraźnia i autentyczne wielkie zdolności artystyczne. Geny, które stworzyły Maksa, musiały pochodzić zarówno od szekspirowskiego Falstaffa, jak i od polskiego facecjonisty Franca Fiszera. Z niewątpliwą domieszką całego cyrku Monty Pythona. Informacja, że podpisał lojalkę, zaskoczy prawdopodobnie niejednego famowicza. W latach 80. wyjechał do Belgii, być może w „nagrodę". Tam zajął się malarstwem surrealistycznym.

Interwencje Milicji Obywatelskiej na festiwalu się zdarzały?

Oczywiście, co nie powinno dziwić, kiedy na terenie niewielkiego przecież miasta dochodzi do interakcji wśród samych famowiczów (w najlepszych latach bywało ich kilka tysięcy!), zderzenia potężnej grupy młodych ludzi z fantazją i jeszcze większym pociągiem do alkoholu, których zachowanie musiało drażnić część mieszkańców i turystów. Gdyby organy porządkowe chciały stosować przepisy po aptekarsku, na dołku wylądowałaby z połowa FAMY, łącznie z osłem, którego swego czasu podobno wprowadzono na piętro Wisusa. Kłapouchy podpadałby pod paragraf o waletowaniu, czyli nielegalnym zakwaterowaniu, zjawisku nagminnym z powodu niewystarczającej liczby kwater. Często kierownictwo FAMY musiało odbierać delikwentów z miejscowego aresztu. Zdarzały się też prowokacje i szykany ze strony bezpieki.

„Studenckość stanowiła zasłonę dymną festiwalu". Jak to rozumieć?

FAMA, jak sama nazwa wskazuje, była przeznaczona dla studentów. To m.in. tam ich niepokorna natura znalazła ujście w zjawisku tzw. kontrkultury. Jak to ładnie ujął prof. Wojciech Müller: „FAMA to był taki trzeci semestr nauki bycia artystą". Potem „studenckość" festiwalu stała się swego rodzaju parawanem, bo przecież uczestnicy byli dojrzałymi twórcami. Absolwentami uczelni, choć niektórzy studiów nie ukończyli, jak Janusz Weiss, filar Salonu Niezależnych. Ba, na FAMIE dochodziło nawet do takich paradoksów, że niektórzy biorący udział nie mieli wręcz nic wspólnego z ruchem studenckim. Przykładowo: jeden z członków kabaretu Elita był… ślusarzem!

Wspomina pan o wymiarze praktycznym imprezy.

Jej motyw przewodni stanowiła „użyteczność kulturalna". Włodarze Świnoujścia zdawali sobie sprawę z ograniczonej oferty rozrywkowej dla mieszkańców i urlopowiczów, toteż usiłowali ją rozszerzyć. Do innych celów wykorzystywano plastyków FAMY. W 1969 r. grupa artystów z PWSSP w Łodzi projektowała naklejki na… konserwy rybne z miejscowego Przedsiębiorstwa Połowów Dalekomorskich i Usług Rybackich „Odra", a ich koleżanki i koledzy z PWSSP w Poznaniu odświeżali wystrój lokalnych przybytków gastronomicznych.

Dlaczego wydarzenie na kilka lat zawieszono?

Wpłynęła na to sytuacja w Polsce drugiej połowy lat 70. Piętrzyły się trudności ekonomiczne, napięcie społeczne rosło, a kabarety zdominowała satyra polityczna. FAMĘ przywrócono po sześcioletniej przerwie.

Co usiłował wykorzystać pewien dygnitarz…

Był nim Stanisław Ciosek, ówczesny I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Jeleniej Górze. Jak sugerują „dobrze poinformowani", stał za inicjatywą zorganizowanego w Bolesławcu Festiwalu Akademickiego – Konfrontacje Twórcze (FAKT). Skończyło się na trzech odsłonach, niezbyt udanych. Podczas stanu wojennego FAMA – w okrojonej formie – zawędrowała do Ińska. A latem roku 1983 wróciła do Świnoujścia. W tamtej dekadzie byłem – od lat mieszkam w Świnoujściu – jednym z licznych wolontariuszy pomagających przy organizacji tego przedsięwzięcia.

W III RP zmieniło ono oblicze?

Najpierw zaczął spadać jego poziom – sytuację ratowały zielonogórskie kręgi kabaretowe z Władysławem Sikorą i jego podopiecznymi (wśród nich zmarła niedawno Joanna Kołaczkowska) – jednak było coraz gorzej. Nie pomogła też telewizja. Wprawdzie upowszechniła imprezę, lecz koncerty transmitowane na potrzeby TVP2 miały coraz mniej wspólnego z FAMĄ, która w tym roku wkroczyła w wiek emerytalny, bo „stuknęło" jej 60 lat.

Dokąd zmierza? Jakie są perspektywy na przyszłość?

Powołam się na opinię jednego z wielkich famowiczów, Wojciecha „Bacy" Hawryszuka: „Kiedyś FAMA była fenomenem, teraz jest tylko festiwalem – jednym z wielu. Do Świnoujścia przyjeżdżają utalentowani ludzie. Zdolniejsi, lepiej wykształceni niż kiedyś. Ale czegoś im brak. Nie identyfikują się z tym zjawiskiem, bo go nie tworzą". Na pytania o sens kontynuacji najtrafniej chyba odpowiedział muzyk i konferansjer Piotr Bałtroczyk: „To już nie jest ta impreza, którą była kiedyś. Wierzę jednak, że jeśli młodzi ludzie ciągle tu przyjeżdżają i uczestniczą w festiwalu, to jest on potrzebny". I tego się trzymajmy, ponieważ nie wyobrażam sobie wakacyjnego obrazu mego miasta bez FAMY.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Jarosław Molenda *– pisarz, publicysta i podróżnik. Absolwent filologii klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor kilkudziesięciu książek, m.in.: „Alfred Szklarski, sprzedawca marzeń", „Nienacki. Skandalista od Pana Samochodzika", „Czterej pancerni i pisarz Janusz Przymanowski" oraz najnowszej „FAMA. Artystyczna legenda PRL-u".*

eprasa.pl 323840c100



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

tv+

Wyższe racje



★★★★★★

SEZON 1
„JEDYNA” („PLURIBUS”)
USA 2025

wyst. Rhea Seehorn, Karolina Wydra, Carlos Manuel Vesga

Twórca „Breaking Bad” i „Zadzwoń do Saula” przypomniał sobie o swoich korzeniach, czyli czasach, gdy pisywał scenariusze odcinków „Z archiwum X”. Do fantastyki ciągnęło go także później, choć pilot serii „A.M.P.E.D.” pozostaje niewyemitowany. Mówił on o świecie, w którym epidemia tajemniczego wirusa zamienia ludzi w pełne przemocy bestie. Nowy serial Vince’a Gilligana oparty jest na pomyśle odwrotnym: też mamy wirusa oraz epidemię, ale okazuje się, że dla naszego dobra.

Apokalipsa jest spokojna, choć przyniosła wiele ofiar. Kosmiczny wirus zamienił ludzkość w jedną wielką rodzinę: wszyscy są szczęśliwi (tak w każdym razie twierdzą) i każdy ma dostęp do pamięci oraz wiedzy innych. Prawie wszyscy. Na Ziemi wciąż żyje 12 osób, których nie udało się asymilować. Jedną z nich jest Carol Sturka, autorka poczytnych romansów fantasy. W roli tej obsadzona została Rhea Seehorn, którą pamiętamy z fenomenalnej kreacji w „Breaking Bad”, gdzie zagrała Kim, ukochaną Saula.

Rhea Seehorn to świetna aktorka, jest zatem także filarem serialu „Jedyna” („Pluribus”). Każdy detal jest przemyślany, dostajemy i nieoczywiste kadry, i specyficzne poczucie niepokoju, które towarzyszyło nam podczas oglądania „Breaking Bad” oraz „Zadzwoń do Saula”. O czym to jednak naprawdę historia? Z początku zdaje się, że to wariacja na dwa tematy dobrze znane: „Inwazja porywaczy ciał” skrzyżowana z marzeniem o uratowaniu ludzkości poprzez wyeliminowanie z ludzkich umysłów instynktu agresji. Szybko jednak okazuje się, że mamy tu bardziej niepokojącą i współczesną metaforę.

Rację ma Josh Rosenberg piszący w „Esquire”, że to krytyka naszej fatalnej skłonności do oddania się pod opiekę sztucznej inteligencji. Faktycznie, Carol żyje w świecie, w którym obdarzona wiedzą całego świata siła jest w stanie spełnić właściwie każde jej życzenie. Kosmiczny zdobywca i twórca utopii obfitości nie rozumie jednak, czym są emocje, ani nie ma pojęcia, jak ważną częścią naszej natury jest nieracjonalność. Nawet jeśli uznamy to przesłanie Gilligana za niezbyt oryginalne, to za sam klimat, aktorstwo i oryginalność kadrów „Jedyna” zasługuje na bardzo wysoką ocenę. A trudne wybory dopiero przed Carol. ©℗

GRA TYGODNIA: „FOOTBALL MANAGER 26”

Decyzja Sports Interactive o anulowaniu „FM25”, by mieć czas na dopieszczenie gry, w której zdecydowano się zmienić silnik i przebudować interfejs, była odważna, ale konieczna. Widzimy to po „FM26”, który – mimo dodatkowego roku prac – ukazał się z irytującymi niedoróbkami technicznymi. Ale jeśli odstawimy je na bok (z łatki na łatkę jest ich coraz mniej), dostajemy bardzo dobry manager piłkarski z zachwycającym silnikiem opartym na Unity, bardzo estetycznym i nowoczesnym, choć wymagającym przyzwyczajenia się interfejsem, dodatkowymi możliwościami taktycznymi. ©℗ ***Radosław Wojtas***



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

- ***Gatunek:*** *manager piłkarski*
- ***Platforma:*** *PS5, SXS, PC*
- ***Producent, dystrybutor PL:*** *Sports Interactive; Cenega*

eprasa.pl 323840c100

Amazonka znad Amazonki

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. GABRIEL MASCARO
„BŁĘKITNY SZLAK" („O ÚLTIMO AZUL")
BRAZYLIA/MEKSYK/CHILE/HOLANDIA 2025

wyst. Denise Weinberg, Rodrigo Santoro, Miriam Socarras

Starsza pani ucieka. Jutrzejsza Brazylia, zdaniem Gabriela Mascaro, nie będzie rajem dla seniorów. Gdy skończysz 75 lat, wręczą ci dyplom i medal, ale zwolnią z pracy (jeśli masz jakąś) i ubezwłasnowolnią. Ma się rozumieć – dla twojego własnego dobra. Na koniec zażądają założenia pieluchy i wywiozą do „kolonii". Rządowa propaganda pobije rekord perfidii, twierdząc, że „przyszłość jest dla wszystkich". Ojczyzna prezydenta Luli poletkiem orwellowskiej dystopii (w wersji ejdżystowskiej)? Politycznego eksperymentu, w którym deklarowana troska o ludzi objawia się wykluczeniem? Oczom nie wierzę. Na szczęście opresyjność systemu łagodzi, właściwe nie tylko Latynosom, umiłowanie zabawy, hazardu i szemranych interesów. Ponadto akcja rozgrywa się w pięknych okolicznościach przyrody. W dorzeczu Amazonki nawet sterta zużytych opon dostarcza estetycznych wzruszeń. Tereza, będąc samotną matką, pracowała na dwóch etatach. Bieda i trudności ją zahartowały, nie pozwoliły zniedołężnieć, jednak Chronos wpełzł do blaszaka kobiety podstępnie jak wąż. A system nie uznaje wyjątków. Tereza, nawykła do samodzielności, staje okoniem. Chciałaby jeszcze spełnić marzenie, czyli polecieć samolotem. Przekona się, że prawdziwa wolność istnieje nie tylko w przestworzach. Chodzą słuchy, że „Błękitny szlak" weźmie udział w oscarowym wyścigu. Spełnia oczekiwania Akademii, ponieważ dowartościowuje płeć piękną. Panowie są tu marionetkami systemu lub przegrywami, rozpamiętującymi życiowe porażki. Ponadto magiczny realizm i pochwała halucynogenów nie są w Ameryce zbyt mile widziane. Srebrny Niedźwiedź zdobyty w Berlinie świadczy, że brazylijskiemu filmowi pisana jest raczej kariera festiwalowa.
A w kinach? Są widzowie, dla których ten rejs mógłby trwać godzinami, lecz inni będą ziewać, gdyż Mascaro nie potrafił rozwinąć obiecującego pomysłu. Mniej więcej od połowy seansu fabuła dryfuje. Z premierą można było poczekać na Dzień Babci (i Dziadka). Seniorzy dopóty, dopóki mają prawa wyborcze, mogą powstrzymać nadejście nowego, wspaniałego świata. ©℗

Wiesław Chełminiak

BEZ KOŃCA

cda.pl

Trzydzieści lat temu Emir Kusturica z anegdoty o zdradzonej przyjaźni zrobił epickie widowisko, naszpikowane absurdalną liczbą didaskaliów, cytatów i aluzji tudzież muzyką skradzioną Cyganom przez Gorana Bregovicia. Reakcje były skrajne. Od uwielbienia (genialny artysta sportretował duszę Bałkanów, której człowiek Zachodu zrozumieć nie jest w stanie) do miażdżącej krytyki (na ekranie ścierają się chaos i jugonostalgia). „Underground", dzieło megalomańskie, szybko obrosło mitami. Pięciogodzinna wersja reżyserska jest dla kinofilów czymś w rodzaju Świętego Graala. Kusturica się obraził. Najpierw zapowiedział, że więcej niczego nie nakręci, potem przeszedł na prawosławie, odkrył w sobie Serba i rusofila. Pozostaje liczyć, że znów zmieni zdanie. Przecież twierdził kiedyś, że „historia nie ma końca". ©℗



★★★★☆☆

REŻ. EMIR KUSTURICA
„UNDERGROUND"
FRANCJA/NIEMCY/JUGOSŁAWIA/WĘGRY/BUŁGARIA/CZECHY 1995

wyst. Predrag Manojlović, Lazar Ristovski, Mirjana Joković



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Bóg się rodzi!

GDZIE? katedra św. Floriana w Warszawie
KIEDY? do 15 stycznia 2026 r.

W ramach czwartej edycji projektu „Namalować katolicyzm od nowa", pobłogosławionego niedawno przez papieża Leona XIV, powstało ponad 20 współczesnych przedstawień Bożego Narodzenia. Obrazy Jarosława Modzelewskiego, Ignacego Czwartosa, Jacka Dłużewskiego, Wojciecha Głogowskiego, Jacka Hajnosa OP, Krzysztofa Klimka, Bogny Podbielskiej, Beaty Stankiewicz, Grzegorza Wnęka oraz przedstawicielki młodego pokolenia artystów – Karoliny Żądło – można oglądać w podziemiach katedry św. Floriana na warszawskiej Pradze.

– Czy warto dodawać coś do tego, co już powiedziano i namalowano o trzeciej tajemnicy radosnej? Odpowiem pytaniem. Czy wolno nie próbować? Czy coś nas z tego obowiązku zwalnia? – mówił na wernisażu Dariusz Karłowicz, kurator wystawy i redaktor naczelny



FOT. GRZEGORZ K. KOZŁOWSKI

„Teologii Politycznej". Od 2022 r. projekt dodaje do tego, co już powiedziano, coraz więcej. Nie tylko piękne obrazy, nowe wizerunki Jezusa Miłosiernego (2022), obrazy tajemnicy Zwiastowania (2023) i Nawiedzenia (2024), lecz także konferencje, seminaria, wykłady, debaty, cykl książek. ©℗

eprasa.pl 323840c100

MOJA PÓŁKA

Tacy byliśmy jeszcze wczoraj



KRZYSZTOF MASŁOŃ

Nareszcie! – chciałoby się wykrzyknąć po przeczytaniu nowej książki Wojciecha Chmielewskiego, autora takich pozycji jak „Belweder gryzie w rękę", „Jezioro Dargin" czy „Sylwia z Gibalaka", pisarza niesłychanie warszawskiego, ucznia Marka Nowakowskiego, podobnie jak jego mistrz świetnie sprawdzającego się w krótkich formach prozatorskich. Ale wydany właśnie „Księżyc ma zapach Warszawy" jest powieścią. Potrzebną, wyczekiwaną, ważną i odważną. Nawet bardzo odważną, powiedziałbym, że kozacką.

W swoim planie podstawowym opowiada „Księżyc…" o studentach historii Uniwersytetu Warszawskiego, którzy w przełomowych dla Polski latach 1988–1993 zdobywali wykształcenie, określali się politycznie, dojrzewali do dorosłości. Ich wielkie nadzieje związane z końcem komuny szybko miała zweryfikować rzeczywistość. Mogli, za Stefanem Żeromskim, powtórzyć: „Jak po spuszczeniu wód stawu, ujrzeliśmy obmierzłe rojowisko gadów i płazów".

Młodzi bohaterowie „Księżyca…" są bystrymi obserwatorami. Dostrzegają więc, „jak ci wszyscy, którym dotąd przez lata ufali, opozycja, żeromszczycy, uczniowie Gajowca, twórcy tzw. niezależnej kultury, w momencie przepoczwarzania się ciemięzcy w brylującego na salonach Europejczyka nie ujęli się za najsłabszymi, za tymi, którzy przez lata bezwzględnie ich wspierali: robotnikami, chłopami, duchowieństwem katolickim, biedotą z miast. Zawiedli. Wybrali picie wódeczki i łyskacza z czerwonymi, ucałowali się, polecieli w ślinkę z języczkiem".

No, ale doczekaliśmy się wszak, rzekomo, demokratycznego państwa prawa, o którym bredzili wszyscy naokoło. I tak np. w 1993 r. „w naszej ukochanej, niepodległej ojczyźnie wybory wygrała partia wywodząca się wprost z rozwiązanej trzy lata wcześniej partii komunistycznej. Drugie miejsce zajęła również postkomunistyczna partia chłopska. Zmieniła tylko nazwę, a konkretnie jeden przymiotnik w nazwie i szafa grała dalej, z tymi samymi działaczami. Trzecie miejsce przypadło formacji tchórzy, oportunistów i głosujących na nich mięczaków, którzy swój program oparli na rozgrzeszaniu komuchów oraz szantażowaniu opinii publicznej rzekomym powrotem ksenofobii i nacjonalizmu w stylu lat 30., które uczyniłyby Polskę pośmiewiskiem dla Europy".

Studia, w tamtej obsadzie personalnej, nie były żadną enklawą wolnej myśli. Przeciwnie, wciąż brylowali na nich dawni partyjni czynownicy, oportuniści, a także zwykli agenci. To był zresztą fragment większej całości. Bohaterowie powieści zaczęli np. „uczęszczać na wykłady z historii nowożytnej wygłaszane przez człowieka wyglądem przypominającego dyrektora pegeeru, czyli państwowego gospodarstwa rolnego, które właśnie zaczęły padać jedno za drugim, bo odcięto je od cycka centrali. W ogóle centrali już nie było. Na wsiach działy się sceny straszne, cierpiały zwłaszcza dzieci, niedożywione, z rodzin, w których nagle zabrakło pracy, innej nie było. Zostało chlanie. Ci ludzie – o czym zresztą sami mówili dziennikarzom z wielkich miast – zostali skazani na wymarcie. To był mord założycielski, który legł u podstaw nowego państwa".

Na swój, ale tylko na swój, sposób studenci z „Księżyca…" wpisują się w ten klimat. Mianowicie, chleją na okrągło. W knajpach, na ławkach, na przystankach, w akademiku i na uczelni. Popijają kruszony, wynalazki tamtej epoki rozlewane w butelki po oranżadzie, wódkę „Cymes", rozcieńczony „Royal" kupowany na Stadionie Dziesięciolecia, a że są historykami, dla urozmaicenia sięgają niekiedy po miody pitne, zamiast zakąski, zażywając tabakę. Ot, staropolska błazenada uprawiana w kraju, w którym bohaterem masowej wyobraźni stał się esbek o czułym sercu z twarzą Bogusława Lindy.

„Księżyc ma zapach Warszawy" nie jest jednak wyłącznie przygnębiającą historią czasów, w których taki np. Wiktor Woroszylski domagał się, by pozwolono nam się cieszyć. Z czego? – pyta Wojciech Chmielewski, przenosząc, w drugim planie, akcję swej powieści do XXIII stulecia, kiedy to poważniejszych zakupów dokonuje się już na Księżycu. A od ponad 200 lat, po wielkiej wojnie imperialnej, istnieją w zasadzie tylko dwa państwa: Wieczna Rosja i Państwo Ludowe Środka. Ale jest Warszawa, swoiście wciąż piękna: z Pałacem Kultury podwyższonym o 100 pięter, ze swoim Chinatown, ale wciąż z kościołem św. Anny i Hotelem Europejskim, i – jakżeby inaczej – Cesarskim Uniwersytetem Warszawskim, w którego skład wchodzi Instytut Historyczny im. Żanny Kormanowej. W takim właśnie świecie przyszłości porusza się akademiczka Nadieżda Borysowna Chabrowa, warszawianka z dziada pradziada, której ukochany Wasia nie wiadomo jak i gdzie zginął, a kiedy zaczyna tego dociekać, ląduje w łagrze.

Ale co tam, panuje przecież pokój, piwo żygulowskie z limonką jest całkiem, całkiem, a warszawskie drzewa są wciąż piękne. Jakoś przez te wszystkie stulecia nie zawiśli na nich komuniści. Tylko liście szumią wciąż tak samo. ©℗



★★★★★★

WOJCIECH CHMIELEWSKI „KSIĘŻYC MA ZAPACH WARSZAWY" PIW, WARSZAWA 2025

eprasa.pl 323840c100



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

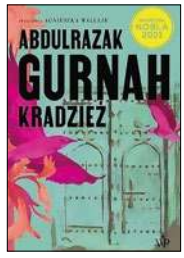
Zwyczajne życie

Czas przemienia nas wszystkich: niesfornych chłopców w troskliwych ojców, a tych z kolei w zgryźliwych starców; kruche dziewczęta w silne kobiety, kochające matki w zimne matrony. Ta niepowstrzymana zmiana, ten naturalny cykl życia to główny bohater powieści Abdulrazaka Gurnaha „Kradzież". Pierwsza książka noblisty od czasu wyróżnienia z 2021 r. nie zawodzi. Gurnah jest jednym z najlepszych pisarzy XXI stulecia.

Fabuła rozpięta jest między chwilą odejścia kolonizatorów (lata 60. XX w.) a współczesnością. Zanzibar pod piórem Gurnaha zdaje się jednak istnieć gdzieś poza czasem. Światem rządzi rytm narodzin, ślubów, rozstań. Od wieści z dalekiego świata podawanych przez radio ważniejsze okazują się małe codzienne dramaty, które zarazem są przecież dramatami największymi z możliwych, bo wypełniają nasze życie.

Splatają się tu ze sobą losy trojga bohaterów. To bystry Karim, wyobcowany Badar i chorowita Fauzia. Wielka historia pozostaje w tle, ale oczywiście ma wpływ na ich losy, choć nie manifestuje się to żadnymi gwałtownymi, efektownymi zwrotami akcji. Los społeczności zdaje się być rządzony tak samo powolnym, acz niepowstrzymanym rytmem, jak życie człowieka. Zmieniają się rządy, miejsce balii zajmują pralki, a radioodbiorników – telewizory. Policja zawsze jest nazbyt chętna do bicia, urzędnicy zawsze nazbyt chętnie kradną, a potem pojawia się nowy przypływ. Nowoczesność zalewa Zanzibar falami turystów, którzy przybywają żądni egzotyki, nowych doświadczeń i zabawy nad lazurowym morzem. I nie zwracają uwagi, że to, co dla nich jest igraszką czy przelotnym romansem, dla innych może być wydarzeniem niszczącym całe życie (lub w tym przypadku – życia).

Jeśli brać „Kradzież" za polityczną alegorię, to diagnoza jest oczywista: kolonizatorzy pozwolili swym poddanym dorastać, bo zdecydowali się odejść, teraz powracają w ich życie jako siła korumpująca i niosąca fałszywe marzenia. Nowoczesność jest bowiem procesem niszczącym, a prawdziwy świat to ten, w którym troszczymy się o zdrowie córki, wykształcenie syna, smak potrawki z ryżem i fasolą, a nie elektryczne jaskinie nastawionych na masowych turystów hoteli. Jakże bliskie to być powinno i naszym postkolonialnym doświadczeniom. Ale zaraz... Czy wśród intruzów nowoczesności na Zanzibarze nie przybywa także aby Polaków? ©℗



★★★★★★

ABDULRAZAK GURNAH „KRADZIEŻ" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nie chodzi o „Majora" Fydrycha. W tym wywiadzie rzece o podziemiu, PRL i Solidarności Walczącej opowiada Dariusz Olszewski, przyjaciel Kornela Morawieckiego, po emigracji w roku 1986 zagraniczny przedstawiciel SW w USA.



JOANNA DARDZIŃSKA „ERRATA »MAJORA«" IPN

„Krótkie życie i nieśmiertelna sztuka Sylvii Plath", czyli najobszerniejsza jak dotąd (1200 stron) biografia autorki „Szklanego klosza". Opowieść, w której równie wiele co kwestiom prywatnym poświęcono jej twórczości. I słusznie!



HEATHER CLARK „CZERWONA KOMETA" MARGINESY

Dziesięć opowiadań rozproszonych po antologiach i pismach SF – autor „Polski 2.0" ukazuje w nich nieco inną twarz. Mniej tu analizy społecznej, a dużo przygody i miłości. „Fantastyka to romantyzm" – pisze autor w posłowiu.



JACEK INGLOT „ŚMIERĆ TRISTANA" ODESFA

Jedna z najlepszych książek non-fiction drugiej połowy XX w. – barwna opowieść o pilotach ryzykujących życie, by stworzyć zręby amerykańskiego przemysłu kosmicznego. Poprzednio wydana w Polsce jako „S-kadra" (1993).

recenzuje Piotr Gociek



TOM WOLFE „NAJLEPSI" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:

FALE PRZEZNACZENIA

W prestiżowej serii „Plansze Europy" kolejne spotkanie z klasyką. Michel Durand adaptuje poczytną niegdyś powieść Victora Hugo „Pracownicy morza". Francuski rysownik inspiruje się ilustracjami z epoki, szczególnie kreską ilustratora Luc-Oliviera Mersona. Walorem literackiego oryginału był paradokumentalizm. Czerń i biel pasują do tej posępnej opowieści doskonale.

Piotr Gociek



MICHEL DURAND „PRACOWNICY MORZA" EGMONT 2025

eprasa.pl 323840c100



„Wdowy" Sławomira Mrożka w inscenizacji Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie

FOT. ALEKSANDER KUŚNIERZ

Mrożek i nasi ludzie



Grzegorz Kondrasiuk

Polskie teatry funkcjonujące poza Polską to fenomen niemal zupełnie nierozpoznany. Stale pracują w ośrodkach tworzonych oddolnie, od Chicago aż po Lwów, najczęściej „po godzinach", popołudniami i w weekendy, za własne pieniądze, choć niektóre sceny (Czechy, Litwa) mają status zawodowy, a na wielu obok utalentowanych amatorów pojawiają się artyści profesjonalni. Tworzona z entuzjazmu i poczucia przynależności kultura polska i odpowiedzialność za nią – powinien być to istotny temat. Tymczasem, paradoksalnie, w Polsce teatry te grają sporadycznie, głównie dzięki kontaktom osobistym, i nie otrzymują z kraju niemal żadnego wsparcia ani mentalnego, ani finansowego. Jeśli już publiczny mecenat je dostrzega, to dotuje na minimalnym poziomie z funduszy przeznaczonych na działalność polonijną.

W ostatnich latach spektakle polskie tworzone za granicą gościły w Instytucie Teatralnym im. Raszewskiego, zawiązała się nawet specjalna Unia. Obecny MKiDN nie jest zainteresowany wspieraniem takich działań, choć logiczna jest ich przynależność do sektora kultury, a nie do polonijnego folkloru. Wywołuje to w środowisku poczucie osamotnienia. Trudno liczyć na to, że aktualna ekipa rządząca cokolwiek w sprawie włączania tych teatrów w obieg polskiego życia kulturalnego zrobi, chciałbym więc podrzucić sprawę zawiązanej właśnie prezydenckiej Rady do spraw Polonii i Polaków za granicą. Pozostają Wileńskie Spotkania Sceny Polskiej organizowane przez wileński Polski Teatr Studio. To najważniejszy festiwal pozwalający środowisku na spotkanie, wymianę doświadczeń, wzajemną motywację do dalszego działania. Teatr Studio (to już 65. rok działalności!) pokazał frapującą sztukę w reżyserii Mariusza Malca i Lidii Kiejzik „M.K. Čiurlionis. Trajektorie", włączając się w ogólnolitewskie obchody 150. rocznicy urodzin malarza i kompozytora, jednego z ojców założycieli litewskiej awangardy.

W Wilnie przedstawiono dwie warte uwagi realizacje sztuk Mrożka. Lwowski Polski Teatr Ludowy przypomniał niegrane „Wdowy" (pierwsza mrożkowa premiera tego teatru odbyła się, warto wspomnieć, w roku 1968). Zbigniew Chrzanowski, reżyser z ogromnym dorobkiem, sięgnął po ten tekst z okazji benefisowej dla swoich wytrawnych sił aktorskich: Jadwigi Pechaty i Ireny Słobodiany. Mrożek we „Wdowach" naszkicował zagadkową historię spotkania w pewnej kawiarni: dwóch panów, dwóch pań, kelnera oraz śmierci. To teatrzyk pozorów, wzajemna zdrada małżeńska, na którą przymyka się oko, permanentny brak satysfakcji, niezależnie od życiowych wybryków podążanie nie wiadomo dokąd i nie wiadomo po co, zakończone za to wiadomo jakim rezultatem. Tekst został wprawiony w ruch przez ironiczny, zdystansowany styl gry uprawiany przez lwowiaków i wystrzegającą się przeładowania w każdym elemencie precyzyjną reżyserię Chrzanowskiego.

Ciekawa rzecz, do podobnych efektów doszli Polacy w Niemczech, skupieni wokół „Gdańskiej". Miejsce („Restaurant und Kulturkaffe", z hotelikiem, a zarazem żywy ośrodek kultury, prowadzony z otwartością i fantazją) stworzyli w Oberhausen w Zagłębiu Ruhry Maria i Czesław Gołębiewscy. Działający tam teatr na swoją drugą premierę dał „Na pełnym morzu". Trzech bohaterów tego wiecznie żywego hitu scenicznego zagrało trio panów o słusznej posturze i takiejż aparycji, w czarno-białych trykotach (Leonard Paszek, Wojtek Motyka, Marian Dudek). Do tego role mniejsze, listonosza (a raczej listonoszki, Dorota Kawka-Grzeschik) i pokojówki (Agnieszka Radola), niesłychanie komiczne. Zespół trafił bezbłędnie w mrożkowy ton, gdzieś pomiędzy satyrą a groteską, bez kabaretowej dosłowności i przerysowania, z dystansem wobec siebie i wobec tekstu. Jest to już ten poziom profesjonalizmu, który pozwala na swobodną zabawę. Ale to zabawa tak naprawdę bardzo na serio, bo jest to ten rodzaj śmiechu, który ukrywa mrok.

Mrożek więc nadal żyje, np. za granicą, i jest nadal aktualny. Do przeszłości należy stereotyp teatru polonijnego, nader amatorskiego, wyłącznie dla pokrzepienia serc. Zresztą, tworzenie dobrego teatru nie wyklucza pokrzepiania serc... ©℗

SŁAWOMIR MROŻEK, „WDOWY", POLSKI TEATR LUDOWY WE LWOWIE, REŻ. ZBIGNIEW CHRZANOWSKI, WILEŃSKI TEATR STARY (DAWNY TEATR NA POHULANCE);
SŁAWOMIR MROŻEK, „NA PEŁNYM MORZU", TEATR GDAŃSKA (OBERHAUSEN), REŻ. ZESPÓŁ, CENTRUM KULTURY W NOWEJ WILEJCE
XII WILEŃSKIE SPOTKANIA SCENY POLSKIEJ, ORGANIZATOR: POLSKI TEATR STUDIO W WILNIE, WSPÓŁORGANIZATORZY: FUNDACJA POMOC POLAKOM NA WSCHODZIE IM. J. OLSZEWSKIEGO, FUNDACJA POMYSŁODALNIA, 6–10 LISTOPADA 2025 R.

eprasa.pl 323840c100

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 323840c100



Rafał A. Ziemkiewicz

Nie można wykluczyć, że sprawcom chodziło o podtrzymanie w Polsce nastrojów antyrosyjskich, które w ostatnim czasie zaczynają ustępować antyukraińskim, i o popchnięcie rządu do retorycznych antyputinowskich wzmożeń



Premier Donald Tusk (drugi od prawej) w miejscu wysadzenia kawałka torów opodal stacji kolejowej Mika

FOT. KPRM/AP/EAST NEWS

Podpalanie państwa z dykty

Z każdym dniem, który mija od wykrycia – jak to określono – „aktu dywersji przeciwko infrastrukturze kolejowej" pod Garwolinem, sprawa wygląda coraz bardziej kompromitująco dla państwa polskiego. Sumując wiedzę, którą mamy w momencie przygotowywania niniejszego numeru: do wysadzenia kawałka torów opodal stacji kolejowej Mika doszło w sobotę 15 listopada ok. godz. 21. Wybuch usłyszał mieszkaniec jednego z pobliskich domów i wezwał policję. Patrol przyjechał po pewnym czasie, pokręcił się po okolicy, niczego nie znalazł i odjechał. Następnego dnia przejechały po uszkodzonym torze trzy pociągi i dopiero załoga trzeciego z nich zauważyła uszkodzenie, i poinformowała o nim nadzór ruchu. Koniec końców, służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo państwa o wysadzeniu toru dowiedziały się mniej więcej po 12 godzinach, w niedzielę. Do wiadomości publicznej informację podano w poniedziałek, przy czym ogłoszenie, że mieliśmy do czynienia z aktem dywersji, najwyraźniej zastrzegł dla siebie osobiście sam premier Donald Tusk. W ten sposób „wystawił" mediom wicepremiera Krzysztofa Gawkowskiego, który w tym samym czasie bagatelizował zdarzenie, wskazując raczej na „złomiarzy" lub inne „zwyczajne" przyczyny braku odcinka torów (być może nauczony doświadczeniem swego kolegi z rządu, Marcina Bosackiego, który dwa miesiące temu cokolwiek przedwcześnie ogłosił światu, że to rosyjski dron zburzył dom w Wyrykach, co potem okazało się nieprawdą).

Rozbieżność między wersjami premiera i wicepremiera, agregowanymi chaotycznie przez różne ośrodki, spotęgowała chaos i zamieszanie.

Dwanaście godzin, które upłynęły między zgłoszeniem policji wybuchu a dotarciem tej wiadomości do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, to dość czasu, by domniemani sprawcy uciekli z kraju nawet piechotą. Zwłaszcza że i po powzięciu wiadomości o wysadzeniu torów, jak się zdaje, jeszcze przez kolejnych kilkanaście godzin nie prowadzono żadnej skoordynowanej akcji. Znając wiele poprzednich epizodów z rządów Donalda Tuska, można domniemywać, że niedzielne popołudnie i poniedziałkowy poranek wypełnione były troską nie o to, jak chronić Polskę przed kolejnymi atakami, a jak „sprzedać" całą sprawę w mediach.

Bezlitośnie, ale trafnie oddał to krążący po sieci mem, w którym zdjęcie Tuska z konferencji w Mice opatrzono napisem: „Rozważamy oddanie śledztwa stronie rosyjskiej". U podstaw całego ciągnącego się do dziś sporu o Smoleńsk, który przyniósł tyle zła Polsce i tyle pożytku Władimirowi Putinowi, leżała wszak decyzja Tuska, by odrzucić rosyjską propozycję powołania komisji międzynarodowej i oddać całe śledztwo Rosji w naiwnej wierze, że poprowadzi je ona tak, aby tragedia „nie przykleiła się" do Tuska i nie zaszkodziła wyborczym szansom PO.

DO CZEGO SŁUŻY PEGASUS

Z goryczą powiedzieć trzeba, że niewiele się od tego czasu zmieniło. Po „akcie dywersji" w mediach pojawiło się wiele opinii byłych oficerów wojskowych i cywilnych służb specjalnych. Niektórzy wypowiadali się tylko anonimowo, co oczywiście ogranicza wiarygodność ich słów, ale obraz, który z tych wszystkich wypowiedzi przeziera, jest bardzo spójny. Mimo że za naszą wschodnią granicą trwa już czwarty rok „pełnoskalowa" wojna, mimo że jako kraj przyfrontowy jesteśmy w niej ukraińskim „hubem" zaopatrzeniowym, państwo polskie i służby odpowiedzialne za jego bezpieczeństwo pracują w trybie nawet nie tyle pokojowym, ile

eprasa.pl 323840c100

biurokratycznym, w którym ważniejsze od stawienia czoła jakimkolwiek wyzwaniom jest stworzenie „dupochronu", jak dosadnie zwykło nazywać się „dowody", że dana osoba czy jednostka nie jest winna temu, co się stało.

Przy okazji działający na kolei związkowcy po raz bodaj pierwszy dobili się do mediów z informacją, że od kilku już lat, odkąd zaczęliśmy transportować materiał wojenny dla Ukrainy, bezsilnie dopraszają się o zmianę absolutnie nieprzystających do obecnej sytuacji przepisów „bezpieczeństwa" – w tym np. obowiązku wcześniejszego anonsowania każdego przejazdu transportu z materiałami wybuchowymi przez kolejowe radio, które bez trudu podsłuchać może każdy, kto chce. Jeśli przez prawie cztery lata nie pomyślano nawet o tak elementarnych sprawach, to o czym, na litość boską, pomyślano?

Nie istnieją, jak widzimy, żadne określone procedury na wypadek ataku na polską infrastrukturę krytyczną, nie widać, by służby jakkolwiek ogarniały, co robią beztrosko zaproszeni do Polski obywatele Ukrainy i co dzieje się w ukraińskiej bądź białoruskiej czy rosyjskiej diasporze. Teraz dopiero rządzący establishment i jego media zauważyły, że Rosjanie chętnie wykorzystują ich jako bezpośrednich wykonawców aktów sabotażu czy wręcz terroru, ale przecież gdy wcześniej próbowano zwracać uwagę, że w masie przyjmowanych „na żywioł" obcych obywateli mogą znajdować się przeszkoleni dywersanci czy kadrowi agenci obcych służb, wrzask o „ruskich onucach" i darcie szat w obronie rzekomo hejtowanych takimi podejrzeniami Ukraińców przybierały w tych samych środowiskach rozmiary obłędu. Zakup systemu Pegasus – nie tylko jego użycie, lecz także właśnie sam zakup – z zasady niezbędnego i zresztą stworzonego do zwalczania zagrożeń terrorystycznych, ogłoszony został „zbrodnią PiS", na której ściganiu skupił się z woli Tuska upartyjniony aparat państwa, a szef kontrwywiadu wojskowego, zamiast prawdziwym kontrwywiadem, zajmuje się „badaniem wpływów rosyjskich" polegającym na tropieniu krytycznych wobec Unii Europejskiej wpisów publicystów i polityków w mediach społecznościowych. W czym jest zresztą kompatybilny z byłym szefem SKW, również generałem, wygadującym w prorządowych mediach brednie o „putinowskim" PiS.

Donald Tusk, poza założeniem swojej sławnej „kryzysowej kurtki" i ogłoszeniem, że pośle do pilnowania torów żołnierzy WOT, użył jeszcze jednego z arsenału wypracowanych na takie momenty chwytów: zasłonił się Radosławem Sikorskim, wiedząc, że immanentna niedojrzałość tego polityka i jego skłonność do błaznowania zawsze skutecznie odwrócą uwagę od niego samego. Środowa wypowiedź Sikorskiego w Sejmie, jak można się było spodziewać, stanowiła połączenie tromtadracji i wygrażania Rosji, jak gdybyśmy dysponowali już jakimikolwiek dowodami jej winy w kwestii sabotażu (w istocie dowód taki, według ministra, stanowi fakt, że podejrzany w sprawie jest Ukrainiec, bo „wiadomo, że GRU rutynowo werbuje" do takich akcji „pod fałszywą flagą" właśnie Ukraińców), z atakiem na prezydenta Karola Nawrockiego, w duchu obecnej rządowej propagandy, że wszelki krytycyzm wobec UE to popieranie Putina.

Tylko w jednym otarł się Sikorski o prawdę: twierdząc, dla retorycznego efektu uderzenia w opozycję i prezydenta, że do masakry i śmierci wielu osób w katastrofie kolejowej nie doszło „jedynie cudem". W ustach ministra rządu od dwóch lat odpowiedzialnego za bezpieczeństwo Polaków, rządu, który nie wyciągnął żadnych wniosków z wielu poprzednich zagrożeń (na czele z podpaleniem hali przy Marywilskiej w Warszawie, którego sprawców skazano na śmiesznie niskie, bynajmniej nieodstraszające kary), tak otwarte przyznanie, że bezpieczeństwo Polaków opierać się może jedynie na nadziei na cud, ma swoją wagę – choć zapewne wynikło z nieprzemyślenia użytej retoryki.

PODTRZYMANIE NASTROJÓW ANTYROSYJSKICH?

Ale głosy wspomnianych już specjalistów, cytowanych przez media, wskazują na inne wyjaśnienie: do tragedii nie doszło, bo sprawcy sabotażu nie tego chcieli. Najwyraźniej zależało im, żeby Polaków tylko nastraszyć. Zdaniem płk. Mieczysława Tarnowskiego, który komentował sprawę w jednej z telewizji informacyjnych, zdjęcia pokazują, że użyto bardzo specjalistycznego materiału wybuchowego (cała siła eksplozji skupiła się na szynie, nie powstał żaden lej). Zawodowcy, używający takich technik, gdyby chcieli doprowadzić do wykolejenia pociągu, łatwo by ten cel osiągnęli – zwłaszcza mając zupełną swobodę działania. Trudno też wyjaśnić, dlaczego sprawcy pozostawili (podobno) na miejscu tyle śladów wskazujących na działanie celowe – kabel detonatora i inne urządzenia. Jeśli GRU czegoś uczy „rutynowo", to, według autora podręcznika o GRU dla zachodnich akademii wojskowych, Wiktora Suworowa, właśnie takiego przeprowadzania podobnych akcji, by jak najbardziej upozorować przypadek bądź działanie natury.

Czy chodziło, jak twierdzą zgodnie medialni komentatorzy, o „testowanie" przez Putina Polski? O to, by poprzez eskalowanie takich zdarzeń sprawdzić, jakie są nasze procedury i jak zadziałają polskie służby? Być może, choć zdrowy rozsądek pokazuje, że Rosjanie (i każdy, kto chce) wiedzą to doskonale już od dawna: procedur nie ma, służby zajęte są szukaniem haków na opozycję, a całe państwo służy utrzymaniu przez obóz rządzący władzy i odrywa się od tego na chwilę dopiero mocno szturchnięte jakimś pożarem lub wybuchem. Zarazem w interesie Putina byłoby chyba raczej pozwolić Polakom tkwić w tym błogim uśpieniu, a nie dawać im kolejne powody, by wreszcie ruszyli się i zaczęli swoje państwo naprawiać.

Teoretycznie nie można przecież wykluczyć, że sprawcom chodziło o coś innego – np. o podtrzymanie w Polsce nastrojów antyrosyjskich, które w ostatnim czasie zaczynają ustępować antyukraińskim, i o popchnięcie rządu do retorycznych antyputinowskich wzmożeń, takich, które zaprezentował Sikorski – idę o zakład, że nie budząc tym ani strachu na Kremlu, ani szacunku wśród sojuszników z NATO. A to nakazywałoby rozpatrywać także inne możliwości niż narzucana oficjalnie narracja o agresji Putina i bohatersko walczącej z nim Unii Europejskiej, reprezentowanej przez rząd Tuska.

W grze wywiadów i agentur wpływu warto zachowywać ostrożność. Zwłaszcza gdy nie ma się w ręku żadnych kart.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



Grzech założycielski



Piotr Woyciechowski

Z czym mierzą się współczesne polskie służby specjalne? Według mego głębokiego przekonania przede wszystkim ze swoistym grzechem założycielskim. Tym grzechem założycielskim była przyjęta koncepcja budowania nowych służb III RP na fundamencie służb komunistycznych, zależnych w przeszłości od Moskwy i dla moskiewskich służb wywiadowczych przezroczystych

Książka „Służby specjalne", którą oddaję do rąk czytelników, to monografia moich wybranych publikacji i wywiadów prasowych z lat 1992–2025. Zaprezentowałem w niej owoce mojej działalności publicystycznej i eksperckiej z okresu ostatnich ponad 30 lat, która obejmuje szerokie spektrum funkcjonowania komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, służb specjalnych III RP, a także problematyki lustracji, dekomunizacji i desowietyzacji, która to problematyka bezpośrednio wpływała i wpływa na kondycję oraz zdolność naszych służb specjalnych do skutecznego zwalczania i przeciwdziałania zagrożeniom wewnętrznym oraz zewnętrznym na bezpieczeństwo Rzeczypospolitej Polskiej.

Swoje zainteresowania problematyką służb specjalnych datuję od 1992 r., kiedy zbiegiem pewnych okoliczności Antoni Macierewicz – minister spraw wewnętrznych w rządzie premiera Jana Olszewskiego – zaproponował mi zorganizowanie Wydziału Studiów, nowo utworzonej jednostki organizacyjnej MSW, która miała w założeniu przygotować merytorycznie resort do rozwiązań lustracyjnych postulowanych przez pierwszy od zakończenia drugiej wojny światowej legalny, wyłoniony w wyniku wolnych i demokratycznych wyborów, polski rząd. Dzięki ekstraordynaryjnym uprawnieniom nadanym przez ówczesne kierownictwo MSW i UOP mieliśmy wyjątkową możliwość dogłębnego zapoznawania się z zasobami archiwalnymi oraz ewidencją operacyjną Służby Bezpieczeństwa PRL. W tym z czynną ewidencją operacyjną UOP. Ostatecznie

eprasa.pl 323840c100



FOT. ADOBE STOCK

Wydział Studiów był odpowiedzialny za realizację uchwały lustracyjnej Sejmu RP z dnia 28 maja 1992 r.

„CZYJA BĘDZIE POLSKA"

Przebieg oraz okoliczności obalenia rządu premiera Jana Olszewskiego 4 czerwca 1992 r., które w sposób sugestywny i obrazowy w kultowym już filmie dokumentalnym „Nocna zmiana" przedstawił Jacek Kurski, wywarły trwały i, powiedziałbym, nieodwracalny wpływ na dalsze moje życie. Słynne słowa premiera Olszewskiego, „czyja będzie Polska" wypowiedziane na forum Sejmu RP, tuż przed głosowaniem parlamentarnej koalicji strachu, a które przeszły do historii współczesnej Polski, będą przyświecały mi w dalszej działalności jako badacza, eksperta i historyka służb specjalnych.

Siła tego wydarzenia, a także jego konsekwencje polityczne spowodowały, że w sposób naturalny związałem się na pewien czas z niepodległościowym obozem premiera Jana Olszewskiego. Dzięki temu mogłem kontynuować na poziomie eksperckim zainteresowania komunistycznym aparatem bezpieczeństwa, głównie w ramach prac w komisjach sejmowych rozpatrujących liczne projekty ustaw lustracyjnych, reformy służb specjalnych czy też wyodrębnienia archiwów służb komunistycznych, w celu ich ujawnienia oraz szerokiego udostępnienia. Wyjątkowe walory poznawcze miała moja praca jako doradcy podczas prac Sejmowej Komisji Śledczej do spraw PKN ORLEN, ze względu na rolę oficerów Wojskowych Służb Informacyjnych w kontrolowaniu krajowego rynku paliwowego oraz Urzędu Ochrony Państwa zaangażowanego bezpośrednio w tzw. aferę orlenowską.

W tym miejscu poczynię ważne zastrzeżenie dla czytelnika. Nigdy nie pracowałem i nie służyłem w służbach specjalnych. Warto o tym pamiętać podczas lektury książki. Moja unikatowa wiedza i doświadczenia z tym związane wynikają z faktu pełnionych funkcji lub zajmowanych cywilnych stanowisk, w ramach których miałem możliwość zanurkowania dość głęboko w tajne pokłady działalności polskich służb i zapoznania się z funkcjonującymi mechanizmami, obowiązującymi tam regułami oraz z wysokimi funkcjonariuszami tychże służb.

Tak było w 1992 r., gdy Urząd Ochrony Państwa w dużej mierze stał się dla pracowników Wydziału Studiów dostępny (włącznie z Zarządem Wywiadu UOP), tak było w 2006 r., gdy wspólnie ze Sławomirem Cenckiewiczem oraz Filipem Musiałem likwidowaliśmy Wojskowe Służby Informacyjne, tak było na przełomie lat 2007 i 2008, kiedy jako członek Komisji Weryfikacyjnej do spraw WSI wykonywałem swoje obowiązki, i wreszcie w 2023 r., gdy jako ekspert Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022 brałem udział w tajnych pracach komisji, analizowałem otrzymane niejawne materiały i opracowywałem dla członków komisji rekomendacje.

Praktycznie od momentu powołania Instytutu Pamięci Narodowej, na podstawie zgromadzonego w Instytucie zasobu archiwalnego po byłych organach bezpieczeństwa państwa PRL, systematycznie badam dzieje komunistycznego aparatu represji.

KOMUNIŚCI NIE ODESZLI

Z czym mierzą się współczesne polskie służby specjalne? Według mego głębokiego przekonania przede wszystkim ze swoistym grzechem założycielskim. Tym grzechem założycielskim była przyjęta koncepcja budowania nowych służb III RP na fundamencie służb komunistycznych, zależnych w przeszłości od Moskwy i dla moskiewskich służb wywiadowczych przezroczystych.

Skutkiem tego było oparcie się prawie w 100 proc. na kadrach aparatu bezpieczeństwa PRL, przejęcie w całości archiwów oraz aktywów operacyjnych komunistycznej bezpieki jako własne powielenie stosowanego w okresie dyktatury komunistycznej paradygmatu pracy operacyjnej, a także odziedziczenie mentalności starych ubeków i umożliwienie zainfekowania nowych służb bakcylem tzw. brudnej wspólnoty.

Inaczej być w sumie nie mogło. Przecież III RP zachowała ciągłość prawno-instytucjonalną z PRL. Nie zerwaliśmy definitywnie z komunizmem. Nie uznaliśmy panującego w latach 1945–1989 systemu komunistycznego jako bezprawnego i narzuconego siłą przez obce mocarstwo, jak to zrobili Czesi. Nie zdelegalizowaliśmy nawet PZPR, jak to uczynił prezydent Federacji Rosyjskiej Borys Jelcyn wobec Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Natomiast pozwoliliśmy na samorozwiązanie PZPR i na honorowe wyprowadzenie sztandaru na ostatnim zjeździe w styczniu 1990 r. Nie przeprowadziliśmy lustracji i dekomunizacji w strukturach państwa, rozumianej jako wprowadzenie czasowego zakazu pełnienia funkcji publicznych w III RP dla osób zaangażowanych oraz odpowiedzialnych za utrwalanie systemu totalitarnego. Praktycznie nikt z członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego nie poniósł rzeczywistej odpowiedzialności karnej



PIOTR WOYCIECHOWSKI „SŁUŻBY SPECJALNE" WYDAWNICTWO LTW 2025

eprasa.pl 323840c100

za popełnione zbrodnie. Nikt z nich nie trafił do więzienia. Komanda śmierci SB odpowiadające za skrytobójcze morderstwa księży katolickich w latach 80. ubiegłego wieku nadal pozostają bezkarne. Bogate żniwo dogadania się wyselekcjonowanej przez gen. Czesława Kiszczaka i gen. Wojciecha Jaruzelskiego części opozycji solidarnościowej z komunistami w ramach zawartych umów Okrągłego Stołu w 1989 r. zbieramy do dzisiaj, choćby w sądownictwie. Obserwowany bunt starych sędziów i panująca obecnie w sądownictwie anarchia są tego najlepszym dowodem. Po owocach ich poznacie. Jak pisał Ewangelista Mateusz: „Nie może dobre drzewo wydawać zepsutych owoców ani skażone drzewo wydawać szlachetnych owoców".

Nieobojętne jest także, kto, jacy decydenci i z jakich politycznych ośrodków pochodzący projektowali przyszłe służby specjalne i powoływali do życia. Tak się składa, że na przestrzeni ostatnich 35 lat, z wyjątkiem 2006 r., kiedy prawicowa większość parlamentarna uchwaliła pakiet ustaw o likwidacji WSI i utworzeniu SKW i SWW, to właśnie komuniści lub postkomuniści decydowali o kształcie, a także funkcjonowaniu polskich służb specjalnych. Co więcej, to postkomuniści wprowadzili obowiązujący do dziś model nadzoru rządowego nad służbami i parlamentarną kontrolę nad nimi. A więc przedstawiciele skompromitowanej formacji politycznej, z istoty swej antynarodowej i zawsze czołobitnej wobec obcego, wrogiego Polsce hegemona, ukształtowali obowiązujący do tej pory model służb specjalnych.

Jest jeszcze inny negatywny odziedziczony aspekt, z którym zmagają się obecne służby, szczególnie wywiadowcze. To zewnętrzne uwarunkowania w początkowym okresie transformacji ustrojowej, które stanowiły realną przeszkodę w zbudowaniu skutecznych, profesjonalnych i działających w interesie niepodległego oraz suwerennego państwa polskiego służb specjalnych. Podkreślam, służb działających w interesie państwa polskiego, a nie państw trzecich bądź realizujących interesy sprzeczne z polską racją stanu. Temat ten podnosi, w zamieszczonej do niniejszego wydania książki przedmowie zatytułowanej „Służby, czyli ludzie w maskach", dr Jan Parys, były prawicowy polityk i minister obrony narodowej

Bez terapii szokowej nie uda się nam stworzyć instrumentów adekwatnych do zagrożeń, które stoją przed Polską w najbliższej przyszłości

w rządzie premiera Jana Olszewskiego. W skrócie: Jan Parys twierdzi, że CIA roztoczyła parasol nad dawnymi komunistycznymi służbami, licząc bardziej na ich werbunek, niż naciskając na ich pełną likwidację. Podobny pogląd wyraził ponad 15 lat temu prominentny polityk sojuszu Lewicy Demokratycznej, ostatni szef UOP i pierwszy szef Agencji Wywiadu – dr Zbigniew Siemiątkowski. W swojej książce pt. „Wywiad a władza. Wywiad cywilny w systemie sprawowania władzy politycznej" Siemiątkowski wywodzi, że w latach 1989–1990 nastąpił proces przejęcia i podporządkowania sobie przez Amerykanów całego Departamentu I SB (wywiad). Jak wiemy, kadra oficerska wywiadu cywilnego PRL praktycznie nietknięta zasiliła Zarząd Wywiadu UOP i nim kierowała do momentu likwidacji tej służby w 2002 r. Podobna sytuacja miała miejsce po utworzeniu Agencji Wywiadu. Afera tajnych i nielegalnych więzień CIA zlokalizowanych na terenie Polski uprawdopodabnia twierdzenia Jana Parysa i Zbigniewa Siemiątkowskiego.

DEMOLKA

Służby pod rządami koalicji 13 grudnia zostały zdemolowane. Na początku targały nimi karuzele kadrowe na stanowiskach kierowniczych, następnie zaordynowane czystki personalne, liczne audyty, zawiadomienia do prokuratury na poprzedników, zmiany w strukturze organizacyjnej i szczucie jednych koterii przeciwko drugim, w celu przypodobania się nowej władzy. Wszystko to zaowocowało długotrwałym paraliżem decyzyjnym i wstrzymaniem planowanych operacji. Następnie uderzono w Centralne Biuro Antykorupcyjne pod pretekstem sfingowanej afery Pegasusa, która rykoszetem trafiła wszystkie inne służby specjalne korzystające z tego oprogramowania. W dalszej kolejności dopuszczono się skandalu, polegającego na oddaniu Służby Kontrwywiadu Wojskowego w zarząd ludziom z WSI i skompromitowanym reseciarzom spod znaku umowy SKW-FSB. Przebieg kampanii wyborczej na urząd Prezydenta RP dostarczył dowody na kolejne patologie w służbach. Piszę tutaj o prawdopodobnym wykorzystywaniu informacji pochodzących z akt postępowania sprawdzającego, które ABW w przeszłości prowadziło wobec dr. Karola Nawrockiego, w celu jego dyskredytacji jako kandydata aspirującego na najwyższy urząd w Rzeczypospolitej Polskiej. Podobna sytuacja ma miejsce z wrogimi działaniami SKW wobec szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego – Sławomira Cenckiewicza. Bezzasadne odebranie mu poświadczenia bezpieczeństwa, niechlubne okoliczności z tym związane, kontrolowane przecieki do prasy, a także bezprawne nierespektowanie przez szefa SKW korzystnego wyroku sądu administracyjnego wpisują się w znany i udokumentowany procesowo z lat 90. proceder wykorzystywania służb specjalnych do zwalczania oponentów politycznych przez sprawujących władzę. Na końcu odnotujmy jeszcze aferę pedofilską w Agencji Wywiadu, o której czytelnik może się z tej książki sporo dowiedzieć. I mamy przygnębiający obraz kondycji służb specjalnych. A w tle eskalowana wojna hybrydowa, którą Federacja Rosyjska i Białoruś prowadzą przeciwko Polsce, oraz brak perspektyw na zakończenie wojny na Ukrainie.

Mam nadzieję, że książka „Służby specjalne" stanie się przyczynkiem do poważnej i merytorycznej debaty nad przyszłością polskich służb specjalnych. Byłbym wielce rad, gdyby zarzucona dekadę temu tzw. opcja zerowa powróciła do dyskursu publicznego jako równoprawny z innymi model zreformowania aparatu państwowego odpowiedzialnego za bezpieczeństwo wewnętrzne i zewnętrzne RP. Jestem przekonany, że bez terapii szokowej nie uda się nam stworzyć instrumentów adekwatnych do zagrożeń, które stoją przed Polską w najbliższej przyszłości. Czy tak się stanie, czas pokaże.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem wstępu do książki „Służby specjalne", tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

eprasa.pl 323840c100

Austriacka Grupa Erste:

Od 200 lat buduje zaufanie, teraz inwestuje w Polsce

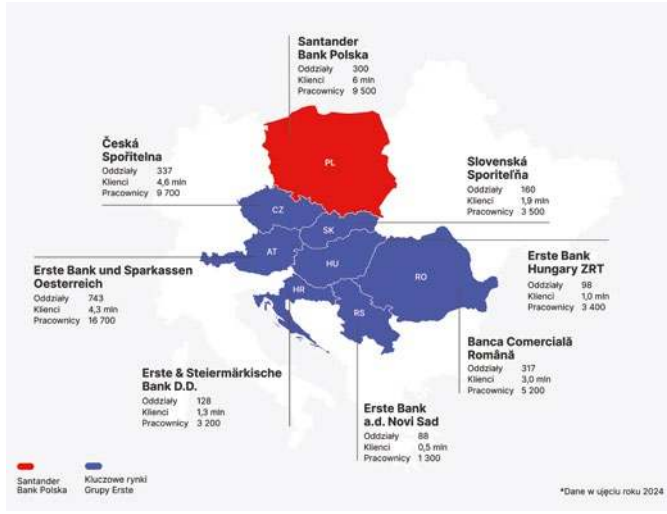
W czasach dynamicznych zmian Austriacka Grupa Erste pozostaje symbolem stabilności w europejskiej gospodarce. Powstała w 1819 r. z myślą o zwykłych obywatelach, przez dwa stulecia przekształciła się w jedną z wiodących instytucji finansowych Europy Środkowej. Teraz, pod warunkiem uzyskania zgody KNF, wraz z planowanym przejęciem 49 proc. udziałów kontrolnych w Santander Bank Polska oraz 50 proc. udziałów w Santander TFI, Erste zamierza umocnić swoją pozycję w regionie.

„Poprzez planowaną transakcję w Polsce inwestujemy w jeden z najdynamiczniej rozwijających się rynków Europy. Wynika to z naszego przekonania o innowacyjnym potencjale i przedsiębiorczości krajów Europy Środkowej" – podkreśla Peter Bosek, prezes Grupy Erste.

OD LOKALNEGO BANKU WIEDEŃSKIEGO DO REGIONALNEGO LIDERA

Historia Erste sięga 200 lat wstecz. Wszystko zaczęło się w Wiedniu, gdzie bank otworzył swoje drzwi dla wszystkich – niezależnie od wieku, płci czy statusu społecznego. W czasach gdy usługi finansowe zarezerwowane były wyłącznie dla elit, Erste umożliwił zwykłym ludziom oszczędzanie i korzystanie z kredytów, wychodząc z założenia, że wspieranie jednostek to najlepsza droga do budowania dobrobytu.

Już w połowie XIX w. model Erste inspirował powstanie banków oszczędnościowych od Pragi do Lwowa, od Zagrzebia do Koszyc, tworząc fundament nowoczesnych finansów dostępnych dla wszystkich.



DEBIUT GIEŁDOWY IMPULSEM DO EKSPANSJI

Prawdziwy przełom w rozwoju Erste nastąpił w grudniu 1997 r., wraz z debiutem giełdowym w Wiedniu. Emisja akcji o wartości ponad 500 mln euro – największa w historii Austrii – otworzyła drogę do realizacji ambitnej strategii ekspansji. W latach 1997–2008 Grupa Erste przejęła kluczowe banki w Czechach, na Węgrzech, Słowacji, w Chorwacji, Rumunii i Serbii. Dzięki tym inwestycjom odegrała znaczącą rolę w modernizacji sektora bankowego oraz w finansowaniu transformacji gospodarczej całego regionu.

BANKOWOŚĆ Z LUDZKĄ TWARZĄ WSPIERA ROZWÓJ I INNOWACJE

Dziś Erste obsługuje ponad 17 mln klientów i znajduje się w czołowej trójce instytucji finansowych na większości ze swoich siedmiu kluczowych rynków. Grupa zatrudnia blisko 46 tys. osób i prowadzi 1840 oddziałów, łącząc indywidualne doradztwo z nowoczesnymi technologiami cyfrowymi. Jej wielokrotnie nagradzana platforma George wspiera już 11 mln użytkowników.

Poza bankowością detaliczną Erste posiada silną pozycję w obszarze bankowości komercyjnej i rynków kapitałowych. Erste współpracuje z niemal milionem mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw, wspierając rozwój firm będących fundamentem gospodarek regionu.

BANKOWOŚĆ Z MISJĄ

Sukces Erste opiera się nie tylko na solidnych wynikach finansowych, lecz także na konsekwentnym zaangażowaniu w działania służące klientom i społecznościom lokalnym.

Ich najlepszym wyrazem są inicjatywy z zakresu bankowości społecznej, realizowane we współpracy z głównym udziałowcem – organizacją non profit ERSTE Foundation. W ciągu ostatniej dekady Grupa przeznaczyła ponad 700 mln euro na rozwój społeczny, przyczyniając się do powstania i utrzymania blisko 100 tys. miejsc pracy.

Szczególne znaczenie ma dla Grupy edukacja finansowa. Unikalna platforma Erste Financial Life Park (FLiP), łącząca nowoczesne technologie, narrację i elementy grywalizacji, pomaga młodym ludziom budować pewność siebie w zarządzaniu pieniędzmi.

POLSKA: STRATEGICZNE ZOBOWIĄZANIE

Grupa Erste docenia dojrzałość i nowoczesność polskiego sektora bankowego i chce działać na rzecz jego dalszego rozwoju. Erste stawia na budowanie długotrwałych relacji i najlepszych doświadczeń klientów. Jednocześnie inwestuje w innowacje, cyfryzację i usługi mobilne.

Wraz z planowanym wejściem Erste do Polski na rynku pojawi się gracz, który łączy indywidualne podejście do klienta, zaufanie, innowacyjność oraz doskonałą znajomość rynków Europy Środkowej. Polscy klienci zyskają partnera z dużym doświadczeniem we wspieraniu osób prywatnych, małych i średnich przedsiębiorstw, dużych firm i korporacji.

„Dla nas Polska to nie tylko rynek, to strategiczne zobowiązanie – powiedział Peter Bosek. – Po uzyskaniu odpowiednich zgód regulacyjnych chcemy zostać, inwestować na tym rynku i wspierać długoterminowy rozwój kraju".

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 323840c100

Czy Polska może



Jan Parys

Komisja Europejska dąży do rozbudowania swojego imperium, a większość Polaków chce, by nasze państwo było silniejsze, czyli okrojenia uprawnień UE. Jak wiadomo, nie ma żadnego dowodu na to, że dla naszych obywateli imperializm Unii będzie lepszy niż imperializm wewnętrzny, czyli silna władza w Polsce

Budowę imperium można rozumieć dwojako: to albo silna władza państwowa, albo kraj, który jest na tyle duży, że kontroluje inne państwa.

Imperium Rzymskie z okresu pierwszego stulecia naszej ery obejmowało 50 mln mieszkańców, tereny wokół Morza Śródziemnego, Mezopotamii oraz obecnej Hiszpanii i Wielkiej Brytanii. Takiego imperium jako Polacy raczej dziś nie zbudujemy. Mamy natomiast szanse korzystać z pozycji najsilniejszego kraju w regionie.

Realizujemy różne formaty międzynarodowej kooperacji, jak Grupa Wyszehradzka i Trójmorze. Są to inicjatywy, które są budowaniem lobby gospodarczego wewnątrz Unii Europejskiej, by lepiej dbać o interesy państw naszego regionu. My w Polsce, tak jak mieszkańcy krajów z nami sąsiadujących, wiemy, że samotnie znaczymy w Brukseli mniej i że łatwiej coś zyskać, działając razem i występując z projektami wspólnymi. Natomiast tzw. Korytarz Północno-Wschodni i Bukareszteńska Dziewiątka to formaty, które umożliwiają lobbowanie za wspólnym interesem państw flanki wschodniej na terenie NATO.

Możemy także budować imperium w tym sensie, że umocnimy władzę wykonawczą w naszym kraju i dzięki temu prezydent oraz rząd będą mogli bardziej sprawnie podejmować decyzje. Takiej zdolności do szybkich decyzji w naszym systemie władzy dziś brakuje, co było widać podczas pandemii COVID-19. Przypuszczam, że gdyby wybuchła wojna, to sytuacja w dziedzinie kierowania krajem byłaby jeszcze trudniejsza. Jak wiemy, w dzisiejszych czasach nie da się zbudować monarchii, która dała siłę np. Imperium Rzymskiemu. Stąd w różnych środowiskach w Polsce dyskutuje się nad projektem nowej konstytucji. Mówił o tym m.in. prezydent Karol Nawrocki w Sejmie w swym przemówieniu inauguracyjnym.

KONIECZNOŚĆ KOMPROMISU

Dotychczasowa konstytucja ma ponad ćwierć wieku i to jest powód, by zastanowić się nad jej zmianą częściową lub całkowitą. Należy przypomnieć, że obecnie obowiązująca ustawa zasadnicza była opracowana, gdy silne były wpływy komunistyczne. Dziś środowiska komunistyczne nie mają dużego znaczenia w naszym kraju. Wiemy z badań sondażowych, że po najbliższych wyborach parlamentarnych będą małe szanse na to, by jeden obóz miał większość konstytucyjną. Nowa konstytucja lub korekta obecnej będą zatem musiały być rezultatem kompromisu. Chodzi o kompromis między obozem konserwatywno-republikańskim a obozem liberalno-lewicowym.

Praca nad konstytucją ma sens, jeżeli będzie łączyć różne strony sceny politycznej. Każda ze stron będzie zatem musiała z czegoś, co uważa za ważne, ustąpić. Po prostu nie da się przegłosować ustawy zasadniczej na zasadzie narzucenia rozwiązań istotnych dla jednej opcji pozostałym częściom społeczeństwa. Najtrudniej osiągnąć kompromis w sprawach aksjologicznych, jak definicja małżeństwa, rodziny, ochrona życia, ocena PRL, zakaz propagowania ideologii komunistycznej itp. Kwestie aksjologiczne lepiej zatem pozostawić bez zmian i poprzestać na rozwiązaniach już przyjętych i stosowanych w obecnej ustawie zasadniczej. Natomiast możliwe jest, aby różne strony sporu uzgodniły np. umocnienie władzy wykonawczej, niezależność sądownictwa od władzy wykonawczej, podział kompetencji między prezydentem a rządem itp. To wymaga, by najpierw strony ustaliły pewne priorytety, czyli to, co i jak zmieniamy w stosunku do rozwiązań obecnie obowiązujących.

Takim priorytetem mogłoby być np. umocnienie władzy prezydenta. Ze względu na to, że urząd ten pełni jedna osoba, jej zdolność do podejmowania decyzji w dynamicznie zmieniającym się świecie jest oczywiście większa niż możliwości koalicyjnych rządów. Druga ważna sprawa to umocnienie pozycji premiera, czyli zapis, że to on podejmuje decyzje w imieniu rządu, a nie – jak obecnie – Rada Ministrów w głosowaniu. Trzecia kwestia, która moim zdaniem pozwoliłaby budować w Polsce imperium, to korekta ordynacji wyborczej do parlamentu. Tu warto korzystać z doświadczeń innych państw, to jest takich, w których jest ordynacja większościowa, jak w Wielkiej Brytanii, lub takich jak Francja, w których występuje ordynacja proporcjonalna.

Gdy mamy ordynację proporcjonalną, dochodzi czasem do wyłonienia tak rozbitego parlamentu, jak obecnie we Francji, gdzie nie można zbudować większości. Trzeba zatem unikać rozwiązań w zakresie ordynacji wyborczej, które paraliżują państwo. Stąd warto, by konstytucja otwierała drogę do ordynacji większościowej i okręgów dwumandatowych.

Bez silnej władzy wykonawczej nie da się zbudować silnej gospodarki, a bez zmiany konstytucji nie da się przekształcić Polski w imperium gospodarcze. Trzeba bowiem, by rozwiązania prawne, które regulują życie polityczne, zapewniały elementarną sprawność rządzenia.

Jak wiemy, nie da się zapisać w konstytucji, że polityk ma być mądry w dziedzinie ekonomii. Natomiast obowiązujące zapisy konstytucyjne i treść przysięgi, którą składają politycy, przyjmując urzędy, to zapisy i deklaracje, które niesłusznie traktujemy jako uroczyste frazesy. Tymczasem są to zobowiązana, z realizacji których polityków należy rozliczać, i to także w trakcie ich kadencji. Co więcej, jestem za tym, by osoba, która ma najsilniejszy mandat od społeczeństwa, czyli prezydent, miała

eprasa.pl 323840c100

być imperium?

prawo unieważniania aktu powołania, który wręcza poszczególnym politykom, jeżeli uzna, że ktoś w rażący sposób narusza przyjęte obowiązki i złożoną przysięgę. Wiem, że taka procedura, która zależy od jednej osoby i nie przewiduje instancji odwoławczej, będzie budziła zastrzeżenia prawników. Jednak uważam, że należy przyjąć, iż prezydent korzystałby z tej możliwości w sytuacjach nadzwyczajnych, czyli rzadko. Nie możemy zapewnić sprawnej władzy wykonawczej, rozbudowując procedury odwoławcze. A sprawność władzy państwowej, czyli budowa imperium, powinna być głównym celem zmiany konstytucji. Procedura głosowania nad wotum zaufania często nie jest skuteczną formą kontroli nad politykami, bo parlamentarna większość na ogół broni swych polityków bez względu na to, czy postępują zgodnie z przyjętymi zobowiązaniami. Tymczasem polityków ktoś musi rozliczać, gdy w rażący sposób łamią przyjęte zobowiązania.

Prezydent powinien także mieć prawo rozwiązywania parlamentu i zarządzania nowych wyborów, jeśli uzna, że decyzje rządu naruszają suwerenność lub bezpieczeństwo kraju. Obecnie zapisany w konstytucji model społecznej gospodarki rynkowej jest dobrym zapisem, bo stanowi formułę ustroju gospodarczego, który otwiera drogę także do budowy imperium gospodarczego w Polsce.

ZJAWISKA PATOLOGICZNE

Imperium gospodarcze to silna gospodarka, a więc taka, która działa w polskim interesie. To nie oznacza zamknięcia gospodarki na świat ani na kapitał zagraniczny w naszym kraju. Powstaje pytanie, czy potrafimy zdefiniować interesy gospodarcze naszego państwa, kto ma to robić i jakie są kryteria, by zbudować hierarchię interesów, bo wiadomo, że nie da się realizować wielu celów naraz jako równie ważnych. Najważniejszy jest, moim zdaniem, wybór strategii, a potem jej konsekwentna realizacja, która ma trwać niezależnie od tego, jak zmieniają się rządy. To oznacza, że taką strategię rozwoju gospodarczego trzeba wypracowywać na drodze ponadpartyjnego konsensusu. To nie jest łatwe. Z sondaży wiadomo, że ludzie oczekują silnego państwa i programów rozwojowych, a np. obecny rząd chce realizować politykę w ramach priorytetów narzuconych przez Unię Europejską.

Dorobek Unii Europejskiej ostatnich 20 lat jest największym skandalem politycznym i gospodarczym XXI w.

Jak wiadomo, władze Unii Europejskiej starają się przede wszystkim powiększyć swoje uprawnienia, a to oznacza rozmontowywanie kompetencji poszczególnych państw członkowskich, także w dziedzinie gospodarczej. Mamy zatem sprzeczność dwóch imperializmów, bo Komisja Europejska chce rozbudować swoje imperium, a większość Polaków chciałaby, by nasze państwo było silniejsze, czyli chciałaby okrojenia uprawnień UE. Jak wiadomo, nie ma żadnego dowodu na to, że dla naszych obywateli imperializm Unii będzie lepszy niż imperializm wewnętrzny, czyli silna władza w Polsce.

W sprawie rozwiązania konfliktu między dwoma imperializmami decydować powinni wyborcy w poszczególnych krajach, a nie elita brukselska, która nie ma żadnego demokratycznego mandatu. Trzeba publicznie mówić o tym, że Unia jest wrogiem każdej wspólnoty narodowej i każdego silnego państwa narodowego.

Przez wiele lat panowało u nas pewne złudzenie. Politycy, którzy zakładali Unię, byli zwolennikami liberalnej gospodarki, czyli prymatu gospodarki nad polityką. Dziś w Unii jest inaczej. Dawne dziedzictwo ojców założycieli Unii zostało odrzucone. Dziś w UE to ideologia dominuje nad gospodarką przy podejmowaniu decyzji. W rezultacie władze UE podejmują decyzje, które nie rozwiązują problemów, lecz je tworzą. Gdy Unia wspiera migrację ekonomiczną, to kreuje zjawiska patologiczne na wielką skalę. Gdy narzuca politykę klimatyczną, to likwiduje europejski przemysł. Jest więc jasne, że władze UE zamykają oczy na rzeczywistość, że nie działają w interesie mieszkańców Unii. Kierują się przesłankami ideologicznymi zamiast racjonalną oceną sytuacji.

Od wielu lat wiadomo, że mieszkańcy Unii w żadnym kraju nie chcą migrantów ekonomicznych, bo postrzegają ich jako zagrożenie dla spójności społecznej i bezpieczeństwa. Wiadomo także, że likwidacja przemysłu pod naciskiem priorytetów klimatycznych doprowadzi do dużego bezrobocia. Mimo to władze UE nie chcą zmienić swych priorytetów ideologicznych, a oczekiwania mieszkańców ignorują. Stąd w wielu państwach UE obserwujemy wzrost sił uważanych za skrajne oraz niepokoje społeczne. To właśnie świadczy o tym, że Unia tworzy problemy, zamiast je rozwiązywać. Mówmy otwarcie: w rezultacie błędnej polityki władz Unii w tej chwili Europa na tle Chin i USA ma gospodarkę słabszą niż 20 lat temu. Ten dorobek UE jest także największym skandalem politycznym i gospodarczym XXI w.

Istnienie UE w ostatnich 15 latach to czas klęski. To czas, w którym elita w Brukseli udowodniła, że nie rozumie wyzwań współczesności. Gdyby w jakiekolwiek dużej firmie zarząd miał takie wyniki jak Komisja Europejska, to zostałby natychmiast odwołany. Tak się nie dzieje, bo na straży błędnej polityki Unii stoi 30 tys. urzędników KE, bo w krajach członkowskich Unii są setki polityków, którzy tę błędną politykę Unii akceptowali i realizowali.

W Europie mamy silne lobby broniące obecnej błędnej polityki UE, bo dotychczasowe elity w wielu państwach członkowskich Unii boją się rozliczenia za błędy. Unia może się uratować, jeśli się zreformuje, czyli oderwie od złej polityki, ale do tego potrzebna jest rewolucja personalna w Brukseli. Jeżeli Unia się nie zreformuje, to projekt integracji europejskiej będzie chylił się ku upadkowi.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100

Odrzucona ekspiacja



Filip Memches

Część progresistów patrzy na liberalny umiar, staroświeckie pojmowanie tolerancji, otwartość wobec oponentów jak na anachroniczne frajerstwo. Ludzi tych rozsadza pasja rewolucyjna. A gdy jeszcze kieruje nimi chorobliwy resentyment wobec „homofobów", to skruchę dawnego konserwatysty przyjmują jako objaw słabości

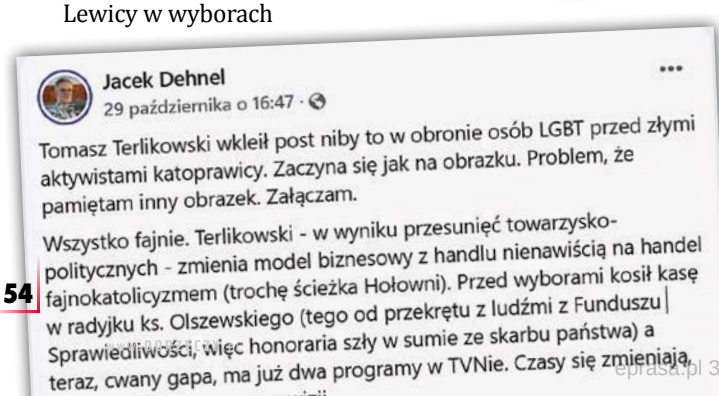
Ludzie, którzy zmieniają poglądy, nie mają łatwo. W dawnym swoim środowisku uchodzą za zdrajców, w nowym mogą mieć problem z tym, żeby się uwiarygodnić. Niemniej jeśli ktoś przewartościowuje swoje przekonania i zaczyna głosić co innego, niż głosił wcześniej – nie ma przecież w tym nic ani zdrożnego, ani nadzwyczajnego.

To właśnie przypadek Tomasza Terlikowskiego. Z prawicowej „bańki" spadają na tego publicystę anatemy. Kierowane są zarzuty właśnie o zdradę. A tymczasem Terlikowski po prostu pewne sprawy przemyślał na nowo. To nie jest przejaw koniunkturalizmu, lecz efekt poszukiwania prawdy, choć – przyznajmy – nawet przy najlepszych intencjach może ono prowadzić na manowce. Czymś innym jest jednak widoczna u Terlikowskiego potrzeba prowokowania uczestników i obserwatorów życia publicznego, żeby nieustannie zwracać na siebie uwagę. Można odnieść wrażenie, że wkładanie kija w mrowisko stało się receptą na funkcjonowanie tego publicysty w mediach.

Niemniej chcę Terlikowskiego bronić, lecz tym razem nie przed jego dawnymi kolegami z prawej strony polskiej debaty publicznej, którzy – moim zdaniem – bywają wobec niego niesprawiedliwi. Rzecz w tym, że ich uszczypliwości pod jego adresem stały się już zwyczajnie nudne. Tymczasem wypada zauważyć, że Terlikowski jest też wciąż atakowany z lewej flanki, i to w sposób okrutny.

Konkretnie chodzi o opinie, które na temat publicysty formułuje Jacek Dehnel. Ów człowiek był kiedyś rozpoznawalny głównie jako literat, czym sobie przetarł szlak na salony kultury, lecz z upływem czasu przykrył ten korzystny dla siebie wizerunek napastliwą aktywnością w Internecie. Z kolei w roku 2023 spróbował sił jako kandydat Nowej Lewicy w wyborach do Sejmu, ale się do niego nie dostał. Przede wszystkim jednak dziś Dehnel to zaangażowany w konflikty światopoglądowe internauta, który ze swojego życia intymnego, a konkretnie z deklarowanego publicznie homoseksualizmu, uczynił swój oręż polityczny. Przy czym to, co pisze na Facebooku, ktoś może odebrać jako świadectwo szczególnego rodzaju narcystycznego nabzdyczenia (oszczędzę szczegółów, wystarczy wejść na jego facebookowy profil, by się o tym przekonać). I nie warto byłoby się jego wpisami oraz komentarzami zajmować, gdyby nie to, że niedoszły (na szczęście!) poseł Nowej Lewicy zaatakował Tomasza Terlikowskiego – bądź co bądź ważną postać polskiego życia publicznego – gdy ten zamanifestował solidarność z takimi jak







ePrasa.pl 3238400100

on. A to już jest zjawisko, któremu warto się przyjrzeć, bo wykracza ono poza czyjeś dziwaczne idiosynkrazje.

WYPOMINANIE PRZESZŁOŚCI

O co konkretnie poszło? O wpis Terlikowskiego na Facebooku – jednoznacznie przyjazny wobec tzw. społeczności LGBTQ+. Ale może zacznijmy od początku.

Jakiś czas temu głośno było o rekolekcjach, które dla rodziców osób homo- i transseksualnych zorganizował karmelita o. Mateusz Filipowski (pisał na ten temat Piotr Semka w tekście „Kochaj i rób, co chcesz?" w „Do Rzeczy" nr 46/2025). W przestrzeni publicznej wywiązała się dyskusja dotycząca tego, jak duchowni Kościoła katolickiego mają pomagać wiernym, których dzieci odczuwają przynależność do mniejszości seksualnych.

Do inicjatywy o. Filipowskiego krytycznie odniósł się publicysta portalu PCh24 i „Do Rzeczy", Paweł Chmielewski. Na X i Facebooku zamieścił wpis, w którym oznajmił: „Ludzie o skłonnościach tęczowych mają w głowie kompletny mętlik. Świat mówi im, że ich skłonności są OK. Część duchownych też tak mówi". Chmielewski zarzucił o. Filipowskiemu bierną postawę wobec problemu – że karmelita zamiast uświadamiać uczestników rekolekcji w zakresie tego, jakie jest stanowisko Kościoła odnośnie do homoseksualizmu (stosunki homoseksualne są grzechem ciężkim), tylko im „towarzyszył".

Taka retoryka nie spodobała się Tomaszowi Terlikowskiemu. Postanowił więc na Facebooku dać jej odpór. W swoim wpisie stwierdził, że krytyczne uwagi różnych osób dotyczące rekolekcji o. Filipowskiego są niechrześcijańskie, bo zawierają pogardę i hejt wobec tzw. osób LGBTQ+. Dalej Terlikowski argumentował, że Pawła Chmielewskiego należy zapytać, „ilu ludzi o »tęczowych skłonnościach« poznał", bo spotkanie z nimi zmienia perspektywę. Wreszcie we wpisie nie zabrakło akcentów ekspiacyjnych – publicysta, niegdyś oskarżany o „fundamentalizm katolicki", oświadczył, że w przeszłości w jego myśleniu także były „stereotypy, ideologia, zbiór pobożnych komunałów", ale Pan Bóg wprowadził go na inną drogę, a na niej doświadczył spotkania z osobami, które wcześniej młotkował swoją perswazją.

Przedmiotem niniejszego tekstu nie jest jednak rozstrzyganie tego, który z publicystów ma w sporze o rekolekcje o. Filipowskiego rację, lecz co się działo potem. A zatem wpis Terlikowskiego spotkał się ze wzmiankowanym atakiem Dehnela. W swoim wpisie na Facebooku internauta nie zostawił na publicyście suchej nitki. Wypomniał mu przeszłość, dołączając do swojego wywodu screen okładki jednego z archiwalnych wydań „Do Rzeczy" (z roku 2016), na której widać odzianych w zbroje Terlikowskiego i Jana Pospieszalskiego, a pod nimi słowa: „Polska kontra homoimperium. Jak się obronimy przed terrorem »postępowców«". W samym wpisie Dehnela zaś czytamy, że Terlikowski „w wyniku przesunięć towarzysko-politycznych – zmienia model biznesowy z handlu nienawiścią na handel fajnokatolicyzmem (trochę ścieżka Hołowni)", bo przed wyborami parlamentarnymi roku 2023 „kosił kasę" w kierowanym przez sercanina ks. Michała Olszewskiego Radiu Profeto, po nich zaś „cwany gapa" ma już dwa programy w TVN. „Czasy się zmieniają, a pan redaktor zawsze na wizji" – wyzłośliwiał się Dehnel.

Czy zatem Terlikowski stoi w oczach niedoszłego posła Nowej Lewicy na straconej pozycji? Chyba nie, tyle że Dehnel postawił mu warunki, szydząc zarazem z jego wiary katolickiej. Kpiąco przypomniał pięć warunków dobrej spowiedzi w Kościele: rachunek sumienia, żal za grzechy (czyli chodzi o żal za „homofobię"), mocne postanowienie poprawy, otwarte wyznanie win, zadośćuczynienie.

NIEUGIĘTOŚĆ RADYKAŁÓW

Co zatem więcej miałby zrobić Terlikowski, niż zrobił dotąd? Czy Dehnelowi jeszcze mało? Cóż, kiedy nie wiadomo, o co chodzi, to wiadomo, że może chodzić o pieniądze. Czyżby Dehnel chciał, żeby Terlikowski zadośćuczynił krzywdom – według internauty – wyrządzonym tzw. społeczności LGBTQ+, regularnie wpłacając datki na stowarzyszenie Kampania przeciw Homofobii czy jakiś inny tego typu podmiot? Niedoszły poseł Nowej Lewicy sporo miejsca w swoim wpisie poświęcił niegodziwej mamonie, stąd takie spekulacje są uprawnione. Ale już je zostawmy.

Nie da się ukryć, że Terlikowski wykonał olbrzymi trud, żeby zostać zaakceptowany w środowiskach, które kiedyś zwalczał. Swoim zaskakującym potępianiem własnych dawnych konserwatywnych poglądów stał się dla progresistów bardzo cennym nabytkiem. Mogą oni bowiem za jego sprawą komunikować wszem wobec: patrzcie, nawet taki „katotalib" jak Terlikowski ostatecznie rację przyznaje nam. Tyle że tacy radykałowie, jak Dehnel i jego internetowi kibole, pozostają wobec wolty publicysty nieugięci. Dostają piłkę, którą mogą kopnąć do bramki przeciwnika, a zamiast tego strzelają gola samobójczego. Tak to już jest, gdy fanatyzm ideologiczny idzie w parze z niepokojąco specyficznymi cechami osobowości.

Tomasz Terlikowski wykonał olbrzymi trud, żeby zostać zaakceptowany w środowiskach, które kiedyś zwalczał. Swoim zaskakującym potępianiem własnych dawnych konserwatywnych poglądów stał się dla progresistów bardzo cennym nabytkiem. Nie dla wszystkich

Tyle że opisana sytuacja ma też drugie dno. Zachowanie Dehnela ujawnia podziały wśród progresistów. Jedni wobec światopoglądowych konwertytów są nastawieni koncyliacyjnie, inni – konfrontacyjnie. To właśnie dlatego warto zwrócić uwagę na to, jak Dehnel zaatakował Terlikowskiego.

Okazuje się bowiem, że część progresistów patrzy na liberalny umiar, staroświeckie pojmowanie tolerancji, otwartość wobec oponentów jak na „dziaderskie" anachroniczne frajerstwo. Ludzi tych rozsadza wokeistowska pasja rewolucyjna. A gdy jeszcze kieruje nimi chorobliwy resentyment wobec „homofobów", to skruchę dawnego konserwatysty przyjmują jako objaw słabości, który trzeba wyzyskać bezwzględnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



FOT. ADOBE STOCK

Bóg i wolny rynek

Paweł Chmielewski

Czy katolik musi być za wolnym rynkiem? Wydawałoby się, że nie, ale – jak uczą wielcy ludzie Kościoła – trudno przecież negować porządek wynikający z prawa naturalnego

Nakładem wydawnictwa WEI ukazała się niedawno praca „Bóg i wolny rynek. Religie a ekonomia" pod redakcją Benedikta Koehlera, wieloletniego badacza relacji zachodzących na styku wiary i systemu gospodarczego. Przedmowę do książki napisał znany misjonarz, werbista ks. Jacek Gniadek, jeden z głównych polskich popularyzatorów wolnorynkowej austriackiej szkoły ekonomii. Rzecz wyszła w bardzo dobrym momencie. Kampania wyborcza przed wyborami do Sejmu i Senatu w 2027 r. może na nowo zdefiniować kierunki ideowe polskiej prawicy. Z jednej strony, z inicjatywy prezydenta Karola Nawrockiego, rozpoczyna się dyskusja nad możliwym kształtem przyszłej konstytucji.

Z drugiej strony, na scenie umacniają się dwa ugrupowania, które otwarcie odwołują się zarówno do Boga i chrześcijaństwa, jak i do wolnego rynku – to Konfederacja oraz Konfederacja Korony Polskiej. Z racji wyrazistości poglądów ekonomicznych Sławomira Mentzena i jego Nowej Nadziei tematyka ta będzie na pewno istotnym punktem debaty w starciu ze zdecydowanie bardziej solidarystyczną wizją relacji gospodarczych, które prezentuje wciąż główna siła na prawicy, Prawo i Sprawiedliwość. Stąd wszystkie książki, które mogą wpłynąć na bardziej precyzyjne określenie poglądów i pomóc wypracować konkretne strategie polityki gospodarczej, należy uznać za cenne.

„Bóg i wolny rynek" to głos o tyle ciekawy, że przedstawia bynajmniej nie tylko katolicką czy nawet ogólnochrześcijańską perspektywę, ale rzeczywiście – „religijną". Autorzy artykułów składających się na tom piszą o podejściu gospodarczym wypracowanym również na gruncie islamu czy judaizmu; odwołują się nawet do starożytnych religii, w tym bliskowschodnich. Mogłoby się wydawać, że to mało interesujące dla polskiego czytelnika; jest jednak inaczej. Fakt, że zarówno w żydowskiej, muzułmańskiej, jak i pogańskiej refleksji ekonomicznej pojawiły się – niekiedy bardzo wyraziste – koncepcje wolnorynkowe, jest bardzo istotnym wzmocnieniem tezy o godziwości takiego modelu gospodarczego. Ludzie wszystkich kultur używają rozumu, by odkrywać nadane światu przez Stwórcę prawo naturalne i podług niego kształtować swoje państwa i społeczeństwa. Wydaje się, że tak jest właśnie w tym wypadku: monoteistyczny, a nawet po prostu teistyczny konsensus ekonomiczny wspiera ideę wolnego rynku, nawet jeżeli konkretne rozwiązania mogą bardzo różnić się w szczegółach.

Książka „Bóg i wolny rynek" nie pomija zresztą katolicyzmu, wprost przeciwnie. Szczególnie istotny jest z tej perspektywy artykuł ks. Martina Rhonheimera poświęcony krytyce pojęcia sprawiedliwości społecznej, którą sformułował klasyk austriackiej szkoły ekonomii, Friedrich August von Hayek. Benedikt Koehler opisał z kolei rozwój idei wolnorynkowych od późnej starożytności chrześcijańskiej aż do średniowiecza. Czytelnik jego artykułu musi przy tym pamiętać, że nie ma do czynienia z teologicznie ortodoksyjną optyką katolicką – niektóre wypowiedzi Koehlera są wyraźnie nacechowane filozofią relatywizmu religijnego i uproszczonym oświeceniowym racjonalizmem w podejściu do Pisma Świętego; te błędy, dość zresztą jasne i oczywiste, nie rzutują jednak negatywnie na istotę tekstu, odnoszącą się przecież do ekonomii.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI A KAPITALIZM

Kościół katolicki zawsze poświęcał baczną uwagę życiu gospodarczemu – można powiedzieć, że czynił to już

eprasa.pl 323840c100

sam Pan Jezus. Niejedna z przypowieści ewangelicznych odnosi się do stosunków ekonomicznych panujących w ówczesnym Izraelu. Są tacy, którzy próbują przypisywać Chrystusowi ideały socjalistyczne albo zgoła komunizm, odwołując się zwłaszcza do postawy rezygnacji z gromadzenia dóbr doczesnych. Zdecydowana większość autorów katolickich widzi jednak w nauczaniu Pana Jezusa coś zupełnie przeciwnego: głęboką afirmację wolności człowieka, który ma prawo bogacić się i rozporządzać swoim majątkiem w zgodzie z porządkiem moralnym i własną wolą. W cywilizacji chrześcijańskiej znalazło to swój szczególnie doniosły wyraz u późnych scholastyków skupionych wokół słynnego Uniwersytetu w Salamance, a piszących głównie w XVI stuleciu. W praktyce katolicyzm wspierał gospodarkę wolnorynkową już znacznie wcześniej. Kilkanaście lat temu ukazała się w Polsce książka Jamesa D. Murraya pt. „Brugia. Kolebka kapitalizmu", która opisuje bardzo zaawansowany system ekonomiczny kształtujący się w tym ważnym ośrodku handlowym od końca XIII i przez prawie cały XIV w. Scholastycy z Salamanki budowali zresztą na myśli św. Tomasza, zmarłego przecież w 1274 r. Można powiedzieć, że historia katolicyzmu jest historią wolnego rynku – od Chrystusa aż do dziś, niezależnie od tego, co mówiliby na ten temat zafascynowani marksizmem teologowie XX stulecia.

Nie oznacza to, oczywiście, że naukę Kościoła katolickiego można łatwo pogodzić z każdym ujęciem kapitalizmu. Święty Tomasz z Akwinu wskazywał na to, że własność nie jest wartością absolutną – to oznacza, że nie jest celem samym w sobie. Bóg pozwala człowiekowi gromadzić i pomnażać majątek po to, by mógł go używać dla dobra wspólnego. System kapitalistyczny, który budowałby na radykalnym indywidualizmie, lekceważąc czy zgoła negując wagę dobra wspólnego, byłby z perspektywy katolickiej niegodziwy – w inny sposób niż socjalizm czy komunizm, niemniej jednak nadal niegodziwy. Właściwą drogę pomiędzy skrajnościami starał się w XIX stuleciu pokazać papież Leon XIII, uznawany za właściwego twórcę tej gałęzi myśli kościelnej, która nazywa się Katolicką Nauką Społeczną (KNS). Leon odrzucał kolektywistyczne myślenie socjalizmu, w którym jednostka traktowana jest przedmiotowo, zredukowana do instrumentu osiągania jakichś materialistycznych celów społecznych. Równie ostro krytykował taki kapitalizm, który dla zysku jednego człowieka czy wąskiej grupy gotów jest naruszać przyrodzone prawa innych ludzi, nierzadko wprost depcząc ich godność. Papież Pecci opisał właściwą katolicką drogę w słynnej encyklice „Rerum novarum" z 1891 r. Kluczowym nauczycielem myślenia o gospodarce jest w jego ujęciu właśnie św. Tomasz z Akwinu, obrońca własności prywatnej używanej dla dobra wszystkich.

Namysł nad katolicką nauką społeczną podejmowali później wszyscy kolejni papieże, ze szczególnym uwzględnieniem św. Jana Pawła II i jego encykliki „Centesimus annus" wydanej w 1991 r. Karol Wojtyła z jednej strony był bliski wrażliwości na życie robotnicze i solidaryzmowi społecznemu, który rozwijał się w Polsce lat 80. Z drugiej strony bardzo silnie akcentował zasadę wolności gospodarczej, do tego stopnia, że niekiedy ściśle łączy się go z wizją ekonomiczną Ronalda Reagana, prezydenta USA w latach 1981–1989. Związana z tą szkołą myślenia neoliberalna reforma Balcerowicza pozwoliła Polakom wzbogacić się w ciągu kilku dekad, ale wielu badaczy mówi o jej bardzo negatywnych długofalowych skutkach społecznych, choćby w postaci fatalnie niskiej dzietności; tu zabrakło pewnie wyważenia, które bliskie było rdzeniowej KNS. Papież Franciszek z kolei nie podważał w swoich wielkich tekstach społecznych zasady wolnego rynku; kładł jednak akcenty zupełnie inaczej, tak silnie podkreślając konieczność troski o ubogich i ochronę środowiska, że nierzadko ściągał na siebie oskarżenia o swego rodzaju skrzywienie socjalistyczne czy marksistowskie, zapośredniczone przez popularną w Ameryce Południowej teologię wyzwolenia. Nawet jeżeli wnikliwy i życzliwy czytelnik jego dokumentów – „Laudato si'" czy „Fratelli tutti" – nie mógłby z pełną odpowiedzialność oskarżyć Jorge Maria Bergoglia o socjalizm sensu stricto, wydaje się, że w jego tekstach i nauczaniu zabrakło dobitniejszego podkreślenia prawomocności wolnego rynku – rozpoznawanego nie tylko przez Kościół katolicki, lecz także, jak pokazuje książka „Bóg i wolny rynek", po prostu przez rozum naturalny, obecny również w niechrześcijańskich tradycjach religijnych.

W CZASIE PRZEMIAN

Leon XIV staje wobec trudnego dziedzictwa. Przyjmując imię autora „Rerum novarum", niejako zobowiązał się do zaprezentowania całemu światu współczesnej dojrzałej katolickiej refleksji ekonomicznej. Na razie opublikował jeden dokument dotykający tych tematów, adhortację „Dilexi te" o miłości wobec ubogich. Rozpoczęta jeszcze przez Franciszka zawiera też elementy charakterystyczne dla narracji teologii wyzwolenia, jak choćby zdecydowaną propozycję walki ze „strukturami grzechu", które miałyby być obecne w dzisiejszym systemie kapitalistycznym. Być może Leon XIV w swoim pierwszym prawdziwie własnym dokumencie inaczej rozłoży akcenty.

Żyjemy w czasach poważnych zawirowań dotykających globalnego handlu – i rosnącej, a wciąż nie do końca rozpoznanej roli wielkich koncernów technologicznych i sztucznej inteligencji. Dopiero zobaczymy, na ile i czy w ogóle wielka encyklika społeczna Roberta Prevosta, której prawdopodobnie doczekamy się całkiem niedługo, pomoże ukształtować debatę polskiej prawicy.

Na pewno może to we właściwym zakresie zrobić omawiana książka „Bóg i wolny rynek". Choćby w tym sensie, by przekonać polskiego wierzącego czytelnika, że gospodarka wolnorynkowa nie jest bynajmniej jakąś fanaberią wielkich kapitalistów XIX stulecia czy neoliberałów z USA – jest także istotnym elementem świata ludzkiej wolności. Jeżeli ujęta w karby myślenia w kategoriach dobra wspólnego, to nie jest tylko jedną z „opcji" dostępnych chrześcijaninowi działającemu w społeczeństwie i polityce, lecz także czymś więcej – prawidłem natury ludzkiej, którą stworzył Pan Bóg.



RED. BENEDIKT KOEHLER „BÓG I WOLNY RYNEK. RELIGIE A EKONOMIA" WYDAWNICTWO WEI 2025

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 323840c100



Jan i Maria Maliszowie FOT. DOMENA PUBLICZNA

Miłość, nędza i morderstwo



Łukasz Czarnecki

4 listopada upłynęły dokładnie 92 lata od egzekucji Jana Malisza. Mężczyzna zawisł na szubienicy na podwórzu krakowskiego więzienia św. Michała jesienią roku 1933. O ile początkowo upatrywano w nim tylko mordercę, o tyle jego zachowanie na sali sądowej, gdzie manifestował szaloną miłość do żony – wspólniczki w zbrodni – zmieniło nieco nastawienie opinii publicznej do tego małżeństwa

W roku 1972 Grzegorz Królikiewicz wyreżyserował film fabularny „Na wylot". Za źródło scenariusza posłużyła historia Jana i Marii Maliszów. Znajdujemy w niej miłość, nędzę skrajną i upodlającą, napad rabunkowy na listonosza, trzy zmasakrowane trupy będące owocem owej napaści i kradzież wielkiej sumy pieniędzy. Badając te wydarzenia po ponad dziewięciu dekadach, trudno jednak nie odczuć niesmaku. Jan i Maria Maliszowie byli bowiem nie tylko zbrodniarzami, lecz także ofiarami – ludzkiej bezwzględności, brutalnych realiów ekonomicznych i wynikającej z ubóstwa niemożności zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych. Jak w trakcie procesu stwierdzili odpytywani przez sędziego biegli psychiatrzy, tym, co pchnęło małżonków na drogę zbrodni, była „beznadziejna walka o chleb"…

UCZUCIE W RYNSZTOKU

W historii zejścia małżeństwa Maliszów na złą drogę skupiają się jak w soczewce wszystkie patologie okresu międzywojennego. Budzi ona też szczególny niepokój, stanowi bowiem dowód na to, że w odpowiednio (nie)sprzyjających warunkach właściwie każdy może zamienić się w bandytę. Jan ewidentnie cierpiał, co prawda, na pewne zaburzenia osobowości, ale jego małżonka była kobietą cichą, spokojną, ciepłą. Cechowały ich pracowitość i gotowość do podjęcia jakiegokolwiek uczciwego zajęcia. Jak zatem doszło do tego, że tych dwoje zupełnie przeciętnych ludzi zrabowało sumę 18 tys. zł, zamordowało urzędnika państwowego, dwoje 80-latków i ciężko poraniło córkę staruszków?

Liczący sobie w chwili, gdy zawisł na stryczku, 25 wiosen Jan Malisz na świat przyszedł w rodzinie galicyjskiego fotografa. Gdy był małym dzieckiem, wraz z rodzicami wyjechał do Belgradu. Po pierwszej wojnie światowej wrócił z nimi do Polski, gdzie w Krakowie jego ojciec otworzył salon fotograficzny. Firma niestety zbankrutowała, a niedługo potem, gdy Malisz senior zmarł, pozostałym po nim wdowie i synowi w oczy zajrzała bieda. Nasz (anty) bohater zmuszony był przerwać naukę. Przy tej okazji po raz pierwszy ujawniła się jego niespokojna natura mająca ostatecznie doprowadzić go na szubienicę. W roku 1923 wziął udział w zamieszkach robotniczych, w trakcie których nauczył się

eprasa.pl 323840c100



strzelać z rewolweru. Broń palna stała się jego wielką pasją. Zapewne z tego powodu bardzo się ucieszył, gdy przyszło mu odbyć obowiązkową służbę wojskową. Jeden z oficerów, pod których komendą służył, sporządził wówczas notatkę, w której napisał, że młody człowiek jest koleżeński i ambitny, ale ma temperament histeryka.

W cywilu Jan podjął się pracy w charakterze retuszera w jednym z krakowskich zakładów fotograficznych. Pracował ciężko, ale nie da się ukryć, że jego zachowanie odstępowało wyraźnie od normy. Co jakiś czas ogarniały go napady dzikiego szału, kiedy zamykał się w ciemni i raz za razem oddawał strzały w ścianę z rewolweru. Potrafił być naprawdę niebezpieczny dla otoczenia. Pewnego razu, pokłóciwszy się z praktykantem, narzucił mu na szyję sznur i powiesił go pod sufitem! Szczęśliwie koledzy z pracy w porę odcięli pechowca. Niedługo potem wszyscy w zakładzie odetchnęli, gdy właściciel interesu oskarżył naszego (anty)bohatera o kradzież jednego z aparatów fotograficznych i go zwolnił. Przy okazji tego pierwszego konfliktu z prawem Jan trafił na komisariat, gdzie go przesłuchano i pobrano odeń próbki pisma.

Dalsza kariera zawodowa Malisza pozostaje niejasna. Wiadomo, że był fordanserem, a już w trakcie jego procesu gazety prześcigały się w opisywaniu przestępstw, których rzekomo miał się dopuszczać, czyniąc z niego w oczach opinii publicznej zawołanego bandytę. Czego w owej wyliczance nie było! Uwiedzenia, oszustwa, wyłudzenia, a nawet sutenerstwo. Wszystko zaś to zrodzone w bujnej wyobraźni redaktorów brukowców, bo smutna prawda była taka, że Jan nie tyle żył, ile wegetował w takiej nędzy, że częstokroć nie stać go było nawet na jedzenie (zachowane zdjęcia z jego procesu przedstawiają człowieka skrajnie wychudzonego). Intensywne poszukiwania pracy nie przynosiły żadnych rezultatów. Trwał właśnie wielki kryzys i takich jak on bezrobotnych były dziesiątki tysięcy. Malisz znalazł jednak coś innego niż posadę – miłość.

Wybranka jego serca, Maria Węgrzynówna, była nieszczęsną istotą skrzywdzoną przez życie. Jej ojciec nadużywał alkoholu, a gdy już sobie wypił, to lubił porządnie przyłożyć żonie lub córce. Jako 10-latka była wykorzystywana seksualnie przez sublokatora, który wynajmował pokój od jej rodziców, o czym ci ostatni… doskonale wiedzieli i na co nie reagowali! Co gorsza, wkrótce do grona gwałcących dziewczynkę dołączył kuzyn matki. Trauma ta w przyszłości miała się jeszcze pogłębić, gdy Węgrzynówna, już jako dorosła kobieta, szukała pracy w Izbie Skarbowej. Okazało się, że tym, od kogo zależy decyzja o jej ewentualnym zatrudnieniu, jest zajmujący tu poważne stanowisko wujaszek zboczeniec! Ten za pomoc zażądał, by została jego niewolnicą seksualną. Wkrótce później przeżyła też pierwszą miłość, która zakończyła się ciążą i rychłym ślubem Niestety, związek skończył się rozwodem, a jakby tego wszystkiego było mało, wkrótce umarła córeczka młodej kobiety. Ona zaś straciła pracę, a wyrodni rodzice nie ustawali w nieustannym jej biciu i lżeniu.

Między dwojgiem młodych nędzarzy wybuchło uczucie. Parafrazując Władysława Reymonta, oboje mieli nic, więc gdy się ich stan posiadania zsumowało, mieli już coś. Dziewczyna wynosiła z domu obiady i dzieliła się nimi z ukochanym, on ze zdwojoną energią poszukiwał pracy. W pewnym momencie pojechał nawet na Śląsk do Mikołowa, znalazłszy w prasie ogłoszenie, wedle którego właściciel tamtejszego salonu fotograficznego szukał wspólnika. Niestety, sprawa, w której Malisz pokładał wielkie nadzieje, okazała się oszustwem, śląski fotograf zaprzągł młodzieńca do pracy przy robieniu fotografii komunijnych, a gdy sezon pierwszych komunii się skończył… zerwał współpracę, nie płacąc biedakowi ani grosza!

Rozprawa miała przebieg, którego najstarsi adwokaci nie pamiętali. Oboje oskarżeni w swoich zeznaniach brali całą winę na siebie, choć z odmiennych pobudek

Malisza przed całkowitym załamaniem ratowała już tylko miłość. Późną wiosną 1933 r. młodzi wzięli ślub, jednak ich sytuacja finansowa stawała się coraz bardziej rozpaczliwa.

SKOK, KTÓRY POSZEDŁ NIE TAK

Małżeństwo przeniosło się do Bronowic, gdzie wynajęło lokal niedaleko torów kolejowych. Z okien mieszkania mieli wątpliwą przyjemność oglądać kolejnych samobójców rzucających się pod koła pociągów. Wielki kryzys szalał i coraz więcej desperatów, nie widząc innego wyjścia, decydowało się ostatecznie wycofać z rynku pracy oraz życia jako takiego.

Myśl o samobójstwie przyszła do głowy również naszym (anty)bohaterom. Zaczęli już nawet planować, jakim sposobem wspólnie odebrać sobie życie, gdy zdarzyło się coś, co wybiło im z głowy ów makabryczny projekt.

Jednym z popularniejszych brukowców II Rzeczypospolitej był „Tajny Detektyw", magazyn opisujący szczegółowo najbardziej szokujące zbrodnie. Na jego łamach Jan przeczytał o napadzie rabunkowym na listonosza w Toruniu. Mężczyzna postanowił, że w najbliższy pierwszy roboczy dzień miesiąca, który wypadał 2 października 1933 r., również napadnie na listonosza. Wybór daty był nieprzypadkowy, właśnie tego dnia pracownicy poczty roznosili najwięcej przekazów pieniężnych.

Malisz podzielił się swoim planem z żoną, a ta przystała na jego realizację.

eprasa.pl 323840c100



Świadek zbrodni małżeństwa Maliszów, Eugenia Süskind, udaje się na rozprawę
FOT. NAC

Małżonkowie na szybko dopracowywali szczegóły, bo czas uciekał. W pierwotnych założeniach akcja miała mieć bezkrwawy przebieg. Spiskowcy planowali wynająć w którejś z krakowskich kamienic pokój z osobnym wyjściem na klatkę schodową, a następnie na ten adres nadać mały przekaz pieniężny. Po przybyciu listonosza na miejsce zasadzki Jan miał go obezwładnić, zarzuciwszy mu na głowę worek, porwać torbę z pieniędzmi i dać nogę.

Malisz, obiegłszy znajomych, zapożyczył się na kwotę 100 zł. Następnie rozpoczął poszukiwania pokoju do wynajęcia. Lokal, na który w końcu się zdecydował, znajdował się w kamienicy przy ulicy Pańskiej 11 i należał do rodziny 80-letniego emerytowanego kupca drzewnego Michała Süskinda, jego żony Heleny i dobiegającej pięćdziesiątki córki Eugenii. Czemu domorosły złodziej wybrał akurat to mieszkanie, trudno powiedzieć, bo pokój zaoferowany przez właścicieli nie miał osobnego wyjścia, a jakby tego było mało, Süskindowie okazali się ludźmi niewyobrażalnie nieprzyjemnymi.

Jan umówił się z panem Michałem na wynajem pokoju, w którym zamieszkać miała jego przyjaciółka malarka Salomea Sielecka (pod tym pseudonimem w akcji uczestniczyła Maria). Zapłacił gospodarzom zadatek w wysokości 15 zł, a resztę obiecał uiścić w poniedziałek 2 października, gdyż wtedy, wedle jego słów, listonosz miał przynieść dla niego przekaz pieniężny. Malisz nie kłamał, osobiście nadał na podgórskiej poczcie na nazwisko fikcyjnej artystki i adres Süskindów 10 zł.

Feralnego dnia 2 października wszystko poszło jednak nie tak, plan genialnego skoku wziął w łeb, polała się krew i padły trupy. Maliszowie zjawili się w mieszkaniu przy Pańskiej o godz. 7, by zastawić zasadzkę w podnajętym pokoju, ale gospodarze odmówili wpuszczenia ich do pomieszczenia dopóty, dopóki nie dostaną pieniędzy. Musieli więc czekać na listonosza w kuchni, a gdy ten przybył, okazało się, że tego dnia starego i słabowitego posłańca, który zwykle obsługiwał tę okolicę, zastąpił krzepki młodzieniec Walenty Przebinda. Ponadto stary Süskind zażądał, aby Maliszowie przekaz pieniężny odebrali na jego oczach i z góry zapłacili mu za wynajem pokoju.

Jak pamiętamy, przełożony z wojska twierdził, że Jan miał temperament histeryka. Chwilę po godz. 8 2 października niestabilność emocjonalna naszego anty(bohatera) eksplodowała. Wytrącony z równowagi, że wszystko idzie nie tak, jak sobie zaplanował, Malisz, dobywszy rewolweru, wpakował kulę w głowę listonosza, kładąc go trupem na miejscu. Następnie ruszył do ataku na przerażonego starca, którego również zastrzelił. Potem rzucił się na obie panie Süskind. W broni skończyły się naboje, więc Jan, złapawszy za lufę, okładał kobiety kolbą niczym maczugą, podczas gdy jego żona pomagała mu w morderczym dziele, dusząc ofiary kołdrą. Pani Helena została zatłuczona na śmierć, a Eugenia ledwo uszła z życiem, bo gdy pod nawałą ciosów straciła przytomność, Maliszowie uznali ją za martwą i zbiegli z mieszkania.

KOMU PRAWO ŁASKI

Masakrę odkrył zaalarmowany strzałami sąsiad. Wieść o krwawej zbrodni obiegła Kraków, a przed kamienicą przy Pańskiej 11 zebrał się taki tłum gapiów, że policja musiała otoczyć ją kordonem. Szczególne wzburzenie budził fakt zamordowania pełniącego służbę urzędnika państwowego. Listonosz cieszył się wówczas większą estymą niż dzisiaj. Pogrzeb nieszczęsnego Przebindy ściągnął tysiące uczestników.

Śledztwo posuwało się błyskawicznie. Maliszowie byli takimi amatorami, że nawet nie próbowali zatrzeć za sobą śladów. Zamiast do Wisły Jan wrzucił opróżnioną torbę swej ofiary do dołu kloacznego przy boisku piłkarskim… razem ze swoim płaszczem. Przedmioty te wyłowił i zaniósł stróżom prawa lokalny dozorca. Policja znalazła też na miejscu zbrodni zgubione przez mordercę naboje, na których podstawie zidentyfikowała użytą przez niego broń oraz podpisany przezeń dokument przekazu pieniężnego. Co prawda, widniały na nim fałszywe imię i nazwisko, ale te udało się szybko ustalić, gdy niejaki Wojciech Bąk, trudniący się lichwą właściciel kiosku, rozpoznał charakterystyczne wgniecenia na płaszczach porzuconych pocisków jako identyczne ze śladami noszonymi przez amunicję, którą wraz z rewolwerem zastawił u niego przed kilkoma miesiącami Jan Malisz. Notabene na winę naszego (anty)bohatera wskazywał też fakt, że 22 września odebrał swój zastaw. Z archiwum sprowadzono próbki pisma Jana i porównano je z podpisem – wszystko się zgadzało! Malisza na zdjęciu rozpoznali też urzędnicy poczty na Podgórzu, a niewiedząca nic o zbrodniczych planach syna stara pani Maliszowa potwierdziła,

eprasa.pl 323840c100

że znaleziony w dole kloacznym płaszcz należał do Jana.

W tych okolicznościach nie powinno nas zatem dziwić, że małżeństwo morderców schwytano po zaledwie 10 dniach. Co prawda, Maliszowie zbiegli do Katowic, ale nie przestrzegali żadnych środków ostrożności, szastając zdobytymi pieniędzmi z takim rozmachem, że wzbudzało to powszechną uwagę. W pewnym momencie spiskowcy się rozdzielili. Podczas gdy Jan został na Śląsku, Maria wyjechała do Rabki. W efekcie męża policja zgarnęła w katowickim kabarecie, a żonę w uzdrowisku.

Proces Maliszów rozpoczął się 31 października i toczył w trybie doraźnym przed krakowskim sądem. Oznaczało to, że zamierzano go przeprowadzić błyskawicznie, a prawo do apelacji nie przysługiwało oskarżonym.

Rozprawa miała przebieg, którego najstarsi adwokaci nie pamiętali. Oboje oskarżeni w swoich zeznaniach brali całą winę na siebie, choć z odmiennych pobudek. Jan chciał ocalić żonę przed stryczkiem, ona zaś paradoksalnie pragnęła iść z nim na szafot. Kobieta posuwała się w swej determinacji do absurdalnych kłamstw, wmawiając sędziom np., że to ona strzelała do ofiar i biła je kolbą pistoletu. Obrońca nieustannie prosił swą klientkę o opamiętanie, jednak ona raz po raz zmieniała wersję zdarzeń, za każdym razem biorąc jeszcze więcej winy na siebie.

Zachowanie Maliszów na sali sądowej poruszyło opinię publiczną. Jan zwracał się do żony „Maleńka". Małżonkowie kilkakrotnie padali sobie w objęcia i obsypywali pocałunkami, nie bacząc na miejsce, w którym przebywali. Czułość, którą okazywali sobie mordercy, kruszyła gniew w sercach obserwatorów. Sąd pozostał jednak nieubłagany i skazał ich na powieszenie. Wyrok miał zostać wykonany w nocy 4 listopada.

Gdy Maliszowie oczekiwali na egzekucję, obrońcy bez ich wiedzy wystąpili do prezydenta Ignacego Mościckiego o okazanie łaski i zamianę kary śmierci na dożywotnie więzienie. Ich zabiegi przyniosły skutek tylko w przypadku Marii – o tym, że darowano jej życie, dowiedziała się od strażników więziennych, gdy chwilę po egzekucji Jana ci przyszli do celi kobiety z informacją o śmierci męża. Na wieść o tym, że przed chwilą zgasło jedyne światło jej życia, Maliszowa opętana rozpaczą wpadła w histeryczny amok i unieruchamiać musiało ją kilku krzepkich mężczyzn.

Nieszczęśliwa kobieta siedziała w zamknięciu do wybuchu drugiej wojny światowej. Gdy we wrześniu 1939 r. ogłoszona została amnestia, Maria wyszła na wolność i wróciła do rodzinnego domu. Tam poniewierana przez brutalnych rodziców, trawiona powoli gruźlicą, zmarła w roku 1946.

Zbrodnia Maliszów i ich późniejszy proces przyniosły zaskakujący efekt. Gdy Jan zeznał, że inspirację dla jego planów stanowił artykuł z „Tajnego Detektywa", na wydawcę czasopisma, już wcześniej oskarżanego o szerzenie demoralizacji, posypały się gromy. Niespełna rok po tym, jak Malisz zawisł na szubienicy, jeden z najpopularniejszych brukowców II Rzeczypospolitej przestał się ukazywać. Jak widać, w tamtych czasach znano jeszcze pojęcie „społecznej odpowiedzialności mediów".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 323840c100



KOMUCHOŻERCA

Co nam wolno

LESZEK ŻEBROWSKI

Od lat podejmowane są próby tłumienia wolnych badań naukowych. I nie tylko badań. Robią to różne środowiska, a chodzi im o to, aby pomijać zagadnienia ważne, choć czasami niekorzystne – lub za takie uznawane przez zainteresowanych. Jest to szersze zagadnienie, polegające na arbitralnym określeniu, co jeszcze nam wolno, a co już nie. Przykładem mogą być moje perypetie z Aliną Grabowską, ongiś wieloletnią dziennikarką Radia Wolna Europa (od 1968 r.). Oburzyło ją to, że w swej książce „Paszkwil Wyborczej" (1995) nazwałem ją dziennikarką prasy komunistycznej. Stanowczo temu zaprzeczała i postraszyła mnie procesami sądowymi, proponując swoistą „ugodę". Otóż przygotowała obszerny elaborat, jakoby dowodzący, że naruszyłem jakieś jej dobra, i domagała się, abym zamieścił – według jej wzoru – sążniste przeprosiny z wykazem gazet i czasopism, gdzie to powinno się ukazać. Było tego tyle, że musiałbym iść z torbami! Jej adwokat, który spotkał się ze mną w celu przekazania jej stanowiska i oczekiwań, był srodze zawiedziony, że odmówiłem pokajania się, ale jednocześnie pokazałem mu niektóre tylko jej publikacje, w tym zamieszczane w centralnym organie partyjnym – „Trybunie Ludu", jak też w organie KW PZPR w Łodzi i w komunistycznej prasie młodzieżowej. Pomogło.

Jaki był finał tej sprawy? Alina Grabowska, skonfrontowana ze swymi własnymi publikacjami, wycofała się chyłkiem ze wszystkich roszczeń wobec mnie. Wniosek z tego jest taki, że należy zamieszczać informacje prawdziwe w swych publikacjach, a wszelkie oczekiwania takich „przeprosin" należy całkowicie odrzucać.

Z działalnością tej dziennikarki prasy komunistycznej wiąże się jeszcze jedna sprawa. Otóż według niej „od roku 1968… podawanie »w nawiasach« tzw. prawdziwych imion i nazwisk ma swoją bardzo złą tradycję". A cóż to za zła tradycja, pisać prawdę? Gdyby się temu podporządkować, nasza wiedza musiałaby zostać znacznie okrojona. A uznała ona, że „w większości krajów demokratycznych obowiązuje prawny ZAKAZ publikowanie gdziekolwiek (także oczywiście w biogramach) pierwotnych imion i nazwisk, które zostały z jakichkolwiek powodów zmienione". Nie, nie ma (jeszcze) w demokratycznych krajach jakiegokolwiek zakazu w tym zakresie. Byłby to bowiem całkowity absurd! Wyobraźmy sobie, że jest zakaz przypominania, że Lenin nazywał się Uljanow, a Stalin – Dżugaszwili. A co zrobilibyśmy z nazwiskami kobiet, które wyszły za mąż i zgodnie z tradycją przyjmują nazwiska mężów?

Jest to przykład stadnego myślenia – przyjmowania narzuconych schematów. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Finanse Moniuszków

SŁAWOMIR KOPER

Przeprowadzka kompozytora i jego bliskich z Wilna do Warszawy oznaczała konieczność spłaty zobowiązań finansowych zaciągniętych nad Wilią. Liczba długów była znaczna, tym bardziej że o części należności zdążono już zapomnieć, a wierzyciele zaczęli się pojawiać dopiero na wiadomość o wyjeździe rodziny z miasta. Sprawy ciągnęły się w nieskończoność, wreszcie zirytowany Moniuszko pozostawił pewną sumę jednemu z przyjaciół, prosząc go, by regulował na bieżąco wszystkie należności, jakie się jeszcze pojawią.

Podróż z dobytkiem z Wilna trwała sześć dni, miasto nie miało jeszcze połączenia kolejowego z Warszawą i pozostawał wyłącznie transport konny. Rodzina dotarła do stolicy w pierwszych dniach listopada 1859 r. Na Krakowskie Przedmieście sprowadzily się: kompozytor z żoną i dziećmi, teściowa, jedna z ciotek i piastunka.

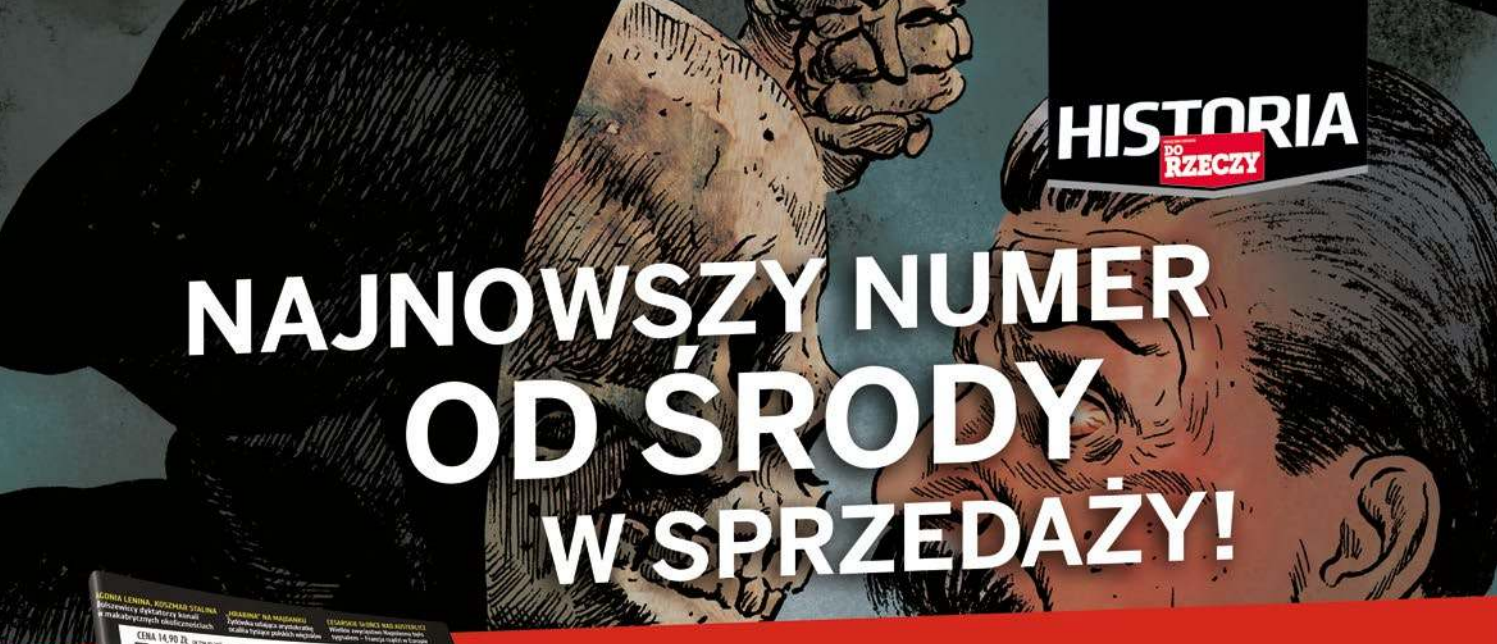
Wprawdzie Moniuszko z zadowoleniem przeniósł się do Warszawy, ale na swój sposób tęsknił za Wilnem, szczególnie w chwilach, gdy miał dosyć stołecznych intryg. Usiłował też sprowadzić resztę dobytku znad Wilii, co jednak nie było łatwą sprawą. Oddane na przechowanie obrazy gdzieś zaginęły, fortepian został zniszczony, a prałat zarządzający kościołem Świętych Janów nie chciał zwrócić powierzonych lichtarzy. Zarzucał nawet Moniuszce, że ten „chce kościół ogołocić"…

Początki w Warszawie były trudne, co potwierdzają listy Moniuszki z prośbami o pożyczki. Kierował je głównie do wydawnictwa Gebethner i Wolff, założonego 24 listopada 1857 r. i uchodzącego za bardzo stabilne finansowo. W ciągu pierwszego roku w Warszawie Moniuszko prosił wydawców o pieniądze co najmniej pięciokrotnie, najczęściej były to sumy rzędu 15 rubli (375 euro). Podobna sytuacja miała miejsce w kolejnym roku, czasami muzyk prosił o pożyczkę dwa razy w miesiącu – inna sprawa, że otrzymane pieniądze często traktował jak zaliczki przed publikacją drukiem swoich utworów u Gebthnera i Wolfa.

Przy okazji tej korespondencji można ustalić stawki za wydanie pojedynczych pieśni. Nie były to oszałamiające kwoty, Moniuszko za jeden utwór inkasował z reguły 15 rubli. Czasami też zdarzało się, że spłacał długi nowymi utworami, ewentualnie prosił o pieniądze z góry, obiecując, że „rękopis przyśle pojutrze".

Być może właśnie sytuacja finansowa rodziny spowodowała, że Moniuszkowie nie utrzymywali szerszych kontaktów towarzyskich w Warszawie. Żyli w rodzinnym gronie. Mimo że kompozytor potrafił się zaprzyjaźnić z niektórymi nowymi znajomymi, to jednak nigdy wraz z żoną nie prowadzili salonu podobnego do tego w Wilnie. ©℗

eprasa.pl 323840c100



NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



MAKABRYCZNY KONIEC TYRANÓW

Jęki w Gorkach – Pan życia i śmierci milionów mieszkańców czerwonego imperium odchodził z tego świata w potwornych okolicznościach. Lenin stawał się więźniem własnego ciała, a jego najbliżsi współpracownicy krążyli nad nim jak sępy

Carski tron we krwi – Gdy austriacki kanclerz Klemens von Metternich wspominał śmierć cara Pawła I, zawsze dodawał z przekąsem, że Rosjanie mogliby wreszcie znaleźć inną przyczynę zgonów swoich władców niż apopleksja

Najpotężniejsza w Europie – Eleonora Akwitańska była królową Francji i Anglii, dziedziczką Akwitanii, najbogatszą kobietą wieków średnich

Miliony ministra Czechowicza – Józef Piłsudski wziął na siebie odpowiedzialność za wydatki nieprzewidziane w budżecie. Wiedział, że opozycja nie ośmieli się postawić go przed Trybunałem Stanu

Słońce Austerlitz – ze względu na propagandę, która towarzyszyła zwycięstwu nad siłami rosyjsko-austriackimi, i polityczne znaczenie wygranej, Austerlitz postrzegane jest jako moment, kiedy „słońce cesarza" zaświeciło najjaśniej

Brzemię Wojciecha Żukrowskiego – „Dobry pisarz, ale czasem coś obrzydliwego potrafi napisać" – oceniał go Stefan Kisielewski

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 323840c100

Halalizacja francuskiej



Agnieszka Golańska-Bault

Nangis, małe 10-tysięczne miasteczko wśród pól, 70 km od Paryża, przez lata słynęło z wiejskiego spokoju, gościnności, lokalnych serów. Polityka intensywnego rozwoju mieszkalnictwa socjalnego, uprawiana przez lewicę, całkowicie zmieniła strukturę demograficzną miejscowości. Miasteczko stało się przykładem „modelowej islamizacji", której przejawem jest przemoc



Modły muzułmańskie na stadionie w Metz FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Jakiś czas temu w Noisy-le-Sec w letnim kinie plenerowym miał się odbyć seans filmu „Barbie". 8 sierpnia br. mer tej podparyskiej miejscowości poinformował mieszkańców, że impreza została odwołana pod wpływem gróźb skierowanych pod adresem miejskich urzędników przez niejaką „małą osiedlową grupę". Uznała ona bowiem film za niemoralny, nieodpowiedni dla ich dzieci, „szkodliwy dla integralności kobiet" oraz promujący wątki LGBT. Niebudząca wątpliwości islamska tożsamość szantażystów, choć przez pewien czas skrzętnie przemilczana przez główne media, została rychło potwierdzona przez samego ministra spraw wewnętrznych Brunona Retailleau, który nazywał rzeczy wprost: „Presja ze strony przemocowej mniejszości, która chce »zhalalizować« przestrzeń publiczną, jest nie do przyjęcia – podobnie jak nie do przyjęcia jest jakikolwiek krok wstecz wobec takich żądań określonej wspólnoty". „Jesteśmy we Francji, a we Francji nie ma policji obyczajowej ani straży moralności" – grzmiał polityk. To z pozoru błahe wydarzenie wywołało we Francji kolejną falę dyskusji na temat integracji wspólnot muzułmańskich. Niewiele ma ona wspólnego z przyjmowaniem lub co najmniej szanowaniem norm i zwyczajów nowego kraju – jest po prostu stopniową islamizacją życia codziennego wszystkich Francuzów.

Wbrew buńczucznym deklaracjom o „obronie wartości Republiki Francuskiej" (cokolwiek to znaczy), francuskich wolności i stylu życia w sytuacji konfliktu z systemem wartości islamu francuscy politycy, urzędnicy czy nawet prywatni przedsiębiorcy dają systematycznie wyraz swojej, często motywowanej strachem uległości. I tak nie dalej jak na początku lipca br. dyrekcja kina w Saint-Ouen anulowała, cztery dni przed projekcją, pokaz filmu dokumentalnego „Bóg może obronić się sam" („Dieu peut se défendre tout seul"), opowiadającego o procesie sądowym w sprawie zamachów na dziennikarzy „Charlie Hebdo". Organizatorzy wydarzenia, ruch Printemps républicain (Republikańska wiosna), broniący laickości republiki przed agresywnym politycznym islamem, zostali poinformowani, że projekcja ta naruszyłaby regulamin kina, zakazujący organizacji imprez o charakterze politycznym. Wyjaśnienie okazało się podszyte fałszem, gdyż zaledwie kilka dni wcześniej wyświetlono w tym samym miejscu skrajnie ideologiczny film „Révolté.e.s" (sam tytuł filmu napisany jest ortografią „inkluzywną", typową dla radykalnej lewicy), promujący używanie przemocy w walce o tzw. cele klimatyczne. Tego rodzaju autocenzura nie jest zresztą we Francji niczym nowym – już w 2015 r., tuż po wspomnianym zamachu na „Charlie Hebdo", kina w całej straumatyzowanej krwawymi wydarzeniami Francji zdjęły ze swoich repertuarów piękny film „Apostoł" („L'Apôtre"), opowiadający historię nawrócenia na katolicyzm młodego muzułmanina, motywując tę decyzję obawami o gwałtowną reakcję islamskiej społeczności.

BURKI I DŻELABY

Problemy koegzystencji coraz liczniejszej mniejszości muzułmańskiej (szacuje się, że muzułmanie stanowią dziś ok. 10 proc. populacji Francji i odpo-

eprasa.pl 323840c100



codzienności

wiadają co roku za blisko jedną czwartą nowych urodzeń – z tendencją wzrostową) z tzw. rdzennymi Francuzami dawno jednak wykraczają poza incydentalne konflikty kulturowe i tożsamościowe – mają dziś charakter systemowy. Każdy, kto bywa we Francji regularnie, widzi, jak zmienił się etniczny krajobraz francuskich miast i miasteczek. Dziś nawet tradycyjnie białe, katolickie i burżuazyjne dzielnice, jak np. Wersal pod Paryżem, wyglądają egzotycznie i kolorowo, a ich place zabaw pełne są bawiących się pod czujnym okiem ubranych w burki matek arabskich dzieci. Niektóre osiedla i miejscowości od dziesięcioleci zasiedlane przez systematycznie napływającą imigrację stają się afrykańskimi enklawami na francuskiej ziemi.

Do jednego z takich miejsc udał się trzy lata temu francusko-tunezyjski aktor i publicysta portalu i miesięcznika „Causeur" Yannis Ezziadi, by porozmawiać o codzienności z rdzennymi mieszkańcami miasta. Zarówno zawartość artykułu „Moja pierwsza burka", jak i reakcje, które wywołał, pokazują, jak trudno jest mówić we Francji o oczywistej dla wszystkich islamizacji społeczeństwa francuskiego. Nangis, małe 10-tysięczne miasteczko wśród pól, 70 km od Paryża, przez lata słynęło z wiejskiego spokoju, gościnności, lokalnych serów, świetnej gastronomii i tradycyjnej francuskiej atmosfery. Polityka intensywnego rozwoju mieszkalnictwa socjalnego prowadzona przez dziesięciolecia przez rządzącą miasteczkiem lewicę, której beneficjentem są przede wszystkim muzułmańscy imigranci, doprowadziła do całkowitej zmiany struktury demograficznej miejscowości. Ulice miasteczka zaludniły kobiety w burkach i mężczyźni w islamskich dżelabach. W tradycyjne muzułmańskie stroje ubierane są tu nierzadko także małe dziewczynki (muszą je zdejmować przed wejściem do szkoły). Co jednak najbardziej szokujące, niektóre kobiety pojawiają się publicznie w nikabie, stroju całkowicie zasłaniającym twarz. Jest to niezgodne z francuskim prawem, ale – jak mówią mieszkańcy miasta – na incydenty te nikt nie ma odwagi zareagować. Tradycyjne francuskie sklepy, butiki z modą, restauracje i cukiernie stopniowo znikają. Ich miejsce zajmują lokale halal, kebaby i fast foody. Na trzy sklepy mięsne dwa sprzedają już wyłącznie mięso z uboju rytualnego. Nie jest to zresztą wyłącznie problem Nangis i podobnych miasteczek. Mimo że ubój rytualny zwierząt (bez ich wcześniejszego ogłuszenia) jest we Francji dopuszczony tylko na zasadzie wyjątku, dziś stał się wielkim biznesem i normą, choć normą na granicy prawa. Szacuje się, że podczas gdy zapotrzebowanie na mięso halal odpowiada mniej więcej za 10 proc. całkowitego uboju zwierząt, tak naprawdę niemal 50 proc. uboju bydła i niemal 90 proc. uboju owiec odbywa się w sposób rytualny. Nieoznakowane mięso trafia do lokalnych sklepów i supermarketów, a Francuzi jedzą dziś halal, nie wiedząc o tym. Rodzi to uzasadnione pytania o bierność władz, które nie reagują na ewidentne nadużycia, o finansowanie przez wszystkich Francuzów biznesu i powiązanego z nim kultu, obcego ich rdzennej kulturze, a także o moralny aspekt sposobu pozyskiwania mięsa w krytykowanej przez obrońców zwierząt, niehumanitarnej (i często niehigienicznej) praktyce uboju rytualnego.

BASENY POLIGONEM WALKI

Powróćmy jednak do naszego miasteczka „modelowej islamizacji". Oto wiele kawiarni w centrum zostało „przejętych" przez społeczność maghrebską i arabskim zwyczajem przesiadują w nich sami mężczyźni. Kobiety nie mają do nich wstępu, nie wchodzą do nich również biali, gdyż po prostu czują się w nich nieswojo lub boją się, że mogą zostać pobici. Wieczorem na ulicach miasteczka widać niemal wyłącznie brodatych mężczyzn w tradycyjnych szatach, wychodzących z meczetu i udających się razem do lokalnych barów. Ależ tak! To małe miasto ma już swój meczet i centrum kultury, w którym można studiować Koran, uczyć się języka arabskiego, odkrywać tradycje i zwyczaje arabskie. Banałem będzie stwierdzenie, że wśród mieszkańców Nangis rośnie poczucie zagrożenia przemocą, zwłaszcza w kontekście wydarzeń z kwietnia 2022 r., gdy po wypadku 14-latka uciekającego

eprasa.pl 323840c100

na motorze przed policją doszło do gwałtownych ataków na komisariat policji i ratusz oraz wielodniowych rozruchów w mieście. Niektóre dzielnice, opanowane przez handlarzy narkotyków i problematyczną, arabską młodzież, są miejscami szczególnie nieprzyjaznymi dla młodych kobiet, zwłaszcza po zmroku. Narzucane przez islam „normy" modowe również nie pozostają bez wpływu na sposób, w jaki ubierają się młode Francuzki, które w wielu okolicznościach celowo starają się wyglądać nieatrakcyjnie, wręcz chłopięco, aby nie przyciągać uwagi mężczyzn. Zdarza się, że zbyt „seksowny" strój, krótka spódniczka, większy dekolt czy po prostu rozpuszczone włosy wywołują także gniew oraz agresję słowną i fizyczną muzułmańskich, tradycyjnie ubranych kobiet. Poligonem walki o zachowanie dawnego stylu życia stają się też baseny – do debaty publicznej regularnie wraca temat oddzielenia sesji pływackich dla kobiet i mężczyzn czy dopuszczania zakrywającego całe ciało stroju kąpielowego dla kobiet – tzw. burkini. Choć co do zasady jest on zakazany, to nieustannie podejmowane są próby jego usankcjonowania, a to jest prawdopodobnie tylko kwestią czasu.

Dla „starych" mieszkańców, którzy pamiętają Nangis z lat 70., jest to „miasto utracone". „Nie rozpoznaję już mojego miasta. Nigdy nie pomyślałabym, że zmieni się ono tak szybko […]. Dotychczas nie padłam ofiarą agresji, ale mam poczucie dyskomfortu. Mam poczucie, że coś nam się narzuca […]" – mówi jedna z mieszkanek. „I proszę nam nie mówić, że jesteśmy rasistami. Wcale nie! To nie ma nic do rzeczy […]. Problemem jest to, że niektórzy chcieliby żyć jak u siebie w kraju, zachowują się w sposób, który nie jest nasz […], są to rzeczy nie do pogodzenia, które nas szokują" – dodaje inny rozmówca.

IMIGRANTOM NIE STAWIA SIĘ ŻADNYCH GRANIC

Wielu zmęczonych duszną atmosferą miasta chciałoby wyprowadzić się w miejsca bardziej przypominające Francję ich młodości, jednak okazuje się, że ich domy, mieszkania są tu niewiele warte, gdyż nikt nie marzy już o zamieszkaniu w niegdyś uroczym Nangis. Szczególnie zaś ciekawy jest komentarz mężczyzny pochodzenia północnoafrykańskiego, który mieszka w Nangis od ponad 50 lat, dokąd przybył w ramach procedury łączenia rodzin. Wspomina, że wówczas ani kobiety, ani mężczyźni nie nosili publicznie tradycyjnych muzułmańskich strojów i bardzo nie podoba mu się ta dzisiejsza manifestacja odmienności. Ubolewa nad narastaniem napięć między żyjącymi obok siebie społecznościami, których nie doświadczał przez większą część swojego życia we Francji, nad rosnącą przestępczością, która jest wynikiem wychowawczych zaniedbań w imigranckich rodzinach. Zrezygnowani tzw. rdzenni mieszkańcy miasta wiedzą, że sprawy zaszły za daleko. Być może dzięki bardziej sprawnej polityce uda się ograniczyć dalszą kolonizację miasta przez kolejne grupy imigrantów i okiełznać przestępczość, ale zmiana kulturowa już się dokonała i jest zbyt głęboka, by ją odwrócić. Imigranci przybywający do Francji chcą żyć według swoich zwyczajów, co przecież można zrozumieć. Problem polega jednak na tym, że na poziomie polityki nie stawia się tej tendencji żadnych granic. Autor przywołanego artykułu, który bez żadnych rasistowskich podtekstów opisał cierpienie rdzennych Francuzów i zasymilowanych imigrantów, został tymczasem publicznie zaatakowany przez polityków frakcji rządzącej. Jego reportaż, opisujący „oczywistą oczywistość" doświadczaną we Francji na każdym kroku, uznano za nierzetelny tylko dlatego, że bazuje na indywidualnych odczuciach i świadectwach mieszkańców, rzekomo wpisujących się w teorię spiskową o „wielkiej wymianie ludności", a nie na twardych i rzetelnych (sic!) danych liczbowych czy przekrojowych badaniach naukowych. Zabawna argumentacja, gdyż statystyki etniczne nie są nigdy oficjalnie we Francji publikowane ani nawet zbierane, a wręcz zakazuje tego prawo. Jednak przejawów nieodwracalnych kulturowych przemian jest znacznie więcej niż te opisane powyżej, by wspomnieć choćby tylko o smutnym zjawisku wzrostu nastrojów antysemickich, których paliwem jest tradycyjny antysemityzm muzułmański. Ich skutkiem był wielki exodus Żydów w roku 2015, gdy do samego Izraela wyjechało ponad 8 tys. osób pochodzenia żydowskiego, a trzecia największa diaspora Żydów na świecie po Izraelu i USA, licząca do niedawna ok. 600 tys. osób zamieszkujących Francję od pokoleń, topnieje z roku na rok: w 2024 r. zarejestrowano ok. 4 tys. trwałych wyjazdów do Izraela. Niemal wszystkie żydowskie dzieci uczą się w szkołach prywatnych, często katolickich, ich koegzystencja z muzułmanami w szkołach publicznych okazuje się bowiem niemożliwa.

We Francji niemal wszystkie żydowskie dzieci uczą się w szkołach prywatnych, często katolickich, ich koegzystencja z muzułmanami w szkołach publicznych okazuje się bowiem niemożliwa

Gdy w maju br. wraz z moją rodziną udaliśmy się do podparyskiego Argenteuil, aby zobaczyć jedną z najcenniejszych relikwii chrześcijaństwa, tunikę Chrystusa przechowywaną w miejscowej bazylice od czasów Karola Wielkiego i okazywaną wiernym raz na kilkadziesiąt lat, poczuliśmy się również nieswojo. Idąc z dworca w stronę kościoła, miałam wrażenie, że znalazłam się nagle w mieście północnoafrykańskim – rzadko bowiem mijaliśmy kogoś o europejskiej aparycji. Ulice położone bliżej bazyliki, przygotowane na główne święto związane z wystawieniem tuniki, obstawione na długim odcinku metalowymi barierami strzeżone były przez dziesiątki uzbrojonych po zęby policjantów i wojskowych, którzy nie spuszczali z oka nielicznych jeszcze pielgrzymów i samego placu przed kościołem. Jeden z nich, zapytany przez nas, co się dzieje, odpowiedział, że po prostu czuwają nad naszym bezpieczeństwem, abyśmy bez zakłóceń mogli się modlić i przeżywać religijne uroczystości. Przyznam, że ta z troską wypowiedziana deklaracja nie bardzo nas uspokoiła. Nie przywykliśmy w Polsce do uzbrojonych w broń automatyczną, ubranych niczym żółwie Ninja mundurowych, patrolujących ulice, kościoły czy pielgrzymki. Signum temporis. Bazylika w Argenteuil z jej bezcenną relikwią wydaje się dzisiaj specjalnie chronioną katolicką wysepką w centrum nowego, muzułmańskiego świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100

REPUBLIKA

Pierwszy poranny wywiad Republiki
z czołowymi postaciami polskiej sceny politycznej
o bieżących wydarzeniach z kraju i ze świata.

Zadaj pytanie do gościa na X
#PIERWSZAROZMOWADNIA

ANDRZEJ GAJCY

#PIERWSZA ROZMOWA DNIA



PONIEDZIAŁEK - PIĄTEK

6:50

w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ
DOM WOLNEGO
SŁOWA

eprasa.pl 323840c100



Zaledwie kilkanaście kilometrów od Kiszyniowa znajduje się narodowy skarb Mołdawii: podziemne królestwo wina – Cricova. To znany na całym świecie gigantyczny labirynt tuneli oraz piwnic pełnych drogocennych butelek FOT. JAP

Ukryty skarb Europy



Jacek Przybylski z Kiszyniowa

Podziemny system tuneli w miejscowości Cricova, w których od dekad leżakowane są cenne wina, ma ponad 120 km długości. Swoje najcenniejsze butelki przechowywali tutaj Władimir Putin, Angela Merkel czy Donald Tusk

W postkomunistycznej Mołdawii – maleńkim, najbiedniejszym kraju w Europie wciśniętym niczym naleśnik pomiędzy Rumunię a Ukrainę i odwiedzanym wciąż przez najmniejszą liczbę turystów – można podziwiać piękną przyrodę, dobrze i tanio zjeść, a także skosztować znakomitego wina.

Mołdawianie bogatą tradycję winiarską pielęgnują od wieków. Na terenie dzisiejszej Mołdawii winogrona uprawiane były od co najmniej VI w. p.n.e. Gdy zaś w tej części Europy nadeszły czasy chrześcijaństwa, wytwórstwem wina zajęli się głównie zakonnicy. Od XIV w. do inwazji Ottomanów mołdawskie wina były jednym z hitów mołdawskiego eksportu. I chociaż islamska okupacja wiele plantacji winorośli doprowadziła do upadku, to w XX w. doszło do odrodzenia mołdawskich winiarni. Niezbyt wysokie wzgórza, dobrej jakości gleby, dobrze nasłonecznione równiny oraz umiarkowany klimat basenu Morza Czarnego nadal sprzyjają uprawie winogron. Mołdawia może się więc dziś chwalić nie tylko dużą produkcją (to szósty co do wielkości producent wina w Europie), lecz także tym, że ma największe na świecie zagęszczenie winnic.

RAJSKI LABIRYNT

Najwięcej winnic w kraju działa w regionie Codru, który obejmuje obszar wokół mołdawskiej stolicy. I to właśnie zaledwie kilkanaście kilometrów od Kiszyniowa znajduje się narodowy skarb Mołdawii: podziemne królestwo wina – Cricova. To znany na całym świecie gigantyczny labirynt tuneli, piwnic i sal degustacyjnych. To tu na głębokości 80 metrów pod ziemią, pod nadzorem specjalistów, wytwarzane i przechowywane są cenne butelki napoju bogów. Aby wino mogło dojrzewać w idealnych warunkach w piwnicach przez cały rok, panuje tam stała temperatura (waha się od 12 do 14 st. C) i wilgotność (97–98 proc.). Wina leżakowane w takim miejscu starzeją się w sposób, który czyni trunek łagodniejszym w smaku i bardziej odpornym na zmętnienie.

W podziemnym mieście, które Polakom najłatwiej byłoby sobie wyobrazić, kojarząc je np. z ogromnymi komorami w kopalni soli w Wieliczce, są tradycyjne drogi, skrzyżowania, znaki drogowe, przejścia dla pieszych, a nawet zatoczki parkingowe dla samochodów terenowych przewożących wina, a także dla

eprasa.pl 323840c100

pojazdów, którymi podróżują turyści z różnych regionów świata. Jak na winne miasto przystało, ulice mają tu nazwy pochodzące od szczepów winorośli, np. Aligoté, Chardonnay, Merlot, Pinot Noir czy Sauvignon.

Zgodnie z legendą w okolicznych jaskiniach wino już dawno, dawno temu wytwarzał samotny mnich, który musiał przenieść tu swą produkcję po najeździe wrogów. Oficjalna historia podziemnego winnego miasta liczy jednak nieco ponad siedem dekad. Wcześniej w tym miejscu działała kopalnia wapienia, który służył do rozbudowy zarówno niewielkiej pobliskiej wsi, jak i mołdawskiej stolicy. To właśnie w wyniku eksploatacji kopalni powstały wielokilometrowe tunele. Już w drugiej połowie lat 40. XX w. lokalni wytwórcy wina zaczęli eksperymentować, przekształcając puste przestrzenie w piwniczki do przechowywania butelek. Wcześniej bowiem butelki w dużej mierze – z powodu braku odpowiedniej infrastruktury – przechowywano na zewnątrz w warunkach dalekich od idealnych. Eksperyment – zgodnie z przewidywaniami specjalistów – przyniósł świetne rezultaty. W 1951 r. Rada Ministrów Mołdawskiej SRS podjęła więc decyzję o przeznaczeniu kopalń wapienia na potrzeby państwowego przemysłu winiarskiego. Winiarnia Cricova została założona w 1952 r. na mocy dekretu podpisanego przez sowieckiego dyktatora Józefa Stalina.

W gigantycznych beczkach o pojemności 7 tys. litrów każda znajduje się ok. 40 mln litrów wina. Zwiedzanie labiryntu podziemnych tuneli trwa obecnie zazwyczaj godzinę, półtorej. W zależności od ceny pakietu obejmuje również degustację określonej liczby win. W każdym przypadku przewodnik zabiera grupę do miejsca, gdzie można z bliska zobaczyć, jak wygląda proces wytwarzania, korkowania i kontroli jakości wina.

W wydrążonych pod ziemią komorach znajdują się m.in. kaplica, kino i Muzeum Historii Wina. Są też sale degustacyjne, w których hucznie świętowali m.in. Jurij Gagarin i Władimir Putin

Cricova znana jest z tego, że – podobnie jak w winnicach w Szampanii – wino fermentuje tu po raz drugi w butelkach, które w pozycji horyzontalnej przechowywane są przez co najmniej trzy lata, a często i pięć. Można tam spotkać pracowników, którzy nadal ręcznie – butelka po butelce – obracają ogromne zapasy ułożonych w specjalnych stojakach butelek.

W wydrążonych pod ziemią komorach znajdują się także kaplica, kino i Muzeum Historii Wina. Same degustacje odbywają się zaś w jednej z niezwykłych sal, różniących się wielkością (od kameralnych na kilka, kilkanaście osób do gigantycznej Sali Prezydenckiej ze stołami na kilkadziesiąt osób) i wystrojem (jest np. sala morska, której wystrój przypomina, że na terenach dzisiejszej Mołdawii rozciągało się niegdyś Morze Sarmackie). W największej z nich wystawne przyjęcia urządzały w ostatnich dekadach postaci z pierwszych stron gazet. Swoje 50. urodziny obchodził w Sali Prezydenckiej m.in. Władimir Putin. W sali zwanej dziś Europejską imprezował zaś Jurij Gagarin, który według legendy po degustacjach licznych trunków przez dwa dni błąkał się po podziemnych korytarzach.

WINA TUSKA

Od 1954 r. na terenie podziemnego miasta zaczęto też przechowywać kolekcje najlepszych i najdroższych win. Butelek przybywało w takim tempie, że w latach 70. ubiegłego stulecia konieczne było stworzenie modułowych betonowych konstrukcji, które umożliwiają łatwy podział na poszczególne sekcje, a przy okazji są niezwykle atrakcyjne wizualnie.

Podczas zwiedzania można zobaczyć tę ogromną kolekcję win z całego świata. Wielkość całej kolekcji szacowana jest zaś na 1,3 mln butelek. Najstarsza z nich to izraelskie wino paschalne z 1902 r. Są też butelki z prywatnej kolekcji Hermanna Göringa (przejętej po wojnie przez Armię Czerwoną). Swoje najcenniejsze butelki przechowywali tu przez ostatnie dekady także tacy politycy jak Angela Merkel, Borys Jelcyn, José Manuel Barroso, Herman van Rompuy, John Kerry, Petro Poroszenko czy Alaksandr Łukaszenka. Już kilka lat temu dziennikarze „Super Expressu" podali, że swe wina w mołdawskich korytarzach przechowuje również Donald Tusk. W podziemnym mieście leżakują również wina z kolekcji ludzi kultury, a także biznesmenów z całego świata (w tym nowobogackich Chińczyków), którzy butelki traktują jako lokatę kapitału.

I chociaż Cricova robi na zwiedzających ogromne wrażenie, to nie jest jeszcze największą na świecie tego

REKLAMA



eprasa.pl 323840c100



Jedna z sal degustacyjnych – sala morska. Jej wystrój przypomina, że na terenach dzisiejszej Mołdawii rozciągało się niegdyś Morze Sarmackie FOT. JAP

typu „piwniczką". Ten tytuł należy do położonej 18 km od Kiszyniowa mołdawskiej winnicy Mileştii Mici. To również była niegdyś kopalnia wapienia. W tym przypadku długość podziemnych tuneli wynosi ok. 240 km. Miejsca jest zaś tu tyle, że można by przechowywać nawet 65 mln litrów wina. Dużą część tego podziemnego miasta zajmują oczywiście butelki z cennym trunkiem. A dokładniej: ok. 2 mln takich butelek. Tak wielka kolekcja sprawiła, że Mileştii Mici została w 2005 r. wpisana do Księgi rekordów Guinnessa jako największa piwnica z winami na świecie pod względem liczby przechowywanych butelek.

Częściej odwiedzana przez turystów jest jednak Cricova, która może się pochwalić ponad 100 tys. gości rocznie, a korytarze Mileştii Mici zwiedzane są przez ok. 50 tys. osób rocznie. Prawdziwi koneserzy mogą oczywiście zaplanować podróż do obu winnic. Mołdawianie z obu są bowiem dumni. I oficjalnie to podkreślają. W 2003 r. Parlament Republiki Mołdawii nadał Kompleksowi Winnic Cricova status narodowego dziedzictwa kulturowego, a dwa lata później ten sam status przyznał winnicy Mileştii Mici. Obie winnice podjęły również starania o wpis na listę światowego dziedzictwa UNESCO, podkreślając, że zasługują na to nie tylko ze względu na unikalne rozwiązanie architektoniczne i technologiczne, lecz także jako żywe świadectwo wielowiekowej tradycji winiarskiej.

Mołdawianie są dumni zarówno z niezwykłych winnic, jak i z samej narodowej tradycji wytwarzania boskiego trunku. Aby ją podkreślić, ustanowili nawet Narodowy Dzień Wina, który obchodzony jest co roku w pierwszy październikowy weekend i przyciąga dziesiątki tysięcy osób z różnych krajów świata. W roku przyszłym Narodowy Dzień Wina w Mołdawii przypada na 3–4 października. Miłośnicy sportu mogą zaś wziąć udział w imprezach biegowych, których trasy biegną m.in. w podziemnych korytarzach mołdawskich winnic.

ZASKAKUJĄCY EFEKT EMBARGA

Za czasów Związku Sowieckiego Mołdawia biła rekordy produkcji napoju Bachusa. Żadna inna z kilkunastu republik nie produkowała więcej wina. Co druga butelka wina w sklepach na terenie ZSRS pochodziła zaś z mołdawskich winnic (sama tylko Cricova miała zdolność produkcyjną określaną na 4 mln butelek rocznie). Sowiecka gospodarka centralnie planowana sprawiła niestety, że jakość boskiego trunku znacząco wówczas spadła: koncentrowano się bowiem głównie na ilości, a także – aby dopasować się do gustu masowego odbiorcy – słodkości.

Po upadku Związku Sowieckiego szefowie mołdawskich winnic musieli znaleźć nowy pomysł na swój produkt. Paradoksalnie najlepiej na mołdawskie wina wpłynęły jednak embarga ogłoszone na nie przez Rosję w latach 2006 i 2013. Odcięcie od potężnego rynku zbytu sprawiło, że mołdawscy producenci musieli ostro walczyć o zachodniego klienta. Efekt: w krótkim czasie udało im się znacząco poprawić jakość produkowanych win i zwiększyć różnorodność oferty.

Produkty Kombinatu Cricova od lat zdobywają nagrody na międzynarodowych targach wina. Produkuje się tu bowiem wina musujące metodą szampańską udoskonaloną przez słynnego mnicha Pierre'a Perignona. I to jest jedna z cech wyróżniających tę mołdawską winnicę. Niewielu producentów na świecie stosuje bowiem proces wytwarzania win znany jako Méthode Traditionnele. Wyrobiona marka sprawia zaś, że obecnie Cricova produkuje ok. 2 mln butelek klasycznego wina musującego rocznie. Oprócz tego ta mołdawska wytwórnia produkuje również wysokiej jakości wina niemusujące, wykorzystując zarówno znane na całym świecie szczepy, takie jak Cabernet, Merlot, Chardonnay, Pinot Noir, Pinot Gris czy Shiraz, jak i szczepy charakterystyczne dla Mołdawii i Rumunii, jak Feteasca Alba (ta odmiana winogron pozwala na produkcję białego wina cenionego przez sommelierów za lekkość i świeżość), Rara Neagră (zapewnia trunkowi świeżość, subtelność i owocową złożoność) czy Viorica (powstałe z niego aromatyczne białe wino ma jasnosłomkową barwę i charakterystyczne cytrusowe nuty).

W mołdawskich winnicach widać również proces adaptacji do zachodnich trendów. W tym do mody na ekologiczne rozwiązania. Cricova – podobnie jak jej konkurenci – zainwestowała więc m.in. w panele fotowoltaiczne i poprawę izolacji budynków, dzięki czemu udało się jej obniżyć koszty energii o mniej więcej jedną czwartą. Mołdawianie starają się też ograniczyć ślad węglowy poprzez zmniejszenie ciężaru butelek. Mołdawscy producenci dbają również o dobry wizerunek w oczach zachodnich nabywców. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę Cricova zdecydowała np. o ukryciu przed oczami zwiedzających podziemne miasto olbrzymiej – składającej się z ponad 600 butelek – kolekcji win Władimira Putina. Rosyjski przywódca otrzymał ją w prezencie od władz w Kiszyniowie w 2008 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



FOT. REDDIT.COM/R/PURDUE

WYMAZANY MASŁEM

Na kampusie Uniwersytetu Purdue w West Lafayette pojawił się mężczyzna, który w całości był pokryty jakąś jasnobrązową substancją. Początkowo wydawało się, że to masło orzechowe. Mężczyzna, przechadzając się, dotykał różnych przedmiotów, więc obawiano się, że kontakt z nimi może zaszkodzić osobom uczulonym na orzechy. Okazało się jednak, że mężczyzna był wymazany bezpiecznym masłem słonecznikowym. Motywy tego ekscentrycznego zachowania pozostają nieznane.

AWANTURA O TOALETĘ

W supermarkecie Publix w Miami doszło do awantury klientów o toaletę. Jeden z nich zaatakował drugiego, który akurat korzystał z WC. 72-letni napastnik walił w drzwi kabiny, a następnie człowiekowi, który wyszedł z toalety, zaczął grozić nożem i próbował go nim zranić. Tamten osłonił się plecakiem. 72-latek usłyszał zarzut napaści z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Twierdził, że „pilnie musiał skorzystać z toalety".

ŻYWY TOWAR W SAMOLOCIE

Na lotnisku w Tel Awiwie zatrzymano Izraelczyka, który przybył z Tajlandii. W jego bagażu znaleziono 186 egzotycznych zwierząt, w tym węże, żółwie, kraby, żaby, jaszczurki. Były one transportowane w fatalnych warunkach. Wartość żywego towaru oszacowano na dziesiątki tysięcy dolarów. Mężczyzna może usłyszeć zarzut znęcania się nad zwierzętami.

USTAWKI DLA ZYSKÓW

Niemiecki Związek Ochrony Zwierząt złożył zawiadomienie o przestępstwie w sprawie konta na Instagramie, które zamieszcza drastyczne filmy rzekomo ilustrujące brutalność natury. Zobaczyć można na nich walki małych zwierząt zamkniętych w terrariach lub przezroczystych pudełkach. Konto ma 1,2 mln obserwujących. Pojawiły się opinie, że sceny na filmach nie mają nic wspólnego z naturą, lecz są ustawkami dla czerpania zysków.

KRIONIKA I UCZUCIA

Pewien Chińczyk zamroził zwłoki zmarłej żony w ciekłym azocie z nadzieją, że być może w dalekiej przyszłości w wyniku postępu nauki uda się ciało kobiety przywrócić do życia. Był to pierwszy taki przypadek w Chinach, do zabiegu krionicznego doszło w roku 2017. Teraz wyszło na jaw, że od roku 2020 mężczyzna spotyka się z inną kobietą, co wywołało kontrowersje. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Raport KE: będziej drożej

Najpierw dobra wiadomość: według najnowszej prognozy Komisji Europejskiej Polska w najbliższych dwóch latach pozostanie liderem wzrostu gospodarczego w UE. Szacowany przez analityków w Brukseli wzrost PKB ma wynieść w 2026 r. aż 3,6 proc. Szybciej od nas ma się wówczas rozwijać jedynie Malta. W roku 2027 tempo wzrostu gospodarczego nad Wisłą ma spowolnić do 2,8 proc.

A złe wiadomości? Bruksela widzi Polskę wśród krajów o najwyższym deficycie budżetowym w Unii Europejskiej. Według najnowszych unijnych szacunków deficyt wyniesie 6,8 proc. w roku 2025, 6,3 proc. w 2026 r. i 6,1 proc. w 2027 r. Wysokość długu publicznego w relacji do PKB wzrośnie zaś z 59,5 proc. w 2025 r. do 64,9 proc. w 2026 r. i aż 69,2 proc. w 2027 r.

Już w 2027 r. pogorszyć się ma nie tylko stan polskich finansów publicznych, lecz także stan domowego budżetu przeciętnego Kowalskiego. Unijni analitycy jasno stwierdzają w ubiegłotygodniowej prognozie, że planowane wprowadzenie ETS2 – rozszerzonego systemu handlu uprawnieniami do emisji gazów cieplarnianych – mocno uderzy Polaków po kieszeni. Wzrost cen energii będzie miał zaś wpływ na ogólne tempo wzrostu cen. Według unijnych prognoz w przyszłym roku inflacja ma zostać ograniczona do 2,9 proc., ale w roku 2027 ma wzrosnąć do 3,7 proc.

Oficjalnie ma być więc biedniej (aby zmniejszyć deficyt, rząd podniesie podatki) i zimniej. I nie ogrzeje nas wówczas nawet myśl o ratowaniu planety. Gdy bowiem UE skazuje europejskie gospodarki na samobójczą śmierć, USA, Chiny, Indie etc. robią, co mogą, aby przemysł rozwijać. A unijne ekobzdury mają głęboko w kominach. ©℗

eprasa.pl 323840c100

Czy Chiny stać na walkę z Trumpem?



Maria Kądzielska-Koper

Kiedy w 2018 r. Donald Trump rzucił wyzwanie Pekinowi, rozpoczynając z nim wojnę handlową, nikt nie przypuszczał, że konflikt ten potrwa aż siedem lat. Dziś Chiny dysponują ogromnymi rezerwami finansowymi, niemniej szybko rosnące zadłużenie i słabnący eksport coraz mocniej uderzają w fundamenty ich sukcesu

Od czasu, gdy Donald Trump w 2018 r. rozpoczął wojnę handlową z Pekinem, nakładając cła na wart setki miliardów dolarów chiński import, relacje gospodarcze USA – Chiny pozostają napięte. Choć w 2020 r. zawarto porozumienie fazy pierwszej, to większość amerykańskich ceł nie została zniesiona. W 2025 r. konflikt handlowy znów przybiera na sile. Nowa administracja USA powraca do agresywnej retoryki taryfowej, a Pekin odpowiada własnymi środkami odwetowymi. Już w pierwszych miesiącach 2025 r. Stany Zjednoczone podniosły cła na chińskie towary do 20 proc., a Chiny w odwecie ogłosiły dodatkowe cła 10–15 proc. na wybrane produkty z USA. Co więcej, Pekin ograniczył eksport kluczowych metali (np. germanu i antymonu) niezbędnych dla amerykańskiego przemysłu high-tech. Ta eskalacja taryf i sankcji potwierdza, że wojna handlowa zapoczątkowana przez Trumpa trwa w najlepsze albo wręcz wkracza w nową fazę.

OD BOOMU DO SPOWOLNIENIA

Chińska gospodarka w momencie wybuchu wojny celnej była w szczytowej formie, choć już pojawiały się symptomy jej schłodzenia. W 2018 r. PKB Chin wzrosło o 6,6 proc., co stanowiło najniższy wskaźnik od niemal 30 lat. MFW ostrzegał wówczas, że rosnące zadłużenie i tarcia handlowe mogą zagrozić drugiej największej gospodarce świata. Mimo to Chiny wchodziły w konflikt z ogromnymi rezerwami finansowymi i rozpędem eksportowym. Dla porównania: rok 2023 zamknął się wzrostem ok. 5 proc., zgodnie z oficjalnym planem władz. To wynik przyzwoity, ale daleki od dynamiki sprzed lat. Co gorsza, strukturalne problemy narastają: chiński rynek nieruchomości przeżywa załamanie (sprzedaż nowych domów pod koniec 2024 r. była o 48 proc. niższa niż w 2021 r.). Jedną z przyczyn tego zjawiska są problemy demograficzne, które stają się dla chińskich władz prawdziwą tykającą bombą. W 2022 r. liczba ludności Chin skurczyła się o ok. 850 tys. To pierwszy spadek populacji od lat 60. XX w. Starzejące się społeczeństwo i kurcząca siła robocza zwiastują długofalowe spowolnienie potencjału rozwojowego.

eprasa.pl 323840c100


FOT. ADOBE STOCK

Chiny tracą tytuł „fabryki świata" na rzecz tańszych i bardziej przewidywalnych sąsiadów, takich jak Wietnam

Skutki wojny handlowej dodatkowo obciążają chiński model wzrostu. Eksport, dotąd motor napędowy dla Pekinu, wyraźnie hamuje. W pierwszych dwóch miesiącach 2025 r. wzrósł on zaledwie o 2,3 proc. (prognozowano 5 proc.), a import runął o 8,4 proc. rok do roku. Słabnie także popyt wewnętrzny. Pomimo pandemicznych bodźców Chińczycy wciąż oszczędzają, zamiast wydawać, a analitycy odnotowują, że wcześniejsze ożywienie konsumpcji częściowo się odwróciło. Wszystko to utrudnia Xi Jingpingowi realizację planu pobudzenia wzrostu gospodarczego. Dla porównania: w 2018 r. chiński eksport miał się znacznie lepiej, a firmy z Państwa Środka dynamicznie zdobywały rynki zagraniczne. Dziś, pod presją ceł i sankcji, handel zagraniczny zwalnia, a Chiny tracą tytuł „fabryki świata" na rzecz tańszych i bardziej przewidywalnych sąsiadów, takich jak Wietnam.

GŁĘBSZE KIESZENIE CZY ROSNĄCE DŁUGI?

Pekin od lat gromadził pokaźny arsenał finansowy na czarną godzinę. Rezerwy walutowe Chin wciąż przekraczają 3,2 bln dolarów amerykańskich – to największy taki zasób na świecie. Ta „poduszka" pozwala bankowi centralnemu bronić kursu juana i stabilizować rynki w obliczu nacisku ze strony USA. Co istotne, Chiny stopniowo dywersyfikują rezerwy – udział dolara amerykańskiego spadł w nich (według szacunków) z ok. 59 proc. w 2016 r. do 25 proc. w 2023 r. Innymi słowy, Pekin ma środki, by przetrwać finansową burzę wywołaną przez Trumpa, a nawet wpływać na rynki w obronie własnych interesów.

Jednocześnie kondycja finansowa Chin uległa erozji od czasu rozpoczęcia wojny celnej. Kosztowne działania stymulacyjne i spowolnienie wzrostu spowodowały eksplozję zadłużenia. Całkowity dług (publiczny i prywatny) Chin sięga już ponad 300 proc. PKB. Dla porównania: pięć lat wcześniej było to o blisko 50 punktów procentowych mniej. Innymi słowy, Pekin musiał zaciągać coraz większe kredyty, by podtrzymać rozwój. W 2024 r. na wygenerowanie jednej jednostki PKB potrzeba było ponad pięciu jednostek nowego finansowania, czyli dwukrotnie więcej długu niż przed pandemią. Władze centralne luzują więc politykę monetarną: stopy procentowe w Chinach są na rekordowo niskim poziomie (roczna stopa LPR to 3,1 proc.), a Ludowy Bank Chin sygnalizuje gotowość dalszych obniżek i podniesienia płynności, jeśli recesyjne tendencje się nasilą. Z kolei wydatki rządowe rosną szybciej niż wpływy. Oficjalny deficyt budżetowy w 2025 r. osiągnął 4 proc. PKB, najwięcej od 2010 r., przy czym niezależne szacunki (np. Fitch) wskazują, że faktyczny deficyt sektora publicznego jest znacznie większy. Rząd ChRL uruchomił też specjalne obligacje za 1,3 bln juanów (ok. 179 mld dol.) na inwestycje i dokapitalizowanie gospodarki. To oznacza, że Chiny w walce gospodarczej korzystają ze swojej kasy państwowej coraz odważniej, ale równocześnie szybko ją uszczuplają poprzez wzrost długów.

CHIŃSKA STRATEGIA OBRONNA

Jednym z fundamentów chińskiej odpowiedzi na presję z Waszyngtonu jest agresywna polityka przemysłowa. Pekin nie szczędzi pieniędzy na wsparcie rodzimych czempionów technologicznych i eksportowych. Państwowe banki i fundusze inwestują miliardy w kluczowe sektory: od mikroprocesorów, przez sztuczną inteligencję, do pojazdów elektrycznych. W sektorze EV od lat funkcjonuje sieć dopłat i zachęt, które umożliwiły wysyp konkurencyjnych firm (BYD, Nio, Xpeng). Dziś chińskie samochody elektryczne zalewają rynki Azji i Europy, budząc kontrowersje. Partnerzy handlowi Chin twierdzą, że to efekt nieuczciwych subsydiów, dających przewagę cenową. Unia Europejska nałożyła już tymczasowe cła antysubsydyjne na chińskie auta w wysokości 17–38 proc., a USA rozważają podobne kroki. Sam Trump w swoim poprzednim „uderzeniu" celował przecież nie tylko w tradycyjny przemysł, lecz także w plan „Made in China 2025", w którego ramach Chiny subsydiują high-tech. Pekin odpiera zarzuty, wskazując na jakość i naturalne przewagi konkurencyjne swoich firm, lecz faktem jest, że chiński boom technologiczny został hojnie opłacony z budżetu państwa. Mimo to dla Chin jest to inwestycja strategiczna: dzięki niej takie firmy jak Huawei czy BYD są w stanie przetrwać i rozwijać się pomimo sankcji.

Właśnie sankcje technologiczne stały się drugą, obok ceł, bronią Zachodu w tej wojnie. Donald Trump już w 2019 r. wpisał Huawei na czarną listę, odcinając go od amerykańskich komponentów i oprogramowania, co uderzyło w sprzedaż smartfonów tej firmy w USA i Europie. Później poszerzono restrykcje na półprzewodniki. Z inicjatywy USA ograniczono Chinom dostęp do

eprasa.pl 323840c100

najnowocześniejszych chipów AI i maszyn do ich produkcji. Chińska branża high-tech odczuła to boleśnie: np. SMIC (Semiconductor Manufacturing International Corp) nie może swobodnie kupować litografii EUV, a giganci internetowi jak Alibaba czy Baidu musieli gromadzić zapasy chipów NVIDIA przed wdrożeniem sankcji w życie.

Jednak Pekin nie zamierzał się ugiąć. Zamiast tego uruchomiono plan awaryjny: samowystarczalność technologiczna. Rząd wpompował środki w krajowych producentów półprzewodników i oprogramowania. Dziś władze chwalą się pierwszymi sukcesami: Huawei we współpracy ze SMIC zdołał obejść pewne ograniczenia i wyprodukować własny zaawansowany chip 7 nm do smartfonów, a w dziedzinie sztucznej inteligencji Chińczycy tworzą alternatywne platformy sprzętowe. Ren Zhengfei, założyciel Huawei, stwierdził ostatnio w rozmowie z Xi Jinpingiem, że obawy Chin o „brak rdzenia i duszy" (czyli chipów i systemów operacyjnych) znacznie się zmniejszyły. Kraj poczynił duży postęp w tych obszarach. Innymi słowy, sankcje paradoksalnie zmusiły Chiny do jeszcze większych inwestycji, mobilizując ich zasoby finansowe w imię niezależności technologicznej. To jednak kosztowna walka na wyniszczenie. Wymaga ona gigantycznych nakładów i nie daje natychmiastowych efektów ekonomicznych.

INICJATYWA PASA I SZLAKU POD ZNAKIEM ZAPYTANIA

Warto również spojrzeć na globalne inwestycje Chin, bo one także są częścią ekonomicznej gry z USA. Od 2013 r. Chińczycy wydali ponad 1 bln dolarów amerykańskich na projekty w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku (BRI), budując porty, kolej, elektrownie od Azji do Afryki. Inwestycje te miały przynieść Pekinowi nowych sojuszników handlowych i rynki zbytu, zmniejszając zależność od Zachodu. Przez kilka lat ta inicjatywa kwitła, ale w latach 2018–2020 nastąpiło wyhamowanie. Wraz ze spowolnieniem chińskiej gospodarki i wzrostem ryzyka kredytowego u partnerów (wiele krajów rozwijających się boryka się z niewypłacalnością) Pekin zaczął przykręcać kurek. Nakłady w ramach Pasa i Szlaku znacząco spadły. Według analiz najniższy roczny wolumen inwestycji przypadł właśnie na rok 2023. Chińskie banki stały się ostrożniejsze, część projektów odłożono lub zrewidowano warunki finansowania. W efekcie Pekin nie może już tak swobodnie szafować czekami za granicą, gdy w kraju piętrzą się wyzwania. Co prawda, w 2023 r. wartość nowych umów w ramach tego projektu nieco odbiła (do mniej więcej 92 mld dol., z 74 mld dol. rok wcześniej), ale trend ostatnich lat sugeruje, że Chińczycy zaciskają pasa. Dla strategów w Pekinie priorytetem staje się teraz zabezpieczenie własnej gospodarki, nawet kosztem ambicji globalnych. Miliardy wydane na prestiżowe projekty za granicą trudno jednak odzyskać. Część z nich ugrzęzła, co ogranicza realną płynność finansową Chin. Innymi słowy, Inicjatywa Pasa i Szlaku, niegdyś sztandarowy program ekspansji, dziś może być postrzegany jako ciężar finansowy, na który Chiny muszą znajdować dodatkowe środki, jeśli chcą podtrzymać wpływy w świecie.

CZY PEKIN WYTRZYMA NACISK?

Analizując powyższe fakty, nasuwa się wniosek, że Chiny wciąż dysponują potężnymi zasobami finansowymi, ale ich odporność ekonomiczna nie jest nieograniczona. Z jednej strony biliony dolarów rezerw i kontrola państwa nad systemem bankowym dają Pekinowi możliwość niwelowania skutków wojny handlowej: poprzez stymulacje fiskalne, dewaluację juana czy redystrybucję kredytów dla firm dotkniętych cłami. Przykładowo: chiński rząd już teraz zwiększa wydatki budżetowe i ulgi podatkowe, aby pomóc eksporterom znaleźć alternatywne rynki, m.in. w ramach ASEAN czy w Afryce. Równolegle intensyfikuje dyplomację handlową z UE i Globalnym Południem, licząc na zniwelowanie wpływu amerykańskich sankcji. Dywersyfikacja eksportu postępuje, a udział USA w chińskim handlu maleje na rzecz innych partnerów, co zmniejsza skuteczność jednostronnych presji z Waszyngtonu. Krótko mówiąc, Pekin nie jest bezbronny i potrafi wydawać pieniądze, by zyskać czas i przyjaciół.

Z drugiej strony chiński wzrost gospodarczy jest najwolniejszy od dekad (pomijając pandemiczny rok 2020), a każdy kolejny procent PKB Pekin musi de facto „dokupić" za rosnącą górę długu publicznego. Konsumenci i prywatne firmy pozostają ostrożni, co widać po słabych danych o sprzedaży detalicznej i inwestycjach prywatnych. Sankcje technologiczne hamują produktywność. Chińskie firmy muszą wydawać więcej na omijanie blokad zamiast na ekspansję zagraniczną. Wojna handlowa to dla Chin nie tylko pojedynek na cła, lecz także test wytrzymałości ekonomicznej. Czy mają dość pieniędzy, by ją prowadzić w nieskończoność? Na krótką metę: tak, dysponują arsenałem finansowym pozwalającym amortyzować wstrząsy. Jednak w dłuższej perspektywie model gospodarczy oparty na zadłużaniu się i stymulowaniu na siłę może się okazać nie do utrzymania.

Już pojawiają się sygnały pewnej zadyszki Pekinu. Władze zaczęły nawet wstrzymywać niektóre zagraniczne inwestycje własnych korporacji z obawy przed nowymi cłami Trumpa: np. opóźniono zatwierdzenie planów fabryki BYD w Meksyku, argumentując, że niepewność związana z taryfami USA czyni projekt zbyt ryzykownym. To pokazuje, że chińscy decydenci kalkulują ostrożniej niż kilka lat temu. Mają świadomość, że każdy miliard juanów musi teraz pracować efektywnie, bo margines błędu się zawęża.

Podsumowując, Chiny w 2025 r. nadal mają pokaźne zasoby finansowe i gospodarcze, by stawić czoła polityce Donalda Trumpa, ale ich sytuacja jest znacznie trudniejsza niż u progu konfliktu w 2018 r. Walka ekonomiczna z USA przerodziła się w długotrwałe przeciąganie liny. Pekin próbuje wytrzymać nacisk, wzmacniając swoją gospodarkę bodźcami i subsydiami, jednak odbywa się to kosztem rosnącego zadłużenia i malejących stóp zwrotu. Czy mają dość pieniędzy? Na razie tak, lecz pieniądze te coraz mniej „pracują" na wzrost, a coraz bardziej służą gaszeniu pożarów. Chińska strategia to gra na przeczekanie z nadzieją, że amerykańska determinacja osłabnie. Ale jeśli wojna handlowa będzie się przedłużać lub zaostrzać, to niewykluczone, że nawet finansowy gigant z Państwa Środka się załamie. Czas i kolejne posunięcia Trumpa pokażą, czy chiński skarbiec okaże się głębszy niż kieszenie amerykańskiego protekcjonizmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 323840c100



PROSTO ZYGZAKIEM

Dziwny wybór Polaków

PIOTR GABRYEL

Jak wiadomo, Polacy świadomie wybierają do rządzenia swym państwem tylko takich polityków, którzy będą nim rządzili w dokładnie taki sposób, w jaki oni życzyliby sobie, żeby nim rządzono. Bo niby dlaczego mieliby wybierać polityków, którzy mieliby rządzić ich wspólnym państwem inaczej, niż oni by tego sobie życzyli? Przecież to nie miałoby żadnego sensu.

A z wyborów dokonywanych przez Polaków należałoby wnosić, że od wielu lat postanowili oni wybierać do rządzenia ich państwem polityków, którzy mają na potęgę zadłużać to ich państwo, czyli także ich samych, bo to nie kto inny, lecz właśnie oni będą musieli (już muszą!), i to co do grosza, i wraz z odsetkami, spłacić wszystkie długi zaciągnięte w ich imieniu przez wybranych przez nich i rządzących ich państwem polityków.

A to z kolei oznaczałoby – ni mniej, ni więcej – że Polacy lubią mieć długi i spłacać długi, nawet jeśli są to długi tak potężne jak długi ich państwa – Polski – obecnie, które przyrastają już w tempie niemal miliarda złotych dziennie i zbliżają się do 2 bln zł, a od których odsetki kosztują w tym roku ich, czyli polskich podatników, już aż 100 mld zł, czyli każdego z nas, każdego Polaka bez względu na wiek – ok. 2,8 tys. zł!

A wniosek taki – że Polacy lubią długi mieć i spłacać – nasuwa się nieodparcie, jeśli wczytać się w ich aktualne preferencje wyborcze, co jest zadaniem banalnie łatwym, dzięki regularnie prowadzonym badaniom opinii publicznej. I otóż z wyników tych sondaży wynika niezbicie, że Polacy nadal skłonni są powierzać władzę nad Polską właśnie wyłącznie jednej z tych dwóch partii, które w ciągu ostatnich 20 lat swą opętańczą licytacją wydatkową, swym na wyprzódki rozdawnictwem pieniędzy z kasy państwa, i to głównie na kredyt, prowadziły (i dalej prowadzają) Polskę wprost do zadłużeniowej katastrofy, wprost do upadku – czyli albo KO Tuska, albo PiS Kaczyńskiego. Każdej z tych partii, które już bez miary zadłużyły Polskę, czyli Polaków, nadal gotowych jest powierzać władzę w Polsce po ok. 30 proc. Polaków.

A jedyne liczące się w Polsce partie, która sprzeciwiają się zadłużaniu Polski, czyli obie Konfederacje – ta Bosaka i Mentzena oraz ta Brauna – mogą liczyć w sumie na poparcie ok. 20 proc. Polaków. Ale przecież i ich liderzy niechętnie wyjaśniają, jak zamierzają – po ewentualnym przejęciu władzy – zmniejszyć choćby tempo przyrastania polskiego długu: które wydatki planują skasować lub zredukować albo/i które podatki podnieść lub/i jakie nowe na Polaków nałożyć.

No ale cóż... Kto Polakom zabroni – jeśli tak bardzo tego chcą, a, jak widać, chcą – popełnić finansowe samobójstwo? ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

„Rozejm" według Tuska

ŁUKASZ WARZECHA

Spośród komentarzy, które na X pojawiły się po publikacji „piątki Tuska", najcelniejszy był ten, że jest to chwyt tak skrajnie prymitywny, że musi być autorstwa samego Adama Szłapki, który te pięć punktów podawał dalej. Zaiste, coś tak absurdalnego, wtórnego, prymitywnego i niemądrego mógł wymyślić jedynie ktoś w skrajnej intelektualnej desperacji i nędzy. Albo z zatrważająco niskim potencjałem umysłowym. To pierwsze pasuje do pana premiera. To drugie – do ogromnej części jego ekipy.

Jeśli te założenia uznać za warunki rozejmu politycznego, to jest to rozejm bardzo szczególnie rozumiany

Przypominam, co znalazło się na liście założeń „roku rozejmu", którym według Donalda Tuska miałby być rok 2026.

1. „Nie atakuj polskich służb i wojska". Czekam zatem, aż wszystkie kontrakty w państwowej telewizji straci Barbara Kurdej-Szatan.

2. „Nie powtarzaj rosyjskiej propagandy". O tym, co jest rosyjską propagandą, zdecyduje kolegium z gen. Stróżykiem, Katarzyną Bąkowicz i gen. Dukaczewskim w składzie.

3. „Koniec z wetami i sabotażem legislacyjnym". Jeśli dobrze rozumiem, to premier grafiką na X, stworzoną przez jakiegoś asystenta w KPRM, odebrał właśnie kluczowe kompetencje prezydentowi.

4. „Jestem za Zachodem, a nie Wschodem; nie podważam członkostwa w UE". Wiadomo – kto nie zachwyca się Unią Europejską, ten robi dla Putina.

5. „Jestem po stronie Ukrainy w wojnie z Rosją". Bycie po stronie Ukrainy oznacza, że nie wolno mówić o szalejącej na Ukrainie korupcji, o tym, że należy ograniczyć radykalnie uprawnienia ukraińskich uchodźców, a w przypadku każdego niebezpiecznego zdarzenia w Polsce należy bez zastanowienia wrzeszczeć, że winny jest Putin.

Jeśli te założenia uznać za warunki rozejmu politycznego, to jest to rozejm bardzo szczególnie rozumiany. To tak, jakby wjechała nam do domu ferajna bandziorków, zdemolowała wszystkie pomieszczenia, wymusiła oddanie całej kasy, przepisanie nieruchomości na siebie, a potem jej herszt powiedział: „No dobra, dogadajmy się: pozwolimy ci spać w garażu". ©℗

eprasa.pl 323840c100



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Nad Newę i z powrotem

Kapitulacja resztek wojska pod Radoszycami i Opocznem w listopadzie 1794 r. kończyła dzieje I Rzeczypospolitej i rozpoczynała ostatnią drogę króla Stanisława Augusta. 5 stycznia 1795 r. o godz. 10 król został zmuszony do wyjazdu do Grodna, rozpoczynając podróż na wschód, z której powróciły tylko jego szczątki. Było to dokładnie tydzień po zawarciu tajnego układu rozbiorowego między Rosją a Austrią, a król mógł przydać się już tylko do przypieczętowania losu podzielonego kraju abdykacją.

12 stycznia Poniatowskiego umieszczono pod strażą w Nowym Zamku, który znajduje się niemal na wprost Starego, a wzniesiony został w 1744 r. Król Staś oddany został pod nadzór byłego ambasadora Nikołaja Repnina, który, odwołany z Polski po wybuchu konfederacji barskiej, teraz został wielkorządcą Litwy, Żmudzi, Kurlandii i Inflant. Repnin kontrolował każdy krok króla, przeglądał jego korespondencję, wizyty, trzymał także w garści fundusze na utrzymanie dworu królewskiego, przysyłane z Petersburga. Król jednak odbywał przejażdżki i przechadzki po mieście, spotykał się z kochanką Elżbietą Grabowską i być może swoją żoną morganatyczną. Stanisław August ciągle łudził się nadzieją na poprawę losu, ale nie miał wystarczająco silnej woli, aby przeciwstawić się żądaniom carycy Katarzyny. Ciągle wzdychał, czynił postronnym jakieś obietnice i narzekał do tego stopnia, że Repnin miał go dosyć. „Na miłość Boską – pisał – weźmijcie stąd króla, ja z największą przyjemnością pozbędę się tego skarbu".



RYS. MART

Kiedy 24 października 1795 r., po długich rokowaniach Rosja, Prusy i Austria zawarły traktat rozbiorowy Rzeczypospolitej, król został zmuszony do podpisania aktu abdykacji. Był to ostatni akt legalizacji likwidacji naszego państwa i chociaż z tych względów August powinien odmówić dokonania tego politycznego samobójstwa. Tymczasem został przymuszony prostym szantażem – Repnin po prostu oświadczył, że jeśli nie złoży korony, to będzie musiał spłacić ogromne długi, wynoszące razem z procentami prawie 40 mln złotych polskich. Była to suma niewyobrażalna, ale też niezmieniająca dużo w życiu króla. Nikt przecież nie wtrąciłby go za to do więzienia. Jednak utraciłby wówczas możliwość utrzymywania skromnego dworu i życia we względnym dostatku na koszt dworu rosyjskiego. 25 listopada 1795 r. król August, a od tej pory już tylko Stanisław Poniatowski złożył podpis pod zabójczą abdykacją w zamian za obietnicę spłacenia jego należności przez państwa zaborcze. W 1797 r. zawarli oni konwencję, w myśl której jedna piąta długów Poniatowskiego spłacona miała zostać przez Prusy, a pozostała część w połowie przez Rosję i Austrię.

Akt zrzeczenia się korony na Zamku Nowym w Grodnie dopełnił z punktu prawnego dzieła zaborów Rzeczypospolitej; były władca stał się już tylko utrzymankiem dworu w Petersburgu. W Grodnie przebywał jeszcze ponad rok, bo kiedy umarła Katarzyna II, jej syn Paweł I „zaprosił" Poniatowskiego do stolicy, dokąd król wyruszył 15 lutego 1797 r. Towarzyszyli mu rodzina i niewielki dwór. 19 lutego orszak przybył do Wilna, gdzie odbyła się parada na jego cześć. Następnie wyruszył nad Newę, gdzie podejmowano go uroczyście w pałacu w Ropszy, ok. 10 km na południowy zachód od Petersburga. Dziś jest to kompletna ruina. O dziwo, wjazd był triumfalny, byłego króla witali wnukowie Katarzyny – Konstanty i Aleksander, Czartoryscy oraz wicekanclerz, książę Kurakin. W stolicy król zamieszkał w oddanym mu Pałacu Marmurowym, wybudowanym dla kochanka Katarzyny, Grzegorza Orłowa, który znajduje się nad Newą, na wprost Twierdzy Pietropawłowskiej.

Były król zmarł tutaj 12 lutego 1798 r., jak podaje Krystyna Zienkowska – po wypiciu filiżanki bulionu przygotowanego przez nadwornego kucharza Pawła Tremo, który przyjechał z nim z Polski. Przyczyną śmierci był prawdopodobnie udar mózgu; złośliwi, jak jego osobisty lekarz, pisali potem, że stało się to po otrzymaniu niepomyślnych wiadomości na temat długów byłego króla.

Po śmierci Poniatowski odbył podróż w drugą stronę – do Warszawy. Pochowano go najpierw w Petersburgu, w kościele św. Katarzyny. Niedaleko, bo przy Newskim Prospekcie, a w 1938 r., kiedy bolszewicy chcieli zlikwidować świątynię, szczątki zostały przeniesione do Wołczyna na Białorusi. Rok później, po 17 września, sołdaci Armii Czerwonej zniszczyli i splądrowali grobowiec króla, który całe życie kapitulował przed Rosją. Ostatecznie resztki trumny i szat zostały w 1988 r. sprowadzone do Polski i pochowane w katedrze św. Jana w Warszawie. Po 200 latach podróż królewska zakończyła się prawie tam, gdzie się zaczęła. ©℗

eprasa.pl 323840c100

ISUZU D-MAX ARCTIC TRUCK AT35



FOT. JAP

Już standardowy D-Max przywodzi na myśl potężne pick-upy, którymi można przemierzać nie tylko bezdroża na Alasce, lecz także oświetlone wyłącznie zorzą polarną bezdroża północnej Norwegii. Testowana wersja Arctic Truck została jeszcze podrasowana.

Masywna sylwetka Isuzu D-Max w wersji AT35 wygląda bardzo muskularnie. Japoński pick-up zyskał też 35-calowe terenowe opony (AT 315/70 R17) na 17-calowych felgach. Aby w UE tak wielkie koła były legalne, zastosowano podwyższone zawieszenie (o ok. 40 mm). Taki zabieg zapewnia też odpowiedni prześwit (26,6 cm z przodu i 29 cm z tyłu).

Aby ukryć gigantyczne koła w obrębie nadwozia (to konieczne do uzyskania homologacji), w wersji AT35 zastosowano specjalne lakierowane poszerzenia nadkoli. Są też dodatkowe orurowanie, które chroni karoserię, oraz płyta ochronna pod silnikiem. Te modyfikacje sprawiają, że D-Max Arctic Truck robi niezwykłe wrażenie wizualne nie tylko na miłośnikach off-roadu. W terenie auto zaś nie tylko dobrze wygląda. Kąt natarcia wynosi 35 stopni, a kąt zejścia 29,7 stopnia. Podczas testu nie natrafiłem na żadną przeszkodę, której nie byłbym w stanie tą zabawką pokonać. Ten piękny potwór prowadzi się pewnie i stabilnie. I daje bajeczne poczucie wolności.

Isuzu D-Max Arctic Truck AT35 to nie tylko surowy twardziel, który służy jako wół roboczy lub auto do szaleństw w terenie. Zamożni klienci prywatni, którzy chcą się wyróżniać na drogach pełnych mniejszych i większych SUV-ów, nie muszą się już bać siermiężnego wykończenia. To oczywiste, że w kabinie jest dużo miejsca. Jest też dość komfortowo i ładnie (choć zapewne liczne wstawki „piano black" w wyniku intensywnego użytkowania dość szybko przestaną wyglądać dobrze). System multimedialny obsługuje Android Auto. Lusterka zewnętrzne są zaś elektrycznie regulowane i podgrzewane.

Nawet nowoczesne pick-upy muszą być nadal praktyczne. Testowany model ma zatem specjalną zabudowę (o wymiarach 149,5 cm x 153 cm). Auto jest też wyposażone w najnowsze systemy bezpieczeństwa (w tym niezwykle przydatny system monitorowania ruchu poprzecznego za pojazdem). I dobrze nadaje się do holowania (3,5 t).

Niestety, pod maską pracuje silnik Diesla 1.9d o mocy 163 KM i momencie obrotowym wynoszącym 360 Nm. Jest on za głośny i ma za małą moc jak na tak potężną zabawkę. W terenie absolutnie nie jest źle, ale na asfalcie ten potwór przyspiesza w takim tempie, jakby ktoś mu rano złośliwie zamienił espresso na melisę. Średnie spalanie w miejskich korkach wynosi ok. 12–14 l/100 km. Na drogach krajowych udało mi się zejść do 8 l/100 km. Na ekspresówkach i autostradach apetyt na paliwo rośnie średnio do 12–14 l/100 km.

Nowy Isuzu D-Max w wersji L z podwójną kabiną kosztuje w promocji 176,3 tys. zł, a w najwyższym wariancie LSE – 204,7 tys. zł. Za modyfikację Arctic Truck AT35 trzeba dopłacić 47,9 tys. zł netto.

PAMIĘĆ KINGSTON IRONKEY KEYPAD 200C



Szyfrowanie sprzętowe XTS-AES z 256-bitowym kluczem, wymuszony alfanumeryczny kod PIN, możliwość ustawienia oddzielnych haseł dla administratora i użytkownika oraz trybu tylko do odczytu na stałe lub tylko na jedną sesję – to największe zalety pamięci amerykańskiej firmy Kingston.

Prywatność i bezpieczeństwo są dla wielu osób priorytetem przy wyborze sposobu przechowywania danych. Kłopot w tym, że wraz z rosnącą liczbą osób korzystających z automatycznego tworzenia kopii danych na serwerach rośnie również liczba włamań do chmury. Awaria infrastruktury może też w ważnym momencie pozbawić nas dostępu do plików. Warto więc rozważyć inwestycję w szyfrowane pendrive'y.

Kingston IronKey 200 to pamięć niezależna od systemu operacyjnego, która do zabezpieczenia danych wykorzystuje 256-bitowe szyfrowanie XTS-AES. Testowany nośnik jest wyposażony we wbudowany akumulator i spełnia wyśrubowane wojskowe normy (standard FIPS 140-3). Model IronKey 200 jest wyposażony w klawiaturę alfanumeryczną. Urządzenie wymusza ustawienie PIN-u o długości co najmniej ośmiu cyfr. Szans na odgadnięcie nie ma zbyt wielu – po 10 błędnych próbach pendrive automatycznie wymazuje zapisane na nim dane. A czy przypadkiem nie wystarczy analiza odcisków palców, aby przechowywane pliki stanęły przed wrogiem otworem? Otóż nie. Kingston zabezpieczył użytkownika przed tą metodą, pokrywając klawiaturę polimerową warstwą, która zapobiega odgadnięciu sekwencji ich naciskania poprzez taką analizę.

A to niejedyna specjalna warstwa w tej pamięci. Aby móc chwalić się bezpieczeństwem na poziomie militarnym, amerykańscy inżynierowie pokryli m.in. obwody pamięci powłoką epoksydową, która w praktyce uniemożliwia uzyskanie dostępu do wewnętrznych komponentów pendrive'a bez ich uszkodzenia.

Dużym plusem jest to, że testowany model występuje w wielu różnych wariantach pojemności: od 16 GB do 512 GB. Kingston IronKey 200 wykorzystuje interfejs USB 3.2 Gen 1 i jest wyposażony w tradycyjne złącze USB-A lub bardziej nowoczesne USB-C. W przypadku wariantu 512 GB typu C prędkość odczytu to maksymalnie 280 MB/s, a zapisu 200 MB/s. Nieźle. Warianty 16 i 32 GB są jednak istotnie wolniejsze.

Minusy? Jeden: wysoka cena. Pamięć o pojemności 16 GB kosztuje 349 zł, wariant 128 GB – 750 zł, a za 512 GB trzeba zapłacić 1 tys. zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 323840c100



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

I smacznie, i zdrowo

Koniec listopada to idealny moment, aby nastawić ciasto na długo dojrzewający piernik. Około pięciu, sześciu tygodni przed świętami Bożego Narodzenia zagniatamy ciasto, które spokojnie leżakuje w zimnym miejscu na balkonie albo w lodówce. Wypiekamy je tydzień przed świętami, tak aby placki zdążyły odpocząć i nabrać miękkości.

Historia tego wyjątkowego ciasta sięga czasów antycznego Rzymu, kiedy to piekło się placki i smarowano je miodem – zwane były potocznie miodownikami i przypominały pierniki. Zachwycał się nimi sam Neron, a wspominał o tym słynny autor książek kucharskich Apicjusz. Najwięcej jednak wzmianek o piernikowym rarytasie przekazywali zakonnicy benedyktyni, którzy ze względu na jego wyjątkowość i zawartość dużej ilości przypraw korzennych stosowali piernik w leczeniu przeziębienia. Przyprawy korzenne, a przede wszystkim miód wpływały korzystnie na zdrowie i odporność. Piernik był lekarstwem, rarytasem, a także towarem luksusowym – często więc wykorzystywano go jako pomoc w załatwieniu trudnych spraw lub sporów.

W polskiej tradycji kulinarnej ciasto piernikowe było znane już w czasach dawnych Słowian, jednak to dopiero bliskowschodnie przyprawy, które docierały do Polski, sprawiły, że twarde placki nabrały aromatu i smaku. Aby przygotować idealny piernik, trzeba trochę czasu i dobrych składników. Czas jest bowiem kluczowy, ciasto musi leżakować. A dobre składniki nadadzą mu wyjątkowego smaku.



FOT. ADOBE STOCK

Piernik

• 1 kg mąki pszennej • 500 g miodu płynnego • 250 g masła • 4 jajka • 3 łyżeczki sody • 125 ml mleka • 50 g przyprawy do piernika (cynamon, kardamon, gałka, imbir) • 3 łyżki kakao (my dodajmy, bo lubimy bardziej ciemny kolor ciasta) • ½ łyżeczki soli • 250 g cukru brązowego

Polewa czekoladowa:

• 300 g czekolady deserowej • 125 g masła • powidła śliwkowe do przełożenia ok. 600 g • orzechy włoskie do dekoracji

Do garnka z grubym dnem wsypujemy cukier. Podgrzewamy do rozpuszczenia razem z miodem i masłem. Zdejmujemy z palnika, studzimy. Do dużej miski przesiewamy kilogram mąki, razem z sodą dodajemy sól i przyprawę do piernika, kakao, mleko i wbijamy jajka. Dodajemy ostudzoną miodową masę. Wszystko starannie wyrabiamy tak aż ciasto będzie elastyczne. Takie ciasto przekładamy do szklanego naczynia lub garnka, przykrywamy folią lub talerzem pokrywką i wstawiamy do zimnego miejsca – może to być balkon, spiżarnia, lodówka – na minimum pięć–sześć tygodni. Po tym czasie ciasto wyjmujemy, dzielimy na cztery równe części i na stolnicy podsypanej mąką rozwałkowujemy na równe blaty ok. 2 cm. Następnie pieczemy w temperaturze 175 st. C góra-dół przez minimum 25 min. Upieczone blaty możemy przetrzymywać ok. 10 dni, a dopiero potem przekładamy powidłami i polewamy polewą czekoladową. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Mikrowróg czyha

Cztery dekady temu, gdzieś pod koniec lat 70., pan Bojańczyk, wówczas młody pracownik naukowy, w czasie wakacji wyjeżdżał do Szwecji na tzw. saksy. Z pensji PAN-owskiego asystenta rodziny z dwojgiem dzieci nie dało się utrzymać, więc mąż urlop spędzał, pracując na zmywaku w nadmorskiej knajpie. Za zarobione korony kupował czasami drobne rzeczy do domu – młodszym rocznikom przypomnę, że wtedy katalog IKEA oglądało się jak film fantasy.

Jako pamiątkę tych pobytów mam do dziś dwie brązowe miski z grubego, solidnego plastiku. Używam ich nie na stół, ale do przygotowywania potraw. Od pewnego czasu zaczęłam się zastanawiać, ile mikroplastiku przez te 40 lat dostało się do mojego i domowników organizmu przy używaniu szwedzkiego cuda, którym tak się zachwycaliśmy.

Bo nagle o mikroplastiku zaczęło się niedawno mówić, zupełnie jakby wcześniej temat nie istniał. Oczywiście, że istniał, ale najwyraźniej były pilniejsze sprawy. W końcu nikt nie umarł z powodu napicia się wody z plastikowej butelki. O co robić raban?

Po transformacji wszyscy byli zadowoleni, że nie trzeba już taszczyć wody mineralnej w szklanej butelce. Czasem tylko ktoś bąknął nieśmiało, że w Anglii od lat mleko jest w szklanych butelkach i nikomu nie przychodzi do głowy to zmienić. Kto by się u nas denerwował zdjęciem ryby zaplątanej w plastikową torebkę?

„Reklamówki" w Polsce stały się dowodem awansu cywilizacyjnego. Dzisiaj trzeba przyznać, że w czasach niedoborów do wyrobów plastikowych mieliśmy prawdziwie ekologiczne podejście – były one wielokrotnie używane.

O ile plastiki rzeczywiście mają jakąś legendę, to dzisiaj jest ona na pewno najczarniejszą z czarnych. Obejrzałam ostatnio na ARTE dokumentalny francuski film „Homo plasticus, cicha inwazja plastiku". Wrażliwym odradzam, chyba że chcecie się przestraszyć. Film nie pozostawia złudzeń: plastik jest wszędzie. Wokół nas i w nas. Mikro- i nanocząsteczki pijemy razem z wodą, która płynie plastikowymi rurami, wdychamy z powietrzem, w którym unoszą się one chociażby tylko z opon samochodowych. Kroimy na plastikowych deskach, nosimy swetry z akrylu, śniadanie do szkoły dajemy dzieciom w plastikowym pudełeczku… A zabawki? A czapka na zimę?

W tekstyliach średniej i popularnej półki od 60 do 80 proc. ubrań uszytych jest z akrylu, nylonu, poliestru, lycry... Buty sportowe to od 90 do 100 proc. plastiku.

Nie ma od tego świństwa ucieczki i nie ma też drogi powrotnej. W Ameryce niektórzy bogaci spryciarze wypompowują sobie krew, oczyszczają ją z plastiku i wpompowują z powrotem.

Ktoś zainteresowany? ©℗

eprasa.pl 323840c100



DEKAMERONKI

Smuga cienia

JERZY KARWELIS

Ostatnio wskoczyłem rączo do tramwaju, aż tu nagle młodzieniec siedzący na tramwajowym foteliku poderwał się na równe nogi, ustępując mi miejsca. Nie powiem – miałem dylemat: cieszyć się z ewidentnie rzadkiej postawy młodzieżowej czy zasmucić się, ale za to z innego powodu. Chłopak ewidentnie ustąpił mi miejsca z racji mego wyglądu, sugerującego wiek podstarzały na tyle, że ustępuje się takim miejsca. Jednak wypadało docenić gest trzeciego filaru i jednak usiadłem.

Zadumałem się. A więc to tak wygląda… to wejście w smugę cienia. Człek tak sobie hasa całe życie, ciało już nie to, ale duch wciąż ochoczy. I nagle następuje taki dzień, że patrzysz, a to już po ptokach. A może już tak było wiele razy i wiele lat temu, tylko człowiek w swej pysze, że starzeją się inni, zapomniał, że codzienne tryby czasu są bezlitosne dla każdego? Na swe usprawiedliwienie można się oszukiwać, że jak się człowiek ogląda co dzień w lustrze (nie z próżności, ale golić się trzeba), to tych zmian nie widzi. To jest jak z dziećmi znajomych – ci nie widzą, że bachor wyrósł, bo go oglądają codziennie, a jak ty przyjdziesz do nich od wielkiego dzwonu, to widzisz, że kiedyś malcowi już się wąs sypie, kiedyś zaś milutka dziewuszka już obecnie w staniczek odziana.

I tak mijają dni, jeden za drugim, i człowiek nie wie, kiedy się ta smuga cienia za nim zamknęła. W końcu – na końcówce – podobno człeka czeka zdziecinnienie. Jakby życie zataczało krąg, w którym dorosłość jest tylko etapem do dwóch form dziecięctwa, z tym że to pierwsze rodzi jakąś nadzieję na rozwój, inną niż ostateczność zdziecinnienia tej drugiej formy.

A przecież naoglądało się na filmach, nagadało ze starcami, jak to z tym starzeniem jest. Ale okazuje się, że nawet najbardziej wielostronna wiedza teoretyczna na nic dopóty, dopóki samemu się w to nie wejdzie. Ze starością jest jak z miłością – wszyscy o tym wiedzą, czasem mówią, ale nic o tym nie wiesz dopóty, dopóki sam tego nie przeżyjesz. Każdy starzeje się więc w samotności swego odkrycia. Czyżbym zaczynał wchodzić w okres kwestii ostatecznych, które pozwalają zatrzymać się w tej bieżączce, by zrewidować swoje priorytety z taktycznych na strategię bardziej, że tak rzeknę – eschatologiczną? No właśnie – kiedy następuje ten moment przejścia? Czy to dopiero wtedy, kiedy po raz pierwszy ustąpią ci miejsca w tramwaju? Czy jak już nie możesz bez śmieszności zatańczyć pogo w klubie karaoke?

I tak sobie siedząc w tramwaju, rozmyślałem, kiedy zobaczyłem, że jakaś staruszka uśmiecha się do mnie. Zalotnie! Jezu… ©℗



#WARTO

Pięć przykazań Tuska

JAN POSPIESZALSKI

Polityczna burza, która rozpętała się po akcie dywersji na torach, przede wszystkim dotycząca narodowości jej sprawców oraz ich mocodawców, skutecznie odwróciła uwagę od procedowanego przez Sejm wdrożenia dyrektywy o sługach cyfrowanych DSA. Przebieg obrad komisji sejmowej (z 4 listopada 2025 r.) z udziałem ponad 40 organizacji pozarządowych pokazał realne niebezpieczeństwa.

Nowe unijne przepisy, pod pretekstem ochrony użytkowników – obok np. zabezpieczenia interesów konsumenta przed oszustwami w sieci – wprowadzają groźne rozstrzygnięcia. Przede wszystkim chodzi o niejasność sformułowań zapisów, arbitralność rozstrzygnięć urzędników powoływanych przez rząd (prezes UKE i UOKiK), brak skutecznej procedury odwoławczej, możliwość dowolnego rozszerzania katalogu „przestępstw" i „nielegalnych treści", no i wisienka na torcie: zgłoszenie o przestępstwie w sieci będzie nie tylko przywilejem organów państwa, lecz także będzie przysługiwać „zaufanym podmiotom sygnalizacyjnym".

Obecne na obradach komisji liczne NGO, wśród nich także te prowadzone przez obywateli Ukrainy, z pełną akceptacją wyrażały poparcie dla unijnych przepisów. Wiemy, jak to wyglądało do tej pory. Wszelkie lewicowe NGO, finansowane przez Sorosa lub pośrednio przez niemiecki rząd bądź lewicowe samorządy dużych miast, dostaną narzędzie do rąk, które już od dawna wykorzystywały do kneblowania konserwatywnych i wynikających z chrześcijańskiej antropologii treści. Ofiarami takich cenzorskich akcji wielokrotnie byli m.in. Ordo Iuris, wRealu24, Kaja Godek, a także inni prawicowi autorzy i internetowi twórcy, w tym ja sam. W okresie tzw. walki z pandemią aktywnymi sygnalistami byli fact-checkerzy finansowani przez KPRM. Teraz będzie tak samo, tylko że turbo! Owszem, jest procedura odwoławcza, ale rozstrzygnięcie zaskarżonego zablokowania będzie zapadało w agendach rządowych. Próba odwołania się do sądu w dzisiejszych realiach to od dwóch do pięciu lat, co przy zablokowaniu kanału internetowego oznacza trwałą likwidację dorobku danego nadawcy.

Ale nie narzekajmy! W gąszczu niejasnych kryteriów sygnalistom z pomocą przychodzi sam Donald Tusk. Ogłoszenie pięciu zasad – 1. Nie atakuj polskich służb i wojska; 2. Nie powtarzaj rosyjskiej propagandy; 3. Koniec z wetami i sabotażem legislacyjnym; 4. Jestem za Zachodem, a nie Wschodem, nie podważam członkostwa w UE; 5. Jestem po stronie Ukrainy w wojnie z Rosją – jest wyraźnym wskazaniem, co można, a czego nie wolno. Panie premierze, dziękujemy! ©℗

eprasa.pl 323840c100



ĆWIERKOT

Socjaldemokraci i kobiety

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Wiceminister klimatu i środowiska Urszula Zielińska zabrała publicznie głos na temat ETS2, czyli rozszerzonego unijnego handlu emisjami. Stop. Nie mamy najmniejszego pojęcia, o co jej chodziło. Stop. Kiełkują w nas podejrzenia, że ona także. Stop. Niemniej dalej lubimy i szanujemy panią Ulę, ponieważ jej rządowa kariera pokazuje niedowiarkom, że rzeczy niemożliwych nie ma. Stop. W jakimś tragicznym sensie jest to nawet krzepiące.

Komedia. Stop. Joanna Kluzik-Rostowska, niegdyś minister edukacji, a obecnie członek komisji do spraw Pegasusa, w trakcie prac komisji, a dokładnie w trakcie przesłuchania byłego agenta CBA odpowiedzialnego za technikę operacyjną, zapomniała, że mikrofony działają, i to całkiem nieźle. Stop. Dzięki temu poznaliśmy treść jej scenicznego szeptu: „Ja już tego nie chcę, my nie rozumiemy, o co my pytamy". Stop. Taaak. Wzywają byłego agenta na komisję, na którą on nie chce przyjść, bo według orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego jest nielegalna, w końcu doprowadza go policja, a kiedy już jest, to członkowie komisji uświadamiają sobie, że są wyśmienitymi ignorantami i niewiele rozumieją. Stop. Kiepska komedia, tym bardziej że tym pożal się Boże aktorom z komisji płacimy my, i to za każdy odcinek. Stop. Niestety.

Choć nie jest to kącik kulinarny, to podam państwu przepis na „Blokuj mnie, Radziu, blokuj". Stop. Otóż, jeśli mają państwo dosyć tego z nieznanych powodów nadętego Sikorskiego i chcieliby państwo być zablokowani przez niego w mediach społecznościowych, np. na portalu X, to trzeba oznaczyć go i wkleić filmik z roku 2020, na którym Sikorski, jak zwykle zadowolony z siebie, mówi w TVN24: „Nie jesteśmy na wojnie z Rosją, Rosja nie jest naszym wrogiem, jest uporczywym rywalem geopolitycznym, ale Putin to nie Stalin. Prezydent Putin, jeśli morduje, to detalicznie, a nie hurtowo, to jest duża różnica, szczególnie dla ofiar". Stop. Pokazałem ten filmik znajomemu prawnikowi, który nie chciał najpierw uwierzyć, że po takiej wypowiedzi Sikorskiego mianowano szefem MSZ i wicepremierem, a potem pozwolił sobie na komentarz, który przytoczę w całości: „Ten Sikorski to jest zwykły …. ……". Stop. Nie było sporu.

Krzysztof Śmiszek ucieszył się, że marszałek Czarzasty zabronił sprzedaży alkoholu w Sejmie, i napisał: „To my, socjaldemokraci, wam to załatwiliśmy". Stop. Paweł Kukiz zgłosił wątpliwości w wątku pobocznym: „Z Ciebie taki socjaldemokrata, jak z Biedronia kobieta". Stop. To są trudne sprawy, delikatne, trzeba je traktować ze szczególną ostrożnością i jak znam Kukiza, a znam, bez wątpienia się hamował. ©℗



SPODE ŁBA

Cała partia chórem

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Zdumiewającą wspólnotą poglądów wykazali się właśnie były prezydent Bronisław Komorowski oraz niedoszły „polski Donald Trump", poseł Przemysław Czarnek. Pierwszy, pamiętany dziś głównie z tzw. afery marszałkowskiej i niepokojących związków z byłymi oficerami WSI, zaprotestował gorąco przeciw wyborowi Włodzimierza Czarzastego na marszałka Sejmu. „Ludzie, którzy mają na sumieniu szalbierstwa albo niemoralne zachowania, nie powinni być wybierani przez obywateli. Więc jeszcze raz zadam pytanie: Co się dzieje z naszą ojczyzną?" – moralizował podniośle Bronisław Komorowski. Do słów wypróbowanego państwowca odniósł się wiceprezes PiS, Przemysław Czarnek. „Największe znaczenie ma to, co powiedział Bronisław Komorowski, czyli, że ten człowiek – Włodzimierz Czarzasty – nie powinien w ogóle robić kariery politycznej. Bronisław Komorowski wprost nawiązał do jego zamieszania w aferę Rywina. Wprost powiedział, że absolutnie, nawet jeśli Lewica miała mieć marszałka, to nie powinien być to Czarzasty. Zgadzam się z Komorowskim."

Zgoda obydwu panów mogłaby być początkiem pięknej politycznej przyjaźni. Nie pierwszy już przecież raz ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego okazuje się zdolne do znalezienia sojuszników w egzotycznych rejonach polskiej sceny politycznej. Odezwali się jednak polityczni malkontenci, skłonni do rozpamiętywania rzeczy minionych. „Przecież w 2019 r. to aż 177 posłom PiS nie przeszkadzało, by Czarzasty z PZPR został wicemarszałkiem Sejmu RP. A ja wam wtedy mówiłem, że »antykomunizm jest sierotą«" – wypomniał politykom PiS Sławomir Cenckiewicz. Można zapewne argumentować, że rola wicemarszałka Sejmu jest w polskim systemie politycznym nieporównanie mniejsza niż marszałka. Jednak w podniesionym na Nowogrodzkiej zgiełku dominują protesty natury moralnej, a nie polityczna kalkulacja. Komunizm był w roku 2019 nie mniej obrzydliwy niż dzisiaj, a udział Czarzastego w PZPR i jego rola w aferze Rywina były wszystkim wiadome. Jak więc wytłumaczyć fakt, że tak niezłomni rycerze antykomunistycznej sprawy jak Antoni Macierewicz, Mariusz Kamiński, Piotr Gliński, Dominik Tarczyński i Mariusz Błaszczak poparli wówczas kandydaturę Czarzastego?

Odnieść można wrażenie, że antykomunizm PiS manifestuje się najgłośniej, gdy partia ta pozostaje w opozycji. Gdy PiS dochodzi do władzy, sytuacja zmienia się diametralnie. Antykomunistyczna retoryka tej partii przypomina wtedy zachowanie operowego chóru, który śpiewając „biegnijmy", na metr nie rusza się z miejsca. ©℗

eprasa.pl 323840c100

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Żona Konrada Swinarskiego



JOANNA SIEDLECKA

Konrad Swinarski, jeden z najwybitniejszych reżyserów teatralnych, mimo wcześnie uświadomionej swojej homoseksualnej orientacji w 1955 r. ożenił się z Barbarą Witek, nieudaną aktorką i literatką, co w purytańskim, gomułkowskim socjalizmie było przykrywką konieczną, żonatych łatwiej też wypuszczano na Zachód. Ona natomiast godziła się na białe małżeństwo w zamian za luksusowe życie, niedostępne obywatelom PRL: wyjazdy na Zachód, gdzie Swinarski reżyserował, m.in. do Niemiec, Szwajcarii, Austrii, pierwszy w Warszawie zielony volkswagen garbus, letni dom, zachodnie ciuchy, którymi szpanowała. Ze względu na jej częste podróże do Niemiec w 1963 r. kontrwywiad zwerbował ją z powodzeniem do współpracy na ważnym wtedy „odcinku berlińskim" i jako TW „Krystyna" donosiła o przebywających w Berlinie Zachodnim Polakach, m.in. o Witoldzie Gombrowiczu, który po 23 latach argentyńskiej nędzy otrzymał tam stypendium Forda. „Swinia Swinarkiewiczowa podstępem się do mnie przykradła i nikczemnie ze mną poczynała" – pisał do Giedroycia. Przyszła z hołdem i różą, a nieautoryzowaną rozmowę z nim opublikowała jako wywiad, przypisując mu słowa o bagatelizowaniu zbrodni hitlerowskich na Polakach, rozpętując przeciw „kolaborantowi z neohitlerowcami" medialny lincz. Rezultatem „Swinarstwa Swinarsi" było objęcie go wieloletnim zakazem cenzury i pobyt w klinice z powodu zawału serca, astmy i nerwowego załamania.

O głośnym procesie włamywaczy z artystycznego środowiska huczała cała Warszawa, rozpisywały się wszystkie gazety, a w swoich brukowych książkach – żyjący nadal Nasierowski

Mimo to Beata Guczalska, autorka wydanej niedawno „Biografii ukrytej" Swinarskiego, zarzuciła mi oraz Klementynie Suchanow, biografkom Gombrowicza, że „przeszacowałyśmy wpływ Swinarskiej na to, jak potraktowały go [Gombrowicza] władze PRL", i broniła TW „Krystyny", bo dziś jej „wywiad" nie brzmi już tak napastliwie. Miała do niego prawo – jej ojciec zginął w Oświęcimiu, a on, dezerter, przesiedział okupację na emigracji. Zarówno mnie, jak i Klementynie Suchanow zarzucała „liczne nieścisłości", choć nie wymieniła żadnej, sama natomiast nie zająknęła się nawet, że TW „Krystyna" donosiła również na swego męża, m.in. o jego źle widzianym wtedy niemieckim pochodzeniu – matce volksdojczce, alkoholizmie, tchórzostwie, ważnych kontaktach, Erwinie Axerze, kręgach syjonistycznych itd.

Jedynie kilkoma zdaniami skwitowała liczne donosy Swinarskiej na, według niej, kosmopolitów i anty-Polaków: A. Forda, A. Tarna, I. Iredyńskiego, swego kochanka, niemieckiego publicystę Thomasa Harlana i jego przyjaciół, Krystynę Żywulską, Leona Andrzejewskiego, nie wymieniając L. Tyrmanda i kontakty Gombrowicza: A. Wirtha, S. Mrożka, K. Zachwatowicz, M. Paczowską. To m.in. dzięki dostarczanym przez nią „hakom" próbowano werbować Wirtha, wydalono z Polski Harlana, rzekomego hochsztaplera i oszusta, usunięto z „Dialogu" A. Tarna, wsadzono Iredyńskiego. Nieustająco ją usprawiedliwiała i wybielała – w swoich donosach TW „Krystyna" informowała o romansach, seksualnych orientacjach, finansowych machlojach, ale zdaniem Guczalskiej „świadomie przyjęła rolę plotkary, aby nie mówić o sprawach ważniejszych", choć wszystko było SB bardzo przydatne.

W 1965 r. razem z aktorami Jerzym Nasierowskim i jego kochankiem Mieczysławem Gajdą wzięła udział we włamaniu do mieszkania swego znajomego, Franciszka Starowieyskiego, którego była inicjatorką; skradli cenne antyczne monety i zegary. Wpadli dopiero w 1972 r., gdy podczas kolejnego z włamań kochanek i wspólnik Nasierowskiego zabił mieszkankę okradanej willi. W śledztwie Swinarska przyznała się do swego udziału, została aresztowana, zwolniona szybko, gdy okazało się, że jest współpracownicą SB. Nasierowski dostał początkowo 25 lat, ale i tym razem Beata Guczalska rozgrzeszała ją, pisząc, że „nie był to zwykły rabunek, tylko złośliwy, towarzyski żart, heca".

O głośnym procesie włamywaczy z artystycznego środowiska huczała cała Warszawa, rozpisywały się wszystkie gazety, a w swoich brukowych książkach – żyjący nadal Nasierowski, dziś w pisemkach LGBT nieszczędzący rewelacji o „Basi i Kondziu, swoich kochankach". Absurdem są więc twierdzenia Guczalskiej, „jakoby środowisko nie wiedziało raczej o udziale Swinarskiej w sprawie Nasierowskiego". Była spalona i SB zerwała z nią, choć zdaniem Guczalskiej było odwrotnie. Do końca więc robiła TW „Krystynie" lifting, nie pokazała jej prawdziwej, mrocznej biografii i to duży minus tej interesującej książki. ©℗

eprasa.pl 323840c100

OBIETNICA



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Trump znów wszystkich ograł. Wytrzymał napięcie i wygrał. Wytrzymał ze spokojem nawet to, że ruch MAGA odłożył na kilka miesięcy swoje czerwone czapki i ogólnie z ludzi zeszło powietrze, entuzjazm wyparował, a w to miejsce przyszło rozczarowanie Trumpem. Nadal go lubiliśmy, nadal docenialiśmy, że granica szczelna, że setki tysięcy nielegalnych się deportuje, a ponad milion wyjechał na własną prośbę; cieszyło nas, że benzyna jest po 2,50, a nie po 4,30, że zlikwidowano podatki od nadgodzin, napiwków, emerytur i spadków, ale mimo tego wszystkiego pojawiło się rozczarowanie. To, że Trump spełniał kolejne obietnice wyborcze, już nas nie cieszyło.

Trump nauczył nas w czasie swojej pierwszej kadencji, że jego program wyborczy to nie jest propaganda, lecz konkretny plan do wykonania punkt po punkcie. Sam sobie ustawił tę poprzeczkę i dlatego już nic nas nie zaskakiwało: obiecał, to wykonuje. Natomiast byliśmy bardzo wyczuleni na najdrobniejsze odstępstwa od umowy.

***

Pierwszym rozczarowanym był Elon Musk. Napisał kilka wnerwionych tweetów o tym, że skoro Trump nie ujawnia listy klientów Epsteina, to znaczy, że sam jest na tej liście. Elon wyszedł z Białego Domu, trzasnąwszy drzwiami, i świat to odnotował. Wyborcy Trumpa byli coraz bardziej wkurzeni i zaniepokojeni tym, że Trump nie ujawnia listy klientów Epsteina.

***

Jeffrey Epstein, sławny miliarder i pedofil. Skazany w roku 2008, spędził 13 miesięcy za kratkami. Przyznał się do winy, odsiedział wyrok, wyszedł i nadal świadczył usługi dla polityków i innych bardzo wpływowych osób. Do grona jego klientów i przyjaciół należeli były prezydent USA Bill Clinton, były premier Wielkiej Brytanii Tony Blair, brat króla Karola III książę Andrzej…

Płacili mu za konsultacje finansowe, w ramach których Epstein zabierał klientów do siebie na karaibską wyspę – lecieli prywatnym samolotem, obsługa to były nieletnie panienki, a na pokładzie sypialnie. Są zdjęcia, są zeznania świadków. Ten samolot nosił nieoficjalną nazwę „Lolita Express".

Jeffrey Epstein dorobił się wyspy na Karaibach i największej prywatnej rezydencji na Manhattanie. Majątek zbił jako „konsultant finansowy". W roku 2019 miał się odbyć jego kolejny proces. Procesu nie będzie, bo Epstein powiesił się w celi. No ale zostały papiery ze śledztwa oraz taśmy z nagraniami, bo na tej jego wyspie sypialnie miały zamontowane systemy ukrytych kamer. Ludzie chcą poznać listę klientów Epsteina, a mówiąc zwyczajnie, chcą zobaczyć, jak Bill Clinton idzie do więzienia.

***

Demokraci w USA od lat sugerowali, że jednym z klientów Epsteina był Donald Trump. Gdyby to była prawda, demokraci już dawno sami ujawniliby stosowne dowody. Gdy Trump startował na prezydenta po raz pierwszy, u władzy był Barack Obama, który mógł ujawnić listę Epsteina i umoczyć Trumpa. A potem, gdy Trump startował po raz trzeci, u władzy była ekipa Bidena – oni też mogli ujawnić listę Epsteina i utopić Trumpa. Czemu tego nie zrobili? Bo Trumpa na tej liście nie ma.

Donald Trump poznał się na Epsteinie dawno temu i wykluczył go oficjalnie ze swojego kręgu znajomych – kazał go skreślić z listy osób wpuszczanych do rezydencji i klubu Mar-a-Lago. Tak – są stare zdjęcia, na których widać Trumpa z Epsteinem, bo Epstein należał do amerykańskiej elity, więc bywali zapraszani w te same miejsca. Ale Trump nigdy nie leciał „Lolita Expressem" i nigdy nie był na wyspie Epsteina, za to Bill Clinton latał często.

Dlaczego w tej sytuacji Trump tak zażarcie bronił się przed ujawnieniem listy Epsteina? Dlaczego w lipcu nakrzyczał publicznie na dziennikarza zadającego pytania w tej sprawie? Dlaczego kilka razy powiedział coś absurdalnego: że cała sprawa Epsteina to wymysł demokratów? Te jego wypowiedzi niepokoiły wyborców MAGA do tego stopnia, że ludzie tracili zaufanie do Trumpa. Nawet Elon Musk trzasnął drzwiami…

A Trump siedział przyczajony i czekał, aż demokraci wejdą do własnej pułapki.

***

Prezydent Stanów Zjednoczonych ma suwerenne i nieograniczone prawo odtajnienia dowolnych dokumentów. Może po prostu zdecydować, że coś z dnia na dzień przestaje być ściśle tajne, i nie musi tego uzasadniać ani prosić żadnej władzy o pozwolenie ani nawet o opinię w tej sprawie. Prezydent jest w USA jednoosobową władzą wykonawczą. Ale… gdyby w wyniku odtajnienia dokumentów komuś niewinnemu stała się krzywda, wówczas za tę krzywdę odpowiada prezydent.

Dlatego, gdyby Donald Trump chciał samodzielnie odtajnić dokumenty ze śledztwa w sprawie Epsteina, musiałby wiele informacji pozostawić jako tajne. No np. nazwiska agentów, nazwiska nieletnich dziewczyn, które Epstein zmuszał do nierządu. Po ujawnieniu dokumentów w tej formie Trump byłby oskarżony o to, że ukrywa coś niewygodnego dla siebie.

Dlatego Trump ich wszystkich ograł. Najpierw głośno i niegrzecznie odpowiadał dziennikarzom, że cała sprawa Epsteina to wymysły demokratów. Potem, gdy demokraci wystosowali żądanie ujawnienia dokumentów, Trump stanowczo odmawiał. W tej sytuacji demokraci postanowili go zmusić do ujawnienia dokumentów za pomocą uchwały Kongresu. Trump nadal stawiał opór, a w ostatniej chwili odpuścił. Demokraci nie mogli się już wycofać.

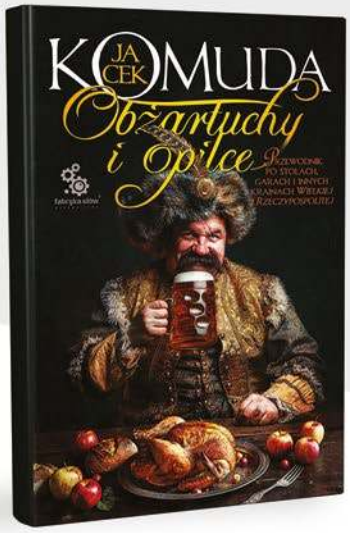
Izba Reprezentantów uchwaliła dokument, który zmusza Departament Sprawiedliwości do ujawnienia wszystkich akt i dowodów ze sprawy Epsteina. Dokument jest tak napisany, że ujawnione zostanie wszystko jak leci. Ekipa Trumpa jako władza wykonawcza nie mogłaby tego opublikować w tak surowej formie, ale teraz nie tylko może, lecz także musi, bo Kongres to nakazał. Izba Reprezentantów głosowała w proporcji 427 głosów za ujawnieniem i tylko 1 przeciw. Obietnica wyborcza Trumpa zostanie spełniona z nawiązką. ©℗

eprasa.pl 323840c100

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~601 ZŁ~~

290,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 311 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 323840c100

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.



WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 323840c100